



Beverly Bird

***SAMOTNY
ŻEGLARZ***

Maxwell Strong - znany milioner, którego głównym celem jest ukrycie się przed całym światem.

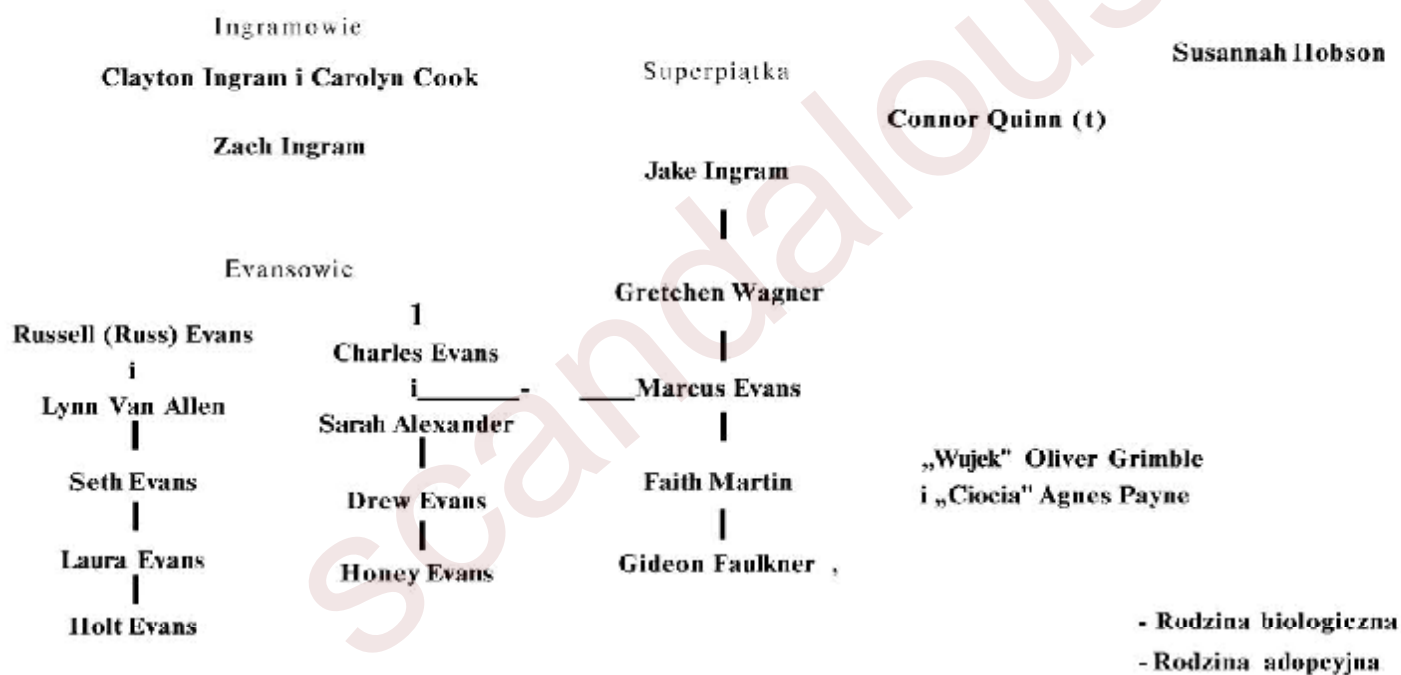
Honey Evans - panienska z dobrego domu, która chce się odegrać na rodzicach, zakochując się w biednym żeglarzu...

Jake Ingram - zdołał ściągnąć swe rodzeństwo na bezpieczną wyspę, lecz czy uda mu się zapobiec następnej katastrofie?

Samuel Hatch - emerytowany agent CIA, który mógłby pomóc w rozwikłaniu tajemnic Superpiątki, tylko czy można mu zaufać?

RODZINNE SEKRETY

Henry Bloomfield (t) i Violet Vaughn, poślubiła potem Dalea



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Honor Elise Evans, zwana przez przyjaciół Honey, uznała, że pora wejść do akcji. W nocnym klubie przy Woodley Park huczała głośna rytmiczna muzyka. Rzucając stojącemu obok mężczyźnie powłóczyście spojrzenie, Honey wygięła się do tyłu i z założonymi na kark rękami zakołysała biodrami, a gdy muzyka zmieniła rytm, opuściła ręce, gładząc rozwartymi dłońmi piersi, talię i uda. Mężczyzna chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie.

Kiedy pocałował ją we wrażliwe miejsce za uchem, ciało Honey przeszył dreszczyk podniecenia. Dobry znak, pomyślała. Mężczyzna zabrał się do obcałowywania jej szyi.

- Mam na ciebie ochotę.

Wolałaby, żeby powiedział to zmysłowym szeptem, ale musiał przecież przekrzyczeć muzykę. Pierwsze podniecenie zaczęło się ulatniać. Jeśli plan ma się powieść, trzeba wyprowadzić chłopaka z lokalu.

Uwolniła się z jego rąk i kiwając palcem, cofała się w kierunku drzwi. Mężczyzna podążał za nią, ale kiedy dotarli do drzwi, rzucił się naprzód, przygważdżając ją do ściany. Honey straciła cierpliwość. Chwyciła faceta za kołnierz koszulki i wywlokła go na dwór.

Była wrześnie noc, lecz w Waszyngtonie nadal panował duszny upał. Lato nie dawało za wygraną. Po wyjściu z klimatyzowanego wnętrza poraziło ich gorące, wilgotne powietrze.

Honey miała wrażenie, że jej włosy skręcają się jak po trwałej. Mniejsza z tym! Kiedy z nim skończy, i tak będzie potargana!

- Jak masz na imię, mała? - Mężczyzna objął stojącą na chodniku Honey, próbując ją pocałować.

- Chcesz się ze mną przespać, czy pogadać? - zapytała, ocierając się o niego biodrami.

- W porządku, ale nie obraż się, jeżeli w chwili zapomnienia nazwę cię Lindą.

Poczuła nieprzyjemne bum-bum-bum w okolicach klatki piersiowej. Gotów wszystko popsuć, jeżeli w szczytowym momencie zacznie wykrzykiwać imię jakiejś Lindy.

- Możesz do mnie mówić Honey. - Wyrwała się z jego objęć i zrobiła mały piruet. Króciutka spódniczka podfrunęła jak na filmie z Marilyn Monroe. Honey uwielbiała stare filmy. Czasami, oczywiście bardzo rzadko, zamykała się sama w domu i zwinięta w kłębek na kanapie oglądała je godzinami.

Podbiegła do zaparkowanego przy krawężniku czerwonego mercedesa. Usiadłszy na krawędzi otwartego samochodu (z myślą o tej chwili zostawiła go z opuszczonym dachem), wdzięcznym ruchem przerzuciła nogi do środka. Facet dosłownie pożerał ją wzrokiem.

- Na co czekasz? Jedziesz czy nie?

- Rany! To twój wózek? Musisz być nadziana.

- Masz coś przeciwko temu?

- Nie. Skąd?

- No to wskakuj! Zetniemy ten kiosk z popcornem.

- Co takiego?

- Nieważne. To kwestia z filmu. - Chyba z „Buntownika bez powodu”. A może „Amerykańskiego graffiti”. W tej chwili nie mogła sobie przypomnieć.

Kluczyki tkwiły w stacyjce. Gdy podbiegł parkingowy, Honey zadarła spódniczkę i wyjęła zza pończochy zwój banknotów, po czym wręczyła parkingowemu dwadzieścia dolarów.

- Do zobaczenia, Honey! - podziękował.

Kiedy się odwróciła, poderwany chłopak siedział już w aucie.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

- Do nieba. - Oby się nie łudziła, oby wreszcie się udało!

Modliła się o to w duchu.

Pęd powietrza uniemożliwiał rozmowę. Szkoda, bo chętnie posłuchałaby czułych słówek. Ale może to i lepiej, bo chłopak nie wygląda na okaz inteligencji.

Ze zgrzytem hamulców zatrzymała się przed swoim domem, który mieścił się w najelegantszej dzielnicy miasta, i wysiadła z auta podobnie jak wsiadła. Posługiwanie się drzwiami nie było w dobrym stylu. U Honey wszystko musiało być odjazdowe.

Z lekka oszołomiony chłopak gramolił się niezdarnie.

- Prowadzisz jak... - Urwał, szukając określenia. Na litość boską, tylko niech nie prawi mi kazań! Ruszyła ku domowi, słysząc za sobą jego kroki.

Po otwarciu drzwi pospiesznie wystukała na tablicy cyfry wyłączające alarm, po czym zarzuciła swojej ofierze ręce na szyję.

- Na czym to skończyliśmy? - szepnęła i nie czekając na odpowiedź, przywarła do jego półotwartych ust, a jednocześnie wskoczyła mu na biodra i opasała go nogami.

Jak dotąd wszystko dobrze, przemknęło jej przez myśl. Aż tu nagle! O nie! Znowu się zaczyna!

Najpierw było tylko bum-bum-bum i nieprzyjemne ściskanie w klatce piersiowej. Próbowwała je zignorować, ale walenie nie ustępowało. Jęknęła z rozpacz. Jęk najwyraźniej podkreślił faceta. Wpił się w jej usta i chwycił za pośladki. Honey poczuła, że brakuje jej powietrza.

Nie, nie! Nie tym razem!

Pewnie to dlatego, że zatkał mi nos i nie mogę odetchnąć, pomyślała. Odwróciła głowę, podstawiając do całowania szyję. Albo jestem uczulona na jego płyn po goleniu, pomyślała. Odchyliła głowę do tyłu, aby odetchnąć powietrzem wolnym od jego zapachu. Biorąc to za kolejną zachętę, mężczyzna zabrał się do obcałowywania jej dekoltu.

I wtedy przyszło najgorsze. Tak źle nie było jeszcze nigdy. Tym razem miała uczucie, jakby ostra wiertarka rytmicznym ra-ta-ta wkręcała się w jej płuca. Ból przeszył jej piersi i zaczęła się dusić. A co najgorsze, oblała się potem. Poci się! Co za hańba!

Zeskoczyła z jego bioder.

- Poczekaj! - wykrztusiła. - Jestem cała rozpalona.

- Ty też? To fajnie.

- Nie, nie w tym sensie. - Co ja gadam? Pomyślała.

Musi złapać oddech albo... Albo zemdleje.

Pokój wirował jej przed oczami. Wirowały wiszące na ścianach obrazy, wirowało zdjęcie Marcusa w odświętnym wojskowym mundurze, wirowały fotografie drugiego brata i rodziców, a nawet zdjęcie prezydenta Stanów Zjednoczonych ściskającego dłoń wujka Russa.

Potem wszystko nabrało perłowszarej barwy.

- Chwileczkę! - wykrztusiła, odpychając nieszczęsnego uwodziciela. - Muszę... wyjść... na dwór.

Wybiegła do ogrodu i tam oparła się o kamienną podstawę słonecznego zegara. Wdech, wydech, wdech, wydech. Już dobrze, pomyślała. Minęło. I wtedy poczuła jego ręce obejmujące ją w talii, sięgające jej piersi. Serce Honey zaczęło bić jak szalone, ciało oblało się potem, pociemniało jej w oczach.

- Strasznie przepraszam - zdołała jeszcze wymamrotać, nim ostatecznie straciła przytomność.

- Moim zdaniem cierpi pani na utajony wstręt do seksu o niejasnym podłożu - oświadczył seksuolog.

Dla Honey diagnoza była jak dźgnięcie nożem. Odeszła od okna gabinetu i zbliżyła się do biurka.

- To wszystko, co może mi pan powiedzieć po zainkasowaniu trzystu dolarów? Że nie lubię seksu?

- Seks powoduje u pani odruch obronny. Opisane objawy to typowe ataki fobii.

- Ale z pana Sherlock Holmes! Tyle to sama wiem. Ze zdenerwowania o mało nie zerwała zakrywających jej twarz wielkich ciemnych okularów. Na dodatek czapka baseballowa, pod którą wepchnęła swoje niesforne włosy, z trudem trzymała się na głowie. Kamuflaż obejmował ponadto pożyczone z matczynej szafy eleganckie jedwabne spodnie. Dziś nie mogło być mowy o minisukience. Podała też psychoanalitykowi fałszywe nazwisko, a za wizytę zapłaciła z własnego kieszonkowego, aby nie zdradzić nazwy firmy, w której była ubezpieczona.

A wszystko po to, by nikt się nie dowiedział, że Honey Evans osunęła się zemdlona we własnym ogrodzie niczym ścięta lilia, ponieważ poderwany w klubie mężczyzna zaczął się do niej dobierać. Gdyby rzecz się rozniosła, Honey znowu niechybnie padłaby zemdlona - tyle że ze wstydu.

- Jest pani dziewicą, prawda?

Zatrzymała się w pół kroku i odwróciła na pięcie.

- Ależ skąd! - zaprotestowała.

- W takim razie proszę mi powiedzieć, co się dzieje, kiedy między panią a mężczyzną dochodzi do zbliżenia?

- Jakie tam zbliżenie! Chciałam tylko, żeby mnie przeleciał! -

Oklapła nagle, jakby uleciało z niej powietrze, i opadła na fotel naprzeciw biurka psychiatry.

- Poddaję się. Fakt. Z nikim jeszcze nie spałam. - Natychmiast jednak wyprostowała się i groźnie dodała:

- Nikomu o tym ani słowa, bo...

- Ależ panno Benton, komu miałbym o tym mówić? Honey zatrzepotała powiekami. Dzwoniąc rano do lekarza, by umówić się na wizytę, nie pomyślała, jak się przedstawi, toteż kiedy recepcjonistka zapytała, jak się nazywa, bezmyślnie podała nazwisko swojej najlepszej przyjaciółki, bo ono pierwsze przyszło jej do głowy. Był to postępek nie tylko nieuczciwy, ale na dodatek głęboko niesprawiedliwy, gdyż słodka Carey już dawno zdążyła pozbyć się tak zwanej cnoty.

- Chcę tylko wiedzieć, co robić, żeby to się nie powtórzyło.

- Proszę się zapisać na następną wizytę. Honey zerwała się na równe nogi.

- Ale ja muszę wiedzieć już! Wieczorem mam randkę.

- Sądziła pani, że załatwimy sprawę w ciągu godziny?

- Za trzysta dolarów? No pewnie.

- Zaczniemy od trudności z oddychaniem...

- Nie, nie - zaprotestowała gwałtownie. - Nie słuchał mnie pan.

Zaczyna się od walenia w piersi.

Lekarz zajrzał do swoich notatek.

- Najpierw bum-bum-bum, a potem ra-ta-ta - dodała.

- Czym pierwsze różni się od drugiego?

- Bum-bum-bum jest mocne i powolne, a ra-ta-ta szybkie i ostre.

- To pani serce tak reaguje.

- Wiem! Moje serce protestuje, kiedy chcę się z kimś przespać.

- No, nareszcie mamy od czego zacząć - stwierdził lekarz, odkładając długopis. - Niestety czas wizyty upłynął. Radzę odwołać dzisiejszą randkę i umówić się na kolejną sesję w przyszłym tygodniu.

- Nie ma mowy. - Honey była bliska nerwowego załamania. - Wczoraj po raz pierwszy straciłam przytomność. Zaczęło się od bum-bum-bum, potem przyszło ra-ta-ta, a w chwilę potem leżałam w krzakach! Musi mi pan pomóc, i to natychmiast!

- A co zrobił pani partner? Domyślam się, że był z panią, kiedy to się stało.

- Tak.

Jedno jest pewne, przemknęło spanikowanej Honey przez głowę. Nie może się więcej pojawić w klubie Murphy'ego. Podrywanie chłopaków, żeby z powodu bum-bum-bum i ra-ta-ta odesłać ich z kwitkiem, to betka. Z tym potrafiłaby sobie poradzić, a nawet obrócić na swoją korzyść. Ale po tym, jak wylądowała wśród róż niby podcięty kwiat, sprawa nie będzie taka prosta.

- Nie ma na to jakiejś pigułki, czy bo ja wiem czego? - poprosiła.

- Musiałbym najpierw poznać źródło problemu, a tego nie da się zrobić w ciągu jednej godziny - wyjaśnił lekarz.

Honey trzasnęła pięścią w biurko. Ten bezczelny seksuolog chce się na niej obłowić!

- I co, miałabym panu opowiadać o swoim dzieciństwie?

- To by mogło wiele wyjaśnić - odparł spokojnie.

- A póki co, mam żyć w celibacie?

- Zdarzają się gorsze rzeczy.

- Niech pan mówi za siebie - parsknęła.

- Czy to takie trudne do zniesienia?

- A niby po co tu jestem? Muszę dbać o swoją opinię. Jeśli się wyda, co mi się wczoraj zdarzyło, będę skończona!

- Na czyjej opinii tak bardzo pani zależy? Honey zamachała rękami.

- Jak to czyjej? Moich przyjaciół. Mojej rodziny. Mojej... -
Urwała nagle. - Mojej rodziny - powtórzyła.

Uderzyła się w czoło z takim rozmachem, że baseballowa czapka o mało nie spadła jej z głowy. Poprawiwszy ją jednym ruchem, poszła w kierunku drzwi.

- Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł. Gdyby kiedyś potrzebował pan świadka obrony dla zaświadczenia, na co może pacjent liczyć u pana za trzysta dolarów, proszę do mnie zadzwonić.

- Panno Benton!

- Tak? - Odwróciła się z ręką na klamce.

- Naprawdę radzę umówić się na następną sesję.

- Dziękuję, ale to niepotrzebne. Wiem już, czego mi trzeba.

Lekarz patrzył na nią z zaciekawieniem. Poczowała chęć podzielenia się z nim swoim odkryciem.

- Jak poderwę frajera, zabieram go do naszego domu. I wtedy to się dzieje. Za każdym razem.

- Frajera?

- No, napalonego faceta. - W podnieceniu o mało nie zerwała czapki z głowy. - Wszystko dlatego. Bo za każdym razem zabieram

ich do domu. - Ściszyła głos. - I przez cały czas czuję na sobie ich spojrzenia.

- Czyje?

- Ojca, matki, braci.

- Chce pani powiedzieć, że usiłuje uprawiać seks na oczach rodziny?

- Nie, no skąd! - zgorszyła się Honey. - Nie dosłownie. Chodzi o dom. Nasz rodzinny dom w mieście. Teraz rodzice prawie w nim nie bywają. Większość roku spędzają w Conover Pointę. Bracia też się wyprowadzili. Mam dom dla siebie. Ale jestem przekonana, że zmiana otoczenia rozwiązałaby cały problem, nie sądzi pan?

- Panno Benton, problem tkwi w pani psychice, a nie w otoczeniu.

- Niby dlaczego?

- Skoro chyba nie przekonam pani o konieczności ponownej wizyty, to przynajmniej poświęcę pani jeszcze kilka minut. Otóż uważam, że przyczyna opisywanych ataków paniki tkwi w tym, że usiłuje pani uprawiać seks z obcymi mężczyznami.

- Ja powiedziałam, że chcę uprawiać seks z obcymi?

- Jeśli dobrze pamiętam, mówiła pani o podrywaniu napalonych frajerów. Dąży pani do zbliżenia seksualnego dla podtrzymania swojej, hm... opinii. Staje się to jednak niemożliwe, ponieważ oznaczałoby to gwałt na własnej psychice.

- Ale ja chcę zadać jej gwałt!

- Tak się pani tylko wydaje.

- Jestem przekonana, że chodzi wyłącznie o dom. Wczoraj wieczorem, kiedy zaczęło mi wirować przed oczami, myślałam tylko o rodzinnych obrazach.

- Wirowały pani przed oczami?

- O, tak. - Wykonała kilka szybkich obrotów ręką.

- Kręciły się w kółko. Obrazy i fotografie. Muszę po prostu zmienić otoczenie.

- Nadal utrzymuję, że nic się nie zmieni, niezależnie od miejsca. Gdyby psychicznie była pani naprawdę zdolna do seksu z przypadkowo napotkanymi, hm... frajerami, już dawno nie byłaby pani dziewicą.

- Jeszcze się przekonamy - rzuciła Honey, wychodząc zdecydowanym krokiem z gabinetu.

Jej mercedes stał zaparkowany trzy przecznice dalej. Wołała nie zostawiać rzucającego się w oczy auta przed budynkiem z tabliczką znanego seksuologa. Dach był wprawdzie opuszczony, ale tym razem wsiadła do samochodu, otwierając drzwi. Dopiero będąc w środku, spostrzegła zatknięty za wycieraczkę mandat.

- Sześćdziesiąt pięć dolców za to, że zabrakło mi ćwierćdolarówek?! - wykrzyknęła.

Kiedy otwierała skrytkę, by wrzucić do niej mandat, na podłogę wysypały się paczuszki z prezerwatywami. Mruknąwszy pod nosem: „Chciałaby dusza do raj!”

- zebrała je z podłogi i wyrzuciła na chodnik. Paru bezdomnych będzie miało dzisiejszej nocy zapewniony bezpieczny seks.

Przekręciwszy kluczyk w stacyjce, nacisnęła pedał gazu.

Dobrze będzie uciec na najbliższy weekend do Conover Pointe i tam poczekać, aż przestaną gadać o jej wczorajszej wpadce. Weźmie ze sobą stare bryczesy i poprosi ojca, by pozwolił jej pojeździć na którymś z arabów. A jeżeli stajenny pozwoli jej osiodłać Czarnego, wyładuje całą swoją złość i frustrację. Parę lat

temu ogier święcił triumfy na najbardziej prestiżowych wyścigach. Tak, ostra przejażdżka na Czarnym dobrze jej zrobi. A byłoby jeszcze lepiej, gdyby uwiodła któregoś z równie ciemnych i przystojnych latynoskich stajennych. Może jednak nie, bo gdyby rzecz doszła do ojca, biedak natychmiast wyleciałby z pracy...

No to są jeszcze młodzi praktykanci, z którymi się wychowywała. Na przykład Kyle Kilmartin albo Geoffrey Paige.

- Ale z ciebie idiotka! — mruknęła pod nosem. Jeżeli ojciec albo jeden z braci przyłapie ją na gorącym uczynku, nikt co prawda nie straci pracy, ale ona i jej nieszczęsny partner staną razem na ślubnym kobiercu, zanim któreś zdąży powiedzieć trzy słowa. Tak więc praktykanci odpadają. Honey nienawidziła swojego dziewictwa, ale z dwojga złego wolała już to, niż zmienić się w podobną do matki szacowną mężatkę.

A w ogóle to Conover Pointe i tak nie wchodzi w grę. Jako stałe miejsce pobytu rodziców miałyby na nią równie zgubny wpływ jak dom w Waszyngtonie. Na to, żeby się uporać ze swoim cholernym

problemem, musi się znaleźć w zupełnie nowej scenerii. I tu olśniła ją genialna myśl.

- Wesele Marcusa! - wykrzyknęła na głos, odrywając ręce od kierownicy.

W przyszłym tygodniu starszy brat ma włożyć głowę w małżeńskie chomąto, a cała heca odbędzie się gdzieś w Europie, na małej wysepce u wybrzeży Portugalii. Na wyspie roi się pewnie od europejskich elegantów. Prześpi się z którymś z nich i załatwione.

Wpadła do domu jak burza i rzuciwszy ciemne okulary na stojący w holu ulubiony stoliczek matki z wiśniowego drzewa, pobiegła na górę do swojej sypialni, jakby goniło ją stado wilków. Gdzie wsadziła list Marcusa? W pokoju panował nieopisany bałagan. Parę tygodni temu, opanowana żądzą pozbycia się cnoty, Honey zmieniła warunki gosposi ze stałej na dochodzącą, a ponadto zabroniła jej wstępu do swojej sypialni. Mimo narastającego bałaganu była zadowolona ze swojej decyzji. Gdyby Naeve nadal nocowała w domu, zapewne to ona znalazłaby nad ranem swoją chlebodawczynię leżącą bez przytomności w różanym ogrodzie. I jak by wówczas wytłumaczyła pomocy domowej owo dziwne zdarzenie?

Gdzieś tutaj, w tym pokoju z nieposłanym łóżkiem, w którym na każdym sprzęcie spoczywały porozrzucane części garderoby, a resztę miejsca zajmowały zapchane książkami półki, kasety ze starymi filmami, komputer, magnetowid i aparatura stereo oraz kolekcja dwudziestu sześciu pluszowych misiów najrozmaitszej wielkości z

wszystkich stron świata - gdzieś tutaj musi się znajdować otrzymany sześć tygodni temu list od brata.

Honey otworzyła szufladę nocnego stolika. Znalazła w niej stos starych biletów, dwa nieukończone pamiętniki oraz glinianą figurkę ulepioną przez jedno z dzieciaków z sierocińca pod wezwaniem św. Krzysztofa, którym jakiś czas temu zawiozła dwadzieścia trzy wypożyczone ze schroniska dla zwierząt szczeniaki. Prowadzące ochronkę siostry pewnie do dziś przeklinają ją za ten pomysł, ale maluchy, które zapewne miały

pierwszą w życiu okazję pobawić się z psami, były w siódmym niebie.

Listu jednak w szufladzie nie było.

Honey uklękła na podłodze i zajrzała pod łóżko. Kłęby zbitego kurzu, ale nic poza tym. Postanowiła jeszcze raz przemyśleć decyzję przepędzenia Naeve i jej odkurzacza z sypialni.

W końcu skierowała się do biurka, sprzętu, który ogółowi tak zwanych normalnych ludzi służy do przechowywania korespondencji. List faktycznie znajdował się pod klawiaturą komputera. Zdjąwszy czapkę z głowy, rzuciła ją na rozbabrane łóżko. Bujne loki opadły w nieładzie na jej ramiona. Następnie zdjęła wykradzione z matczynej szafy jedwabne spodnie i z listem w ręku, w białym podkoszulku i skąpych majteczkach udała się na parter.

Poszła do kuchni, wzięła z lodówki puszkę pomarańczowego soku i wreszcie zabrała się do czytania listu.

I o mało się nie zakrztusiła.

Jak to możliwe, że przy pierwszym czytaniu cały początek listu Marcusa umknął jej uwadze? Swoje gapiostwo, fakt, iż nie zwróciła uwagi na coś tak... niewiarygodnego, tłumaczyć mogła tylko i jedynie ostrym atakiem nieodparte potrzeby pozbycia się dziewictwa.

- Panienko?

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z obecności służącej.

- Ach, to ty, Naeve! Jak się masz!

- Panienka jest w samej bieliźnie. -Honey popatrzyła na swoje obnażone nogi.

- Faktycznie. Mnie to nie przeszkadza. Mam nadzieję, że tobie też.

Naeve miała ochotę parsknąć śmiechem, ale tylko pokręciła głową. Kiedy Honey skierowała się ku drzwiom, odezwała się:

- Jakaś panienka blada. Czy coś się stało?

- Nie, ale właśnie się dowiedziałam, że Marcus jest supermanem.

- Większość służby, w każdym razie ci, którzy pracowali u Evansów od dawien dawna, wiedziała, że Marcus jest adoptowanym synem. Po narodzinach Drew rodzice Honey, nie mogąc się doczekać następnego dziecka, adoptowali Marcusa, po czym, kiedy nikt się już tego nie spodziewał, przyszła na świat córeczka, czyli Honey.

- Jak to, supermanem? - zdziwiła się Naeve.

- Píše, że odnalazł swoją prawdziwą rodzinę. Że urodził się z próbówki, czy coś w tym rodzaju.

Sprzątaczką zrobiła lekko przestraszoną minę.

- Jak nie wierzysz, to patrz. Masz, przeczytaj! -dodała, wtykając list w rękę spłoszonej kobiety. - Ja biegnę na górę się pakować. Lecę na wyspę, która nazywa się Brunhia.

Scandalous

ROZDZIAŁ DRUGI

Maxwella Stronga obudziło głośne gdakanie koguta.

Przerzuciwszy nogi przez krawędź koi, w ostatniej chwili schylił głowę, by przy wstawaniu nie rąbnąć czołem w spadzistą ścianę przedniej kabiny niewielkiego pływającego domu, w którym zamieszkał pół roku temu.

Mógł sobie oczywiście kupić znacznie większy i nowocześniejszy jacht, ale to by zniweczyło sens całego przedsięwzięcia. A tak nikomu nie przyjdzie do głowy, że Max Strong podróżuje samotnie dookoła świata na pokładzie liczącej sobie dwadzieścia lat małej żagłówki. Ta łódź, nosząca szumną nazwę „Morska burza”, zapewniała mu anonimowość.

Przeszedł do głównej kabiny, mijając po drodze tablicę nawigacyjną i dwie dodatkowe koje. Kambuz mieścił się na sterburcie. Max otworzył szafkę, po czym wrzucił do maszynki gotową porcję kawy z własnym filtrem, podziwiając kolejny raz ludzką pomysłowość. Gdyby nie zdecydował się porzucić Pittsburgha i wyruszyć w nieznane, pewnie nie dowiedziałby się nigdy o istnieniu tak drobnego, ale nader poręcznego wynalazku. Odkąd porzucił dawne życie - albo, jak sądzili niektórzy, odkąd mu odbiło - Max odkrywał na każdym kroku, jakim anachronizmem byłaby w dzisiejszych czasach znana mu z dzieciństwa kuchnia jego matki.

Po nastawieniu kawy wyszedł na pokład zrobić porządek z kogutem. Ptak przechadzał się po pokładzie, arogancko potrząsając

łbem. Max poszedł do pawęży i podniósłszy pokrywę ławy, wyjął ze schowka plastikowy worek z karmą dla drobiu. Kogut przekrzywił głowę, mierząc mężczyznę uważnym spojrzeniem swoich czarnych ślepi. Max sypnął mu garść karmy w nadziei, że kogut zamknie na chwilę dziób i pozwoli mu wypić w spokoju poranną kawę.

Wrócił pod pokład i z rozkoszą upił pierwszy łyk. Kawa smakowała jak najlepsze mediolańskie espresso. Do pełni szczęścia brakowało mu tylko gazety. Ale właściwie po co? Wiedział z góry, co by w niej znalazł. Dalsze szczegóły afery w Banku Światowym, spekulacje na temat nieudanego rządowego programu genetycznych eksperymentów, no i wiadomości o tajemniczym zniknięciu bajecznie bogatego przedsiębiorcy budowlanego Maxwella Stronga. Zaś z działu towarzyskich plotek dowiedziałby się pewnie, kim jest aktualny kochanek jego byłej żony. Teraz przynajmniej Camille nie puszcza się za jego pieniądze.

No i dobrze, obejdzie się bez gazety. Ma swój jacht, na pokładzie bezczelnego koguta, a na rękach odciski od ciężkiej fizycznej pracy. Ma swoją poranną kawę... która rozprysła się nagle po kabinie, bo gwałtowna fala uderzyła w lewą burzę.

Łódź zachybotała, rzucając Maksa na zlew. Fontanny wody zalały bulaje. Resztką kawy wytrysnęła z kubka, parząc rękę Maksa. Zaklął siarczyście i odstawił pusty kubek do zlewu.

Co za cholera? Pomijając rzadkie wypadki na stałym lądzie do miejscowości o nazwie Portimao, Max tkwił od czerwca na kotwicy w Zatoce Kadyksu, gdzie do tej pory nie zdarzyło mu się spotkać z falą

większą od tej, jaką w basenie pływackim wywołuje skok na brzuch stukilogramowego grubasa.

Wybiegłszy na pokład, pośliznął się na rozsypanym ziarnie i dla utrzymania równowagi musiał się obiema rękami chwycić masztu. Do brzegu zbliżała się pełnym gazem znana mu dobrze motorowa łódź kursująca pomiędzy Brunhią a Portimao, którą prowadziła jakaś obłąkana dziewczyna.

Max patrzył osłupiały, nie pojmując, jaka siła skłoniła właściciela łodzi Amanda do oddania steru w ręce tej wariatki. Na domiar wszystkiego drobny żylasty Portugalczyk był wyraźnie rozradowany i głośno bił jej brawo. Nikt nie znał zdradliwego labiryntu mielizn i podwodnych kamienistych łąch u wejścia do zatoki tak dobrze, jak Amando i miejscowi rybacy, no i ostatnio Max, który miał dość rozsądku na to, by wziąć kilka lekcji u Amanda, który zresztą pomógł mu na początku doprowadzić „Morską burzę” do brzegu wyspy.

Motorówka tymczasem pędziła wprost na wielką podwodną łąkę. Amando w ostatniej chwili przestał klaskać i szybko zamknął przepustnicę, zatrzymując łódź w biegu. Dziewczyna objęła go za szyję i ucałowała. Ku zdumieniu Maksa, Amando nie protestował.

Max z daleka nie widział jej twarzy. Dostrzegł jedynie, że ma fantastyczną figurę i bujne, jasne włosy. Była też, jak teraz zdał sobie sprawę, trzecią obcą osobą, która w ciągu minionego tygodnia przyplłynęła na wyspę. A co najgorsze, wszyscy oni byli cudzoziemcami.

W wielkim domu działo się coś niezwykłego. Max uznał, że nie wróży to nic dobrego. Najazd obcych niesie ze sobą niebezpieczeństwo dekonspiracji.

Mocno zgnębiony zszedł pod pokład, by pokrzepić się drugą kawą przed ostateczną rozprawą z kogutem.

Kiedy kołysanie łodzi uspokoiło się na tyle, by mogła o własnych siłach utrzymać równowagę, Honey wyprostowała się i oparłszy ręce na biodrach, omiotła wzrokiem brzegi wyspy. Brunhia zdawała się zaprzeczać wszystkim jej oczekiwaniom. Na kamienistej plaży nie dostrzegła nikogo, kto mógł aspirować do roli wymarzonego europejskiego kochanka.

Co Marcusowi przyszło do głowy, żeby brać ślub na takim odludziu? Ale zapewne wybór tego miejsca musi mieć coś wspólnego z odnalezieniem jego tajemniczych, wyczarowanych z próbówki braci i sióstr.

Samo dotarcie na nieznaną wyspę granoczyło z cudem. Wczoraj wieczorem przyleciała samolotem do Lizbony, skąd przesiadła się na mały wahadłowiec kursujący między stolicą a Portimao. Dalsza podróż motorówką na Brunhię zapowiadała się ponuro. Właściciel łodzi stawił się po nią w hotelu przed siódmą rano. Z trudem go ubłagała, by zgodził się opóźnić wyjazd o godzinę.

Jednakże przejażdżka motorówką była prawdziwą frajdą. Mniej więcej w połowie drogi Honey przekonała Amanda, żeby dał jej poprowadzić. Sam oczywiście trzymał razem z nią ręce na sterze, zwłaszcza kiedy zbliżyli się do wyspy. Dzięki temu minęli

bezpiecznie podwodne skały i mielizny. Po pokonaniu najtrudniejszego odcinka Amando puścił koło i tylko bił brawo.

Kiedy łódź zwolniła, Honey obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Dziękuję. To było wspaniałe!

- Pani bardzo bonito.

Jego angielszczyzna pozostawiała wiele do życzenia, ale Honey odgadła, że Portugalczyk pochwalił jej urodę. Uważała wprawdzie, że ma za długi nos i zbyt kręcone włosy, niemniej przyjęła komplement z wdzięcznością.

- Dziękuję - odrzekła.

- Inni nie lubią jazda moją łodzią.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Powinni się wyluzować. A właściwie, mam pytanie.

- Voce esta pensando de urno pergunta?

- Chwileczkę, amigo.

Z tylnej kieszeni szortów wyciągnęła podręczny słowniczek. Pierwszy raz w życiu pobłogosławiła w myślach szkołę, gdzie zmuszano ją, między innymi, do nauki hiszpańskiego. Portugalski był trochę inny, ale w zasadzie podobny. Poprosiła Amanda, by powtórzył pytanie, a potem przewertowała w pośpiechu słowniczek i ułożyła sobie w głowie pytanie.

- O que esta la fazer ao vedor para a divertmi-mento aqui? -
Chciała wiedzieć, gdzie na wyspie można się dobrze zabawić.

- Senhora chce się zabawić?

- No właśnie! Zabawić się!

Rozbawiony Amando śmiał się tak długo, że Honey przestraszyła się nie na żarty.

- Zmieniłam zdanie - oznajmiła. - Zawracamy.

Jednakże w tej samej chwili coś ją tknęło. Z niewiadomego powodu poczuła, że musi obejrzeć się przez ramię. Zrobiła to i... stał się cud. Ujrzała swego wymarzonego kochanka.

Stał na pokładzie niewielkiego żaglowca, który zauważyła chwilę temu. Z odległości nie mogła rozróżnić rysów twarzy mężczyzny, lecz jego ciemne włosy lśniły w słońcu, a tors prezentował się nader okazale. Podobnie jak inne szczegóły ciała, które nawet z daleka dawały się zauważyć, bo miał na sobie jedynie krótkie kraciaste kąpielówki.

Amando tymczasem doprowadził motorówkę do brzegu, odpychając się od dna długim kijem.

- Senhora wyskoczy? Salto? - zapytał Amando, pomagając sobie gestami.

- Jasne. - Stanąwszy na dziobie łodzi, Honey wzięła zamach i jednym susem znalazła się na brzegu, po czym rozejrzała się na wszystkie strony.

Od plaży biegła w głąb wyspy poryta koleinami piaszczysta droga, którą po obu stronach zamykały gęsto rosnące drzewa. Po lewej stronie, w odległości kilkuset metrów, dostrzegła grupkę poszarzałych ze starości, drewnianych zabudowań. Wokół chat rosły

drzewa i krzewy, a z jednego komina dobywał się dym, niosąc ze sobą miły zapach wędzonych ryb.

Po przeciwnej stronie plaży gromada małych nagusów pluskała się w morzu. Nieopodal nich siedziała w kucki młoda kobieta o długich, czarnych jak atrament włosach, która, osłaniając oczy ręką, pilnowała bawiących się dzieci. Zmarszczona powierzchnia morza jarzyła się w słońcu miliardem diamentów.

Honey nie mogła odmówić wyspie urody. Była dzika, lecz piękna. Od strony drogi rozległo się skrzypienie wozu.

- Marcus! - zawołała i pobiegła mu na powitanie. Brat siedział na wozie ciągnionym przez muły. Na widok siostry ściągnął lejce. Nim zdążył zeskoczyć na ziemię, Honey rzuciła mu się w ramiona.

- Och Marcus, wieki cię nie widziałam! Musisz mi zaraz wszystko opowiedzieć.

- Witaj, kochanie. Cieszę się, że przyjechałaś. Ale przecież wszystko ci napisałem.

- To za mało. Napisałeś, że twoi rodzice brali udział w jakimś rządowym programie eksperymentalnym i teraz okazało się, że oprócz mnie masz jeszcze co najmniej jedną siostrę. To mi się nie spodobało.

- Nie martw się, kochanie, ty i tak jesteś najważniejsza. - Chwycił ją wpół i posadził na wozie. - Na pewno polubisz Gretchen. Jedziemy do niej. Część wyspy należy do jej męża.

Honey ostrożnie poprawiła się na nieheblowanym siedzeniu. Tego by tylko brakowało, żeby drzazga weszła jej w pupę. Rzuciła

okiem na zakotwiconą daleko od brzegu „Morską burzę”, ale mężczyzna zdążył zniknąć z pokładu.

- Sadząc po tym wehikule, twój kumpel musi być nadziany - mruknęła, krzywiąc nos.

- Moja siostrzyczka jak zwykle jest złośliwa - zauważył ze śmiechem Marcus i poszedł po jej bagaże, które Amando wyładował z motorówki. Wrzuciwszy je na tył wozu, usiadł obok siostry i ruszył w powrotną drogę. - Na wyspę nie mająk sprowadzić samochodu. Woda na milę od brzegu jest tak płytka i najeżona mieliznami, że większy statek nie może tu dopłynąć.

- Mniejsza z tym. Opowiedz mi o Gretchen. Ją też wyhodowali w próbówce?

- Widzę, że nie przeczytałaś mojego listu.

- Oczywiście, że przeczytałam. Jestem tutaj, to chyba najlepszy dowód?

- Przeczytałaś piątą przez dziesiątą, a przyjechałaś tylko po to, żeby narozrabiać i przysporzyć mamie siwych włosów.

- Za drugim razem przeczytałam bardzo dokładnie.

- No to powinnaś wiedzieć, że jestem człowiekiem z krwi i kości, a nie jakimś sztucznym dziwolągiem.

- Nie ma się o co złościć, skoro sam napisałeś, że majdrowali przy twoich genach.

- To prawda.

- No widzisz. Więc co jest w tobie takiego szczególnego? Pokaż mi, co potrafisz.

- Dobrze.

Marcus zatrzymał wóz i zeskoczył na ziemię. Podszedł do leżącego obok drogi wielkiego kamienia, przykucnął, objął głaz ramionami... i podniósł go z ziemi.

- Niech mnie! - mruknęła pod nosem. Brat wdrapał się z powrotem na siedzenie.

- Zawsze byłeś taki silny? - spytała.

- Właściwie tak.

- To dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałeś?

- Wolałem się z tym nie afiszować.

- I co ja mam teraz o tobie myśleć?

- Najwyższy czas, kochanie, żebyś przestała się uważać za pępek świata. A do tych dziwnych spraw lepiej się nie mieszaj.

- To po co mi mówiłeś?

- Musiałem cię uprzedzić. Do końca tygodnia na wyspę przyjedzie kilka podobnych osób. Uznałem, że powinnaś wiedzieć z grubsza, o co chodzi, ale bardzo proszę, żebyś o nic więcej nie pytała.

- Rodzice wiedzą o tym? A Drew?

- Tak, napisałem do rodziców i poprosiłem, żeby zawiadomili Drew.

A więc bracia są nadal pokłóceni, domyśliła się Honey.

- Nie przyjedzie na ślub?

- Wysłałem mu zaproszenie. - Marcus chwycił lejce i muły ruszyły.

- Opowiedz mi o tych eksperymentach - poprosiła.

- Nie ma mowy.

- To niesprawiedliwe - rzekła obrażonym tonem. Znowu to samo. Rodzina traktuje ją jak idiotkę.

Marcus popatrzył na siostrę spod oka.

- Wiem, co myślisz, ale jeżeli chcesz być poważnie traktowana, musisz przynajmniej przestać wdawać się w awantury z policją.

- Jakie awantury z policją? - oburzyła się Honey. - Raz się zdarzyło. I to w dobrej sprawie.

- Nie raz, tylko dwa. Zapominasz o aresztowaniu w barze, kiedy miałaś siedemnaście lat. A jeśli za dobrą sprawę uważasz szarżowanie konno na pikietę obrońców zwierząt, to bardzo cię przepraszam, ale jesteś bardzo naiwna.

- Ale przynajmniej wyraziłam swoje zdanie. Bo wcale nie jest powiedziane, że zwierzęta trzymane w klatce albo w boksie muszą być nieszczęśliwe. Gdyby konie miały rozum, stałyby w kolejce, żeby się dostać do stajni ojca w Conover Pointe.

- Tu akurat masz rację, ale to nie znaczy... Jednakże Honey już go nie słuchała. Jej uwagę przyciągnął wielki wykop nieopodal drogi.

- Co to takiego? - spytała.

- Dawny kamieniołom. Stryj Kurta wydobywał stąd marmur. Po jego śmierci ziemię odziedziczył Kurt, ale złoża były już wyczerpane.

- Jeśli dobrze się domyślam, Kurt jest mężem Gretchen.

- Tak.

- Mojej rywalki o twoje uczucia jako brata.

- Nie bądź niemądra. Nie musisz z nią rywalizować. Chyba żeby chodziło o odczytywanie szyfrów i hieroglifów - dodał z lekkim uśmiechem.

- Bo co?

- Bo każdemu z nas wmontowano specjalne geny. U mnie siłę, a u niej umiejętność rozszyfrowywania znaków.

- Chcesz powiedzieć, że rząd zamierzał wyprodukować ludzkie roboty przeznaczone do specjalnych celów? - spytała Honey, której nagle ciarki przeszły po plecach.

- Coś w tym rodzaju. A teraz zamknij buzię na kłódkę, bo i tak za dużo ci powiedziałem., I nikomu ani słowa. Pamiętaj o mamie i tacie.

To prawda, gdyby ta historia się rozeszła, jej konwencjonalni rodzice byliby zdruzgotani. Niemniej Honey poczuła się głęboko dotknięta posądzeniem o bezmyślne gadulstwo, ale ponieważ znaleźli się już na podjeździe domu, jej uwagę przyciągnęła okazała, piętrowa budowla z mnóstwem kominów i wysoką, oszkloną ze wszystkich stron wieżą.

- Co za wspaniała rezydencja!

- Dom jest rzeczywiście ogromny, ma sześć sypialni, ale do jutra i tak wypełni się ludźmi.

- Żeby nie robić kłopotu, chętnie zamieszkam w wieży - oświadczyła Honey.

Marcus zajechał tymczasem na tyły domu i zatrzymał muły przed okazałą wozownią, po czym zdjął bagaże siostry i poprowadził ją do wejścia.

- Jak się rozpakujesz, przedstawię ci Samanthę. Honey aż podskoczyła z zaciekawienia. Nie do wiary,

Marcus się żeni! Młodszy brat był od małego szalenie ambitny. Chciał dorównać starszemu bratu, ale niezależnie od tego lubił się rzucać w najrozmaitsze przedsięwzięcia i na romansowanie nie miał nigdy czasu.

- Jak ją poznałeś? - zapytała.

- Mniejsza z tym.

Mniejsza z tym? Aha, więc ona też ma coś wspólnego z tą genetyczną aferą, uznała Honey,

Weszli do obszernego holu, od którego biegły w obie strony dwa długie korytarze.

- Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju.

W domu nie było centralnej klatki schodowej. Zamiast niej na końcach obu korytarzy biegły w górę kręcone schody. Honey bardzo się to spodobało. Kiedy weszli na piętro, Marcus zatrzymał się przed drzwiami jednego z pokoiów.

- Nie, nie tu - zaproponowała Honey. - Naprawdę wolę mieszkać w wieży. - Jeśli ma uwieść Portugalczyka z żaglówki, musi trzymać się z dala od rodziny. - Lubię samotność.

- To coś nowego - zdziwił się Marcus.

- Ludzie się zmieniają - odparła, robiąc filozoficzną minę. - Naeve już ze mną nie mieszka, przychodzi tylko na dzień. Myślę nawet o wynajęciu własnego mieszkania.

- Musiałabyś pamiętać o comiesięcznym czynszu.

- Niekoniecznie. Mogę zapłacić choćby za rok z góry.

Po drugiej stronie domu wzdłuż korytarza biegła barierka.

Honey spojrzała w dół.

- Ojej! - wykrzyknęła. Zdarzało jej się bywać w najszykowniejszych rezydencjach, ale. nigdy nie widziała salonu tak imponujących rozmiarów. Sam kominek mógł w sobie pomieścić pieczonego w całości bawołu. W jednym końcu sali stały głębokie kanapy otoczone fotelami i mieścił się bar, a na drugim dostrzegła bilardowy stół i parkiet do tańca. Z sięgającego piętra sufitu zwieszał się ogromny kryształowy żyrandol.

- Tutaj weźmiemy ślub - rzekł Marcus, otwierając drzwi, za którymi znajdowały się kolejne, znacznie węższe schody. - Mam taszczyć twoje walizy na samą górę?

- Po sztuczce z głazem nie weźmiesz mnie na litość - oświadczyła Honey, wchodząc na osnutą pajęczynami klatkę.

- Pokój w wieży nie jest przygotowany dla gości.

- Nic nie szkodzi.

- Odkąd stałaś się taka niewymagająca? - zdziwił się. - Co ty knujesz?

Pokój był idealnie okrągły, a z otworu w suficie zwieszał się gruby sznur od dzwonu. Honey lekko poruszyła sznurem.

- Ani się waż! - krzyknął Marcus.

- Żartowałam.

Honey obeszała pokój, którego okna wychodziły na cztery strony świata. Miała przed sobą całą Brunhię. Wyspa miała kształt wąskiego, długiego pasa lądu, na którego północnym końcu znajdował się dom. Po prawej stronie biał w słońcu stary kamieniołom, z lewej zaś widniał poszarpany brzeg plaży. Dużą część wyspy pokrywał gęsty las.

- Jeśli naprawdę chcesz tutaj zamieszkać, poproszę

Rafaelę, żeby przyniosła składane łóżko i pościel. Chociaż nie rozumiem, co napadło moją siostrzyczkę, która dotąd nie uznawała niczego poniżej pięciogwiazdkowych hoteli.

- Mam swoje powody.

- Tego się właśnie obawiam.

- Później ci powiem. Ale teraz umieram z głodu.

- Za kwadrans siadamy do późnego śniadania - odparł Marcus, kierując się ku drzwiom. - W dużej sali na dole.

Po jego wyjściu Honey rozejrzała się za miejscem do mycia, ale w pokoju nie było nawet umywalki. No trudno, pomyślała. Pewnie niżej znajdzie się jakaś łazienka. Warto trochę pocierpieć, aby mieć pełną swobodę ruchów. Wyszła na schody, które, jak już wcześniej zauważyła, biegły nie tylko na piętro, ale na sam parter.

Schody na dole kończyły się drzwiami, a kiedy je otworzyła, znalazła się w kuchni. Z jednej strony stały kuchenki gazowe, a z

drugiej wielka lodówka, za którą były drzwi wychodzące wprost na dwór. Fantastycznie! Droga na nocne eskapady stoi otworem!

Po kuchni krzątała się starsza kobieta o czarnych, przyprószonych siwizną włosach. Miała na sobie taką samą długą ciemną spódnicę, jak pilnująca dzieci na plaży, o wiele od niej młodsza Portugalka.

- Dzień dobry pani. Kobieta podskoczyła.

- Ale mnie pani przestraszyła!

- Przepraszam. Jestem siostrą Marcusa - oznajmiła.

- Ta, co chceć mieszkać w wieża?

- Aha.

Ku zdziwieniu Honey twarz służącej rozjaśnił uśmiech.

- Bonito pokój, no?

- Ma cudowny widok.

- Jestem Rafaela. Ricardo i ja, my mieszkali tam po ślubie. Za starego senhor. My się wtedy pobrali. Nie mieli my dinheiro, żeby pojechać do Portimao, i senhor dał nam tam pomieszkać.

Honey rozejrzała się łakomie po kuchni.

- Gdzie można coś zjeść? Alimento?

- Tamtędy - pokazała jej drogę Rafaela.

Na przeciwnym końcu kuchni mieściły się kolejne drzwi, prowadzące wprost do wielkiej sali. Honey zatrzymała się na progu, oszołomiona jej ogromem. W wielkim pomieszczeniu były tylko cztery osoby.

Ta rudawa kobieta obok Marcusa to pewnie jego narzeczona. Druga siedziała na kanapie, obejmując ramieniem nieznanego mężczyznę. Honey przyjrzała się Samancie. Jej przyszła szwagierka miała fantastyczną figurę, a na twarzy uśmiech wyrażający szczerą sympatię i zaciekawienie.

Marcus podbiegł do siostry i podprowadził ją do narzeczonej.

- Samantho, to jest Honey. Honey, poznaj Samanthę.

- Cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać - rzekła Samantha, podając jej rękę. - Marcus wiele mi o tobie opowiadał.

- Domyślam się - z lekkim westchnieniem odparła Honey.

- A to moi przyjaciele, Gretchen i Kurt, dzięki którym nasz ślub może się odbyć w bezpiecznym miejscu - dodał Marcus, zwracając się do siedzącej na kanapie pary.

- A co wam grozi? - zaciekawiła się Honey.

- To tajemnica - odparli wszyscy, jakby się umówili. Honey przyjrzała się z bliska nowo odkrytej siostrze

Marcusa i serce jej zamarło, dostrzegła bowiem między nimi niewątpliwe fizyczne podobieństwo.

Kiedy Gretchen wstała z kanapy, by ją uściskać, okazało się, że jest w ciąży.

- Cześć! - powiedziała Honey z rezerwą. - Miło mi cię poznać, ale zastrzegam sobie jako jego siostra prawo pierwszeństwa.

- Oczywiście. Ale to nas powinno zbliżyć - odrzekła Gretchen z miłym uśmiechem.

- Najpierw musiałabym więcej wiedzieć o tym genetycznym hokus-pokus.

- Nie ma mowy! - padła zbiorowa odpowiedź.

- To zaczyna być nudne - poskarżyła się Honey, spoglądając po twarzach otaczającej ją czwórki. - Jeżeli chodzi o jakąś tajemnicę wagi państwowej, to wiedzcie, że zostałam dopuszczona do pracy w Białym Domu.

- Jako telefonistka - chłodno zauważył Marcus. To był bolesny cios. Honey przywykła do tego, że rodzice i bracia traktują ją protekcjonalnie, niemniej od pewnego czasu zaczęła się przeciw nim buntować. Kiedy zaproponowano jej pracę stażystki w Białym Domu, odrzuciła ciekawsze oferty i poprosiła o przydział do centrali telefonicznej, bo nie miała pewności, czy wybrano ją ze względu na osobiste zalety, czy też dlatego, że ojciec albo wuj pociągnęli za odpowiednie sznurki.

- Twoja opinia robi wrażenie! - roześmiał się Kurt, wstając z kanapy. Był bardzo przystojnym mężczyzną o otwartej, ujmującej twarzy. Honey od razu poczuła do niego sympatię.

- Nie jesteś głodna? - zapytała Gretchen.

- Jak wilk.

- No to do dzieła. Mamy jajka na bekonie, grzanki i owoce. - A także ostrygi - dodała z uśmiechem, zapraszając gości do stołu.

Miała osobliwą twarz - życzliwą, ale jakby nieprzeniknioną. W sumie jednak da się z nimi wytrzymać, uznała Honey, podchodząc do stojącego w kącie bufetu. Nie usiadła jednak razem z innymi przy

stole, tylko na pobliskiej kanapie, jedząc z trzymanego na kolanach talerza.

- Podobno postanowiłaś zamieszkać w wieży -zwrócił się do niej Kurt, który też nie zajął miejsca przy stole.

- Z wieży jest piękny widok.

- Rafaela zaraz przygotuje ci łóżko - odezwała się Gretchen. - A jeśli chodzi o urządzenia sanitarne...

- No właśnie! - roześmiała się Honey.

- To możesz korzystać z naszej łazienki, mojej i Kurta. Jak zejdziesz ze schodów, pierwsze drzwi na prawo. A jeśli chodzi o rozrywki - ciągnęła Gretchen - to obawiam się, że nasza wyspa ma niewiele do zaoferowania.

Zależy, jakie kto ma plany, pomyślała Honey.

- Och, znajdę sobie jakieś zajęcie - odparła.

- Jeżeli chcesz pojeździć po wyspie, to w wozowni stoi kilka skuterów.

- I kilka mułów - dodał Marcus. - Lepiej nadają się do zwiedzania.

Honey poczuła się dotknięta. Ona miałaby jeździć na mule?

- Raczej wezmę skuter - mruknęła.

- Tylko błagam, nie popsuj mi wesela.

Honey zauważyła, że Samantha z wyraźnym rozbawieniem przysłuchuje się ich rozmowie.

- Bądź spokojny. Mam swoje plany na weekend.

- Opowiedz nam o nich - zainteresowała się Gretchen.

Marcus otworzył usta, by coś powiedzieć, pewnie kolejną złościwość pod jej adresem, więc nie dopuściła, go do głosu. Postanowiła mu dokuczyć.

- Chętnie - odparła. - Zamierzam uwieść pewnego Portugalczyka. Zafunduję sobie przelotny romans z tubylcem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Łapanie koguta zajęło Maksowi ponad dwadzieścia minut. Robił to już po raz trzeci, toteż sprytny bydlak zdążył poznać jego metody. Max parokrotnie zarzucał sieć na ptaka, ale tamten w ostatniej chwili umykał w przeciwny kąt pokładu. Rozejrzawszy się, czy nikogo nie ma w pobliżu, Max zaczął więc wydawać gdaczące dźwięki, które, przynajmniej w jego mniemaniu, miały zmusić koguta do uległości.

Po chwili zdał sobie sprawę, że rozejrzał się bynajmniej nie ze względu na tubylców, którzy i bez tego uważali go za szajbusa, lecz dlatego, bo pomyślał o zwariowanej blondynce, która niedawno usiłowała roztrzaskać łódź Amanda o podwodne skały. A ten stary wyga bił jej brawo!

Prawdę mówiąc, Max ani rusz nie mógł o niej zapomnieć. Wcale nie dlatego, że była wcale niczego, w końcu ładnych kobiet na świecie nie brakuje. Ale to, że wzbudziła podziw starego Amanda, warte było zastanowienia.

Kogut tymczasem ostrożnie wychynął z kąta pokładu. Zapominając o atrakcyjnej blondynce, Max jednym susem rzucił się na opornego ptaka. Po krótkiej walce rozpaczliwie bijący skrzydłami i drapiący pazurami kogut znalazł się w sieci. Max szybko zawiązał sieć na supeł i wrzucił zawiniątko do stojącej na linie przy sterburcie małej szalupy.

- Tym razem pójdiesz do garnka, nie zamierzam cię bronić - groźnie oznajmił ptakowi, wskazując do łodzi. Włączywszy zewnętrzny motorek, popłynął na brzeg.

Dobił do plaży i niosąc w ręku rzucającego się w sieci koguta, skierował się do malutkiej wioski o nazwie Deus Fornece. Składała się ona z dwunastu chat i miała nie więcej jak osiemdziesięciu mieszkańców, których roczne dochody stanowiły drobny ułamek tego, co Max zarabiał w ciągu godziny, niezależnie od tego, czy żył w ukryciu, czy też stał u steru swego finansowego imperium. Czuł się wśród miejscowych ludzi nieporównanie lepiej, niż kiedykolwiek w towarzystwie trzęsących światem polityków.

Lourdes siedziała w kucki nad wodą, oprawiając pozostawioną na użytek rodziny część złowionych nocą ryb. Jej mąż Tulio płynął teraz z resztą połowu na targ do Portimao. Wróci w południe i pójdzie spać, żeby o zachodzie słońca znów wypłynąć w morze. I tak na okrągło.

- Znowu znalazłem na pokładzie koguta - oznajmił Max, podchodząc do kobiety. - Wrzucę go z powrotem do kurnika.

- Będzie mi bardzo przykro.

Mieszkańcy wyspy znali sporo angielskich słów, on liznął trochę portugalskiego, więc w sumie jakoś się porozumiewali.

- Za pracę trzeba zapłacić - upierała się kobieta.

- Mnie nie trzeba. - Max czuł się bezradny. Tyle razy już przez to przechodził. Miejscowi podrzucali mu w nocy na pokład kury i

koguty, dorady i inne ryby, czasami znajdował nawet na skraju plaży związanego prosiaka.

Ręce zgrubiały mu nie tylko od żeglowania. Głównie od naprawiania rybackich sieci, filetowania ryb i remontowania rybackich łodzi. Max znał się na ciesiołce. Od tego zaczynał - kiedyś, w odległej przeszłości. Teraz pomagał tym ludziom dla przyjemności, ponieważ nie miał nic do roboty, a oni potrzebowali rąk do pracy. Ale dumni biedacy koniecznie chcieli mu płacić - jemu, który miał miliardy.

Kogut z nową siłą zaczął rzucać się w sieci. Max zaniósł go do kurnika za domem i wpuścił do kojca, następnie wszedł do przybudówki, w której mąż Lourdes pozwolił mu trzymać skuter.

Wsiadł na siodelko i zapuścił motor. Z każdym kilometrem, który zbliżał go do wielkiego domu na końcu wyspy, czuł się coraz bardziej nieswojo. Od wielu miesięcy rozmawiał niemal wyłącznie z miejscowymi rybakami. Nie to jednak było główną przyczyną jego zdenerwowania. Zamierzał spytać Kurta, czy spodziewa się dalszego najazdu obcych osób na wyspę, a jeśli tak, to na jak długo. Obawiał się, że na Brunhię przyplynie ktoś, kto mógłby go rozpoznać.

Nie chciał opuszczać wyspy. O jej istnieniu dowiedział się w maju od Kurta, kiedy wpadli na siebie w małym kairskim barze. Z tego, co od niego wtedy usłyszał, Brunhia spełniała wszystkie jego oczekiwania. Na wyspie nie było telefonów, telewizji ani gazet, a nikt z mieszkańców nawet nie słyszał o istnieniu Maxwella Stronga.

Ale jeżeli Amando będzie zwoził kolejnych gości, sytuacja diametralnie się zmieni. Kurt ani słowem nie wspomniał, że zamierza sprowadzić na Brunnię pół Europy i Ameryki.

Przymusowy powrót do jego świata bynajmniej mu się nie uśmiechał. W każdym razie jeszcze nie teraz. Dopiero by się zaczęło! Wyobraził sobie kobiety usiłujące wszelkimi sposobami zająć przy jego boku miejsce byłej żony; tłumy pstrykających zdjęcia reporterów walczących o tytuł pierwszego, który odnalazł zaginionego Maksa zadreńczających go swoimi sprawami pracowników i kontrahentów; wyrazy zapewne szczerzej, ale jakże irytującej troski kolejnych członków rodziny! Max w bezsilnej złości zacisnął zęby. Potem nakazał sobie się odprężyć, i właśnie wtedy to się stało...

Prowadzenie skutera okazało się nieco trudniejsze niż jazda na rowerze. Honey odkryła, że kierownica reaguje znacznie gwałtowniej. Pewnie dlatego, że skuter rozwija o wiele większą prędkość, wskutek czego lekkie skrócenie kierownicy powoduje natychmiastową zmianę kierunku jazdy. Ufna, że po dokonaniu tego odkrycia z łatwością da sobie radę z kapryśnym wehikułem, mocniej nacisnęła na pedał. Wiatr przyjemnie rozwiewał jej włosy i chłodził twarz. Właśnie sobie przypomniła, że za najbliższym zakrętem droga wiedzie prosto na plażę, kiedy na wprost niej pojawił się on - jej potencjalny kochanek.

Oboje krzyknęli równocześnie. Honey odruchowo szarpnęła kierownicą w lewo. Zapomniała, że wystarczy lekko ją skrócić. Kiedy oderwała oczy od zdumiewająco przystojnej twarzy mężczyzny, jej skuter pędził wprost na sterczący obok drogi stos białych kamieni.

Rozwałę się w drobny mak, przemknęło jej przez głowę. Jednakże rozpędzony skuter odbił się od gładów i poszybował w górę.

Wchodząc w zakręt, Max usłyszał warkot nadjeżdżającego z naprzeciwka skutera, lecz kiedy go zobaczył, na reakcję było już za późno. Dziewczyna jechała wprost na niego. Nie mając czasu na manewry, całym ciężarem pochylił się w prawo. Niestety, zwariowana blondynka w tym samym momencie skręciła w lewo, jakby celowo usiłowała się z nim zderzyć.

Dostrzegł tylko wielką aureolę lśniących w słońcu włosów i malujący się na jej twarzy wyraz niesamowitego upojenia. W następnej chwili skuter Makska położył się na boku, wlokąc go po żwirze, który w jednej chwili zdarł mu skórę z prawego ramienia, łydki i uda. A blondynka fruwała w powietrzu.

Max, który znał już wyspę na wylot, w jednej chwili zdał sobie sprawę, że za skalistym wzgórkim z boku drogi ziemia nagle się urywa, a pod trzymetrowym urwiskiem zaczyna się kamienista, porośnięta gęstymi krzewami plaża.

Dziewczyna zabije się na miejscu.

Zapomniał o swoim incognito. Zapomniał o niechęci do zagrażających jego osamotnieniu przybyszów. Wydobywszy swoje okrwawione ciało spod skutera, wbiegł na skalny wzgórek.

Kiedy dotarł na szczyt, usłyszał z dołu śmiech. Srebrzysty, rozbawiony, najautentyczniejszy w świecie śmiech. Stanął jak zbaraniały. Ona się śmieje?

- Co się tam dzieje?! - krzyknął.

- To ty? - odpowiedział mu głos z dołu.
- W jakim jesteś stanie?
- Poczekaj chwilę. - Na co?
- Sprawdzam, czy jestem cała. - I znowu ten śmiech. - Nic mi nie jest. Gorzej ze skuterem! - odkrzyknęła wesoło.

Nie dość, że najechali jego samotnie, to na domiar wszystkiego sprowadzili uciekinierkę z domu wariatów, myślał ze złością Max, schodząc z urwiska.

- Już do ciebie idę! - zawołał.
- Sama dam sobie... uuuu! Może jednak zejdiesz. Widocznie jednak coś sobie zrobiła. Przyspieszył kroku. Rozpromieniona dziewczyna siedziała na kamieniu.

Maksowi mocniej zabiło serce. Co się z nim, do cholery, dzieje? To pewnie reakcja na nagły przyływ adrenaliny.

Nie mógł oderwać oczu od jej twarzy. Po raz drugi - bo po raz pierwszy, kiedy wzbijała się ze skuterem w powietrze - uderzyła go jej niczym nieskrępowana żywiołowość. Jakby wszystko, co się zdarza, nie wyłączając lotów nad urwiskami i przymusowego lądowania na kamienistej plaży, było kolejną przygodą, kolejnym urozmaiceniem życia.

Odgarnęła włosy z twarzy. Gdyby nie mocno obtarty policzek, byłaby prześliczna. Może dlatego usiadł obok niej na piasku. Przed nieskazitelną pięknnością uciekłby pewnie na cztery wiatry. Ale uroda, która doznała uszczerbku, nie budzi paniki. Zresztą musiał się upewnić, czy jest naprawdę cała.

- Ktoś powinien cię zamknąć w domu bez klamek - oznajmił ponurym głosem.

- Już próbowali, ale zawsze się wymykam. Max surowo zmarszczył brwi.

- Mogłabyś okazać choć trochę skruchy.

- Za co?

- Za zamach na moje życie.

- To był przypadek.

- Cud, że oboje przeżyliśmy. - Własne słowa wydały mu się nieznośnie pedantyczne.

On jest Amerykaninem, zdała sobie sprawę Honey. Czyli nie pasuje do jej planu, bo ten opierał się na założeniu, że miłosna przygoda, jeśli ma się powieść, nie może mieć nic wspólnego z jej dotychczasowym życiem. Choć z drugiej strony, przypatrując się siedzącemu obok mężczyźnie, czuła dziwne mrowienie w całym ciele. Nie bum-bum-bum ani ra-ta-ta, tylko jakby prąd pod skórą.

- Och, przestań się złościć. W końcu nic się nie stało.

- Nic się stało?! - wykrzyknął oburzony. - A to? - zapytał, wskazując rozbity skuter. - Nie mówiąc już o tym, że mam cały bok odarty ze skóry do żywego ciała.

- Zauważyłam. Ale do zderzenia potrzeba dwojga. Nie byłam sama na tej drodze. To ty wypadłeś na mnie z za zakrętu.

- Nic by się nie stało, gdybyś nie jechała środkiem drogi.

- Nie spodziewałam się nikogo spotkać. Poprzednim razem droga była pusta.

- Wobec czego można zapomnieć o przepisach, nie mówiąc już o najzwyczajszym rozsądku? Nie zdajesz sobie sprawy, że stanowisz śmiertelne zagrożenie dla siebie i dla innych?

Naprawdę jest zły, pomyślała. A teraz wstaje. Chce sobie pójść? Zostawić ją? To się Honey jeszcze nigdy nie zdarzyło. Dotąd to ona odprawiała facetów. No, albo mdlała.

Mrowienie wyraźnie się wzmogło. Ten człowiek nie ma pojęcia, kim jestem. Nie wie, że nazywam się Evans, pracuję w Białym Domu i jeżdżę mercedesem. Nie uważa mnie za nieznośną kapryśnicę i flirtiarę. Traktuje mnie poważnie.

Musi go zdobyć.

Teraz nie chodzi jedynie o realizację „portugalskiego planu”. Ma przed sobą uosobienie ideału. Postać z całkiem innej bajki. Honey pierwszy raz od wielu dni odetchnęła pełną piersią. Tego jej było trzeba!

- Mogę cię opatrzyć - zaproponowała, spoglądając na jego skaleczone ramię i udo.

- Nie zbliżaj się do mnie!

- Nie bój się. Skończyłam kurs pierwszej pomocy.

- Pewnie w harcerstwie?

- A co w tym złego? Owszem, w harcerstwie, zanim mnie wyrzucili.

- Wyrzucili cię z harcerstwa? - zdziwił się. Zaciekawilo go, dlaczego organizacja, do której w Ameryce przyjmują dosłownie

każdego, kto chce do niej należeć, postanowiła właśnie ją wykluczyć ze swoich szeregów. - A co zmalowałaś?

- To nie była moja wina - mruknęła, patrząc na jego otarte ramię.

- Każdy tak mówi.

Honey splotła ręce na piersiach. Drobne, ale nader kształtne, pomyślał mimo woli. Nie, nie będzie na nie patrzył. Nie da się w nic wciągnąć. Ma po uszy kobiet, które łaszą się do człowieka, a w głowie mają tylko pieniądze.

Nagle go olśniło. Dziewczyna najwyraźniej nie wie, z kim ma do czynienia. Po raz pierwszy od wielu miesięcy rozmawia z Amerykanką, która go nie poznaje! Pod wrażeniem tego epokowego odkrycia pozwolił obejrzeć swoje rany.

Dotyk jej palców wydał mu się pocałunkiem motyla. Maksowi zakręciło się w głowie.

- Poczekaj - powiedziała. Puściła jego rękę i pobiegła w stronę morza, zdejmując po drodze podkoszulek.

Na szczęście miała na sobie stanik. W sumie jednak była prawie naga. Max przyglądał się jak zaczarowany. Zanurzony podkoszulek w wodzie, dziewczyna wróciła do niego.

- To nic nie da - burknął, starając się nie pokazać, co się z nim dzieje.

- Jak to nic nie da? - obruszyła się. - Morska woda ma cudowne właściwości. Zapobiegnie infekcji, przynajmniej do czasu, kiedy wrócisz na łódź i wszystko porządnie wydezynfekujesz. Masz chyba apteczkę na łodzi?

- Miałem na myśli rozbieranie się do półnaga. Normalne kobiety nie zachowują się w ten sposób w towarzystwie obcego mężczyzny - oświadczył surowo, starając się nie patrzeć na jej biustonosz.

- Ja jestem półnaga? To powinienes zobaczyć mój kostium kąpielowy. A poza tym nie jesteśmy sobie obcy. W końcu razem przeżyliśmy poważny wypadek.

- Nie wiem nawet, jak się nazywasz - odparł wbrew rozsądkowi, który odradzał mu zawieranie z nią bliższej znajomości.

- Elise.

- Ładne imię. Prawie tak ładne jak twój biustonosz.

- Podwójne dzięki. Czy teraz mogę się zająć twoimi ranami, żebyś przed powrotem na łódź nie dostał gangreny?

- A skąd wiesz, że mieszkam na łodzi?

- Dopływając rano na wyspę, widziałam cię na pokładzie.

A więc nie tylko on zauważył ją, ale i ona jego, przemknęło Maksowi przez głowę.

- Zdaje się, że gdybym zdjęła szorty, dostałbyś jak nic ataku serca - roześmiała się, odnotowując z satysfakcją popłoch, jaki pojawił się na jego twarzy.

- Jesteś niemożliwa. Kim właściwie jesteś? - spytał, doszczętnie zbity z tropu.

- Już powiedziałam, jak mam na imię. A ty nie.

Max w pierwszym odruchu o mało nie zdradził swego prawdziwego imienia.

- Jestem Joe - odparł po sekundzie namysłu, podając imię brata, które pierwsze przyszło mu do głowy.

- Cześć, Joe. Miło cię poznać.

- Przykro mi, ale nie mogę tego powiedzieć o sobie.

- Nie udawaj! Wiem, że jest akurat odwrotnie - odparła beczelnie, przykładając mu do ramienia mokry podkoszulek.

- Skąd wiesz, że nie mam na pokładzie całego haremu tancerek z Las Vegas?

- Gdyby tak było, nie jeździłbyś samotnie skuterem i nie gapił się w mój stanik jak sroka w gnat - oświadczyła.

Niechętnie przyznał jej w duchu rację.

- Możesz to zdjąć. Już nie dostanę gangreny. Dziewczyna zdjęła wprawdzie okład z ramienia, ale zamiast dać mu spokój, przyłożyła go do nogi.

- Uuuu! - wykrzyknął. Paliło jak cholera.

- Bądź mężczyzną!

- No, dosyć tego - rzekł po chwili, kiedy pieczenie osłabło, i wstał z kamienia. - A ty lepiej się ubierz.

Honey posłusznie włożyła na siebie mokry podkoszulek, przez co jej wygląd nie stał się ani trochę mniej prowokujący.

- Zadowolony?

- Nie. To znaczy, tak. - Max już miał się odwrócić, by uciec przed nią gdzie pieprz rośnie, przypomniał sobie jednak wpajane mu przez matkę zasady dobrego wychowania. - Odwieźć cię do domu? Twój skuter na razie nie pojedzie.

Honey zastanawiała się przez chwilę. Kusila ją perspektywa wspólnej przejażdżki, ale z drugiej strony, nie chciała, by Joe zbliżał się do jej świata. Wolala go mieć tylko dla siebie.

- Przed wypadkiem wybierałeś się do domu na końcu wyspy?

- Chciałaś powiedzieć, przed zamachem na moje życie.

- Nie wykręcaj się.

- Nie wykręcam się. I wcale tam nie jechałem.

- To dokąd?

- Wybrałem się na przejażdżkę.

Nie mówi prawdy. Ale dlaczego? To ją zaintrygowało.

- Znasz Kurta i Gretchen? - spytała.

- Kogo?

- Mniejsza z tym. - Popatrzyła na drogę. - Dziękuję, ale wrócę piechotą. To niedaleko.

Już miał odejść, gdy przyszło mu do głowy, że nie musi jechać do Kurta, by uzyskać potrzebne mu informacje.

- Mieszkaś w tym dużym domu? - zapytał. - Od dawna nikt tam nie przyjeżdżał, a teraz co chwilę ktoś się zjawia.

- Mój brat bierze... - Urwała. - Ma zostać ujarzmiony.

- Nie to chciałaś powiedzieć.

Honey przeklęła się w duchu. Jeżeli powie mu o ślubie brata, a Joe zna Kurta, to może się domyślić, kim ona jest. Lepiej nie ryzykować.

- Jak długo potrwa to, hm... ujarzmianie? - spytał Max. - I czy potem wszyscy się rozjadą?

- Chyba zaraz potem - odparła, wzruszając ramionami. - Po co mieliby zostawać po... no, jak to się skończy.

Dziwne, pomyślał Max. Ale co go w końcu obchodzą ich sprawy. Wie już najważniejsze, a mianowicie, że najazd na wyspę nie potrwa długo. Wystarczy, jeśli przyczai się na parę dni. Zaczął wspinać się na urwisko, a ona za nim.

Wróciwszy na drogę, podniósł z ziemi przewrócony skuter. Honey machnęła mu na pożegnanie ręką i ruszyła w kierunku domu. Przeszła zaledwie kilka kroków, kiedy zawołał:

- Nie powiedziałaś, za co wyrzucili cię harcerstwa! Honey zawróciła.

- Bo na wencie dobroczynnej mój brat wykupił całe moje stoisko, i uznano, że sama go do tego namówiłam, a więc postąpiłam nie fair.

- Namówiłaś go?

- Nie. On już taki jest. Drew... to znaczy Drexel zawsze tak robi.

- To ten jeszcze nieujarzmiony?

- Nie, drugi.

Max kopnął pedał gazu. Zaraz odjedzie. Honey pożałowała nagle, że się rozstają. Rozmawiając z nim, chyba po raz pierwszy w życiu czuła się naprawdę sobą i zapragnęła ten stan przedłużyć.

- I dlatego, że na obozie włożyłam koleżance węża do śpiwora! - zawołała, ale huk motoru musiał zagłuszyć jej słowa, bo Joe nawet się nie obejrzał.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Honey usiłowała przemknąć się do pokoju w wieży niezauważona.

Cichutko wkradła się do kuchni. Rafaela stała przy kuchennym stole, odwrócona do niej plecami, ugniatając coś w wielkiej dzieży. Honey skradała się na palcach do sąsiednich drzwi, ale podłoga nagle zaskrzypiała i Rafaela obejrzała się przez ramię.

- *O deus bless o, aqueles motocicleta matard alguem!*

Honey nawet bez swojego słowniczka zrozumiała najważniejsze słowa: „O mój Boże, motocykl, zabić się”.

- Nic mi się nie stało. Jestem cała i zdrowa - uspokoiła służącą i już miała wymknąć się na schody, kiedy do kuchni weszła Gretchen, którą z dużej sali zapewne wywabił okrzyk Rafaeli.

- Co się stało? - spytała, spoglądając na policzek Honey.

- Nic wielkiego.

Gretchen podeszła do niej energicznym krokiem i wzięwszy Honey pod brodę, obejrzała skaleczony policzek.

- Teraz rzeczywiście zabolalo - zaprotestowała Honey.

Do kuchni wkroczył Kurt.

- Ale nabiłaś sobie guza! - zauważył. - I dlaczego jesteś cała mokra?

- Skuter zjechał z drogi na urwisko i wylądował na plaży. A koszulkę zamoczyłam w morzu w ramach pierwszej pomocy.

Rafaela złapała tymczasem ścierkę i przeklinając skutery na czym świat stoi, podbiegła do nieszczęsnej Honey.

- Daj spokój, nic mi będzie. Skóra szybko się regeneruje.

- Ale jak panienka będzie wyglądała na weselu? - Służąca załamana ręce.

- Umaluję się i nic nie będzie widać.

- A co ze skuterem? - zainteresował się Kurt.

- Mam nadzieję, że dobry mechanik doprowadzi go do stanu używalności. - Oby tak było, dodała w duchu. A jeśli nie, zrobi to, co zawsze robiła, by naprawić wyrządzone przez lekkomyślność szkody. Zapłaci za nowy skuter.

- Znowu coś zmalowałaś? - usłyszała głos brata. Popatrzyła na niego z urazą.

- Oczywiście zakładasz z góry, że to ja zawiniłam, gdy tymczasem jakiś szaleniec zmusił mnie do zjechania z drogi.

- Jaki szaleniec? Na wyspie nie ma żadnego szaleńca.

- Bardzo się mylisz.

- Po tej drodze poza nami nikt nie jeździ - wtrąciła Gretchen.

- Powiedz to skuterowi - oświadczyła Honey, otwierając drzwi na schody.

- Aleś się urządziła. I to na moje wesele! - rzucił za nią Marcus.

Honey obejrzała się przez ramię.

- Lepiej uważaj, bo jak nie przestaniesz się mnie czepiać, przyjdę na twoje wesele nie tylko bez makijażu, ale i bez ubrania - odcięła się, wbiegając na schody.

Miała ich wszystkich powyżej uszu. Głównie dlatego, że zaledwie dwadzieścia minut temu mogła być naprawdę sobą po raz pierwszy od... może pierwszy raz w życiu.

Wróciwszy do wieży, zdjęła mokry podkoszulek z zamiarem wypłukania go w wannie, ale uświadomiła sobie, że w pokoju nie ma łazienki. Ale przynajmniej nie ma w nim zrzędliwego Marcusa, historycznej służącej ani opiekuńczej Gretchen, uznając, rzucając podkoszulek na podłogę.

Podeszła do okna i wyjrzała na morze. W oddali, przy południowym cyplu wyspy widać było kołyszącą się na łagodnej fali „Morską burzę”. Kim jest tajemniczy Joe? I co tutaj robi?

Na pewno jest Amerykaninem. Głowę by dała, że poza nią, Marcusem i Samanthą oraz Kurtem i Gretchen jest jedynym na wyspie cudzoziemcem. Wiedziała, co oni robią na wyspie, ale skąd on się tutaj wziął, i po co? Pytał, czy na Brunię przyjedzie więcej ludzi i na jak długo.

Coś się jej w tym wszystkim nie zgadzało.

- Ciekawe - mruknęła. Poznała niesłychanie przystojnego mężczyznę, który nie tylko nic o niej nie wie, ale najwyraźniej nie zamierza się do niej dobierać. I do tego nosi w sobie jakąś tajemnicę.

Odeszła od okna i otworzyła jedną z walizek w poszukiwaniu suchej koszulki. Znalazła swoją ulubioną, ozdobioną podobiznami członków grupy rapowej B2K i włożywszy ją przez głowę, zbiegła z powrotem na dół.

Musi porozmawiać z Kurtem. Wydawał się najrozsądniejszy z nich wszystkich. Spróbuje z niego wyciągnąć, czy Joe ma coś wspólnego z tajemniczym pochodzeniem Marcusa. Byłoby fatalnie, gdyby miał bodaj pośredni związek z jej dotychczasowym życiem.

A jeśli przy okazji dowie czegoś o tym genetycznym wariactwie, to tym lepiej. Tak rozmyślając, znalazła się w kuchni.

- Senhora, policzek czerwony - upomniała ją Rafaela.

- To nic, zaraz coś z nim zrobię. Nie wiesz, gdzie znajdę Kurta?

- Ostatnio był w wozowni.

Zobaczyła go, idącego szybkim krokiem przez dziedziniec.

- Przepraszam za rozbicie skutera - powiedziała, usiłując dotrzymać mu kroku.

- Nie martw się. Mamy jeszcze kilka. Ricardo ściągnie go z drogi, a w razie czego sprowadzi z lądu części zamienne - odparł Kurt, nie zwalniając kroku.

- Poczekaj!

Wreszcie się zatrzymał.

- Nie wiem, co ci o mnie naopowiadał Marcus, ale zjechałam z drogi, bo naprawdę szarżował na mnie jakiś wariat.

- Sugerujesz, że mamy na wyspie wariata? Odniosła wrażenie, że Kurt coś ukrywa. Wydawał się trochę zaniepokojony. Trzeba go przycisnąć.

- Bo widzisz, Marcus powiedział mi trochę o tym, co jest z nim nie tak. No a ten wariat jest Amerykaninem. Więc pomyślałam sobie, że on też może być uwikłany w ten genetyczny hokus-pokus. Podobno

w tym tygodniu na wyspę przyjedzie więcej takich jak Marcus. Wiem o tym od niego.

Kurt zasepił się.

- Znowu jakiś Amerykanin węszy na wyspie? Skoro dopadli Zacha i byli na tropie Gretchen, to pewnie nie cofną się przed niczym. Dziękuję, żeś mi powiedziała. Zajmę się tym.

Ale słowa Kurta tylko zaostrzyły jej ciekawość.

- A ten Zach, to kto? - spytała.

- Nie wolno mi z tobą o tym mówić. Ale Honey nie dawała się zbyć byle czym.

- A może ten gość chce dopaść mnie? Mówił, że ma na imię Joe i mieszka na łodzi przy południowym cyplu. Nie obraż się, ale Brunhia nie wygląda na mekkę turystów. Więc co on tutaj robi?

Na twarzy Kurta odmalowała się ulga. Ku jej zdumieniu parsknął śmiechem.

- Joe? Facet z łodzi? To ten twój szaleniec?

- No właśnie.

- Jest całkowicie niegroźny.

- Znasz go?

- Mieszka przy brzegu na jachcie od paru miesięcy.

Uchylił się od odpowiedzi, odnotowała Honey. Zarazem jednak dał jej do zrozumienia, że Joe nie ma nic wspólnego z tą genetyczną aferą. Niemniej nie dawała za wygraną.

- Uważasz, że nic mi nie grozi?

- Oczywiście, że nie. Koalicja dobrze wie, kogo szukać. A ty jesteś poza podejrzeniami.

Koalicja? Honey nie słyszała dotąd tego określenia, niemniej słowa Kurta poruszyły coś w głębi jej pamięci.

Chociaż pracowała w Białym Domu i studiowała nauki polityczne, właściwie nie interesowała się polityką. Jednakże zdarzało jej się przeglądać gazety, a łącząc w Białym Domu telefony, wiedziała, kto dzwoni do kogo i kiedy, a czasami nawet w jakiej sprawie.

- Masz rację - powiedziała w zamyśleniu.

- Jasne, że tak. Gdybyś była w niebezpieczeństwie, na pewno bym ci o tym powiedział.

- Nie o tym mówię. Mam na myśli kampanię „Walki ze strachem”, jaką od pewnego czasu prowadzi administracja prezydenta Stewarta. To wszystko prawda. - Nagłe olśnienie odebrało jej dech. Skojarzyła pokazaną jej przez brata sztuczkę z kamieniem z nasileniem się gorączkowych telefonów, jakie od paru miesięcy obserwowała w prezydenckiej siedzibie. - Masz rację. Jest się czego bać - dodała.

- Muszę już iść - powiedział Kurt.

Ma minę przyłapanego na ściąganiu uczniaka, pomyślała.

- W Białym Domu wiele się ostatnio mówi o pewnym pracowniku CIA, który pod wpływem nerwowego załamania miał nagadać jakichś głupstw.

- Nie wiem, o kim mówisz - bronił się Kurt.

- No ten, który zaczął opowiadać dziennikarzom o dzieciach z probówki, genetycznych eksperymentach, skrytobójstwach i tak dalej.

- Ach, ten. Coś słyszałem.

- Ośmielił się oskarżyć naszą wspaniałą ojczyznę o prowadzenie potajemnie niesamowitych eksperymentów, z których miały się rodzić dzieci o nadludzkich zdolnościach. A teraz okazuje się, że mój własny brat robi za jakiegoś supermana.

- Uważasz Marcusa za supermana?

- Czasami tak się zachowuje. - Honey coś sobie przypomniała. - W którejś z gazet pisali, że część tych dzieci faktycznie przyszła na świat.

- Pewnie w jakimś brukowcu, obok wiadomości o narodzinach cielęcia z trzema głowami?

- Nie próbuj mnie zagadywać. Czytałam o tym w „Washington Post”. Sam mówiłeś, że cały eksperyment prowadziła grupa ludzi, których nazwałeś Koalicją.

- Nic takiego nie mówiłem.

- To kim byli ludzie, którzy „dopadli Zacha”?

- Porozmawiaj o tym z Marcusem - zakończył rozmowę Kurt, oddalając się w kierunku domu.

Jeszcze cię przycisnę, obiecała sobie Honey. Mam cały tydzień. Jaka szkoda, że nie zabrała ze sobą komputera! Mogłaby zajrzeć do Internetu i przeczytać artykuły, jakie na ten temat ukazywały się w prasie. Dlaczego nigdy się nimi nie zainteresowała? Częściowo dlatego, że nie było w nich mowy o Marcusie, a ponadto pracownicy

Białego Domu uważali je za wyssane z palca sensacyjne bzdury. W dodatku była zajęta bankietowaniem oraz kłopotami z bum-bum-bum i ra-ta-ta.

Nawet po przeczytaniu listu Marcusa niczego nie skojarzyła. Pomyślała, iż brat chciał jej powiedzieć, że jego biologiczni rodzice, nie mogąc mieć dzieci, poddali się genetycznej kuracji, której on zawdzięcza wyjątkowe zdrowie i siły. Ale to by nie miało sensu, zdała sobie nagle sprawę. Dlaczego rodzice, którzy tak bardzo pragnęli mieć dziecko, że aż poddali się eksperymentalnemu leczeniu, mieliby potem zmienić zdanie i oddać upragnione dziecko do adopcji?

Tym razem dotarła na wieżę przez nikogo nie zauważona. Spojrzała na zegarek. Nie ma jeszcze drugiej. Może spędzić całe popołudnie na plaży. Szybko zaczęła się przebierać, odkładając na później problem genetycznie spreparowanych dzieci. Oby tylko któregoś dnia nie zobaczyła w gazecie zdjęcia Marcusa obok fotografii owcy Dolly!

Wybór stroju na spotkanie tajemniczego Amerykanina zajął jej blisko godzinę. W końcu zdecydowała się na błękitny kostium kąpielowy, ulubioną bluzkę związaną w pasie na supeł, skarpety i adidas do biegania. Zbliżała się trzecia, kiedy z przerzuconą przez ramię torbą plażową zjawiała się w wozowni.

Zgodnie z przewidywaniami Ricardo nie chciał jej dać nowego skutera.

- Niech panienka pojedzie na Cisco - poradził, wskazując poczciwego muła.

- Nie jeżdżę na zwierzętach mających uszy dłuższe -od ogona - odparła oburzona. - Już wolę iść piechotą. Bądź tylko uprzejmy przeprosić państwa, jeżeli nie zdążę wrócić na kolację.

W rezultacie Ricardo skapitulował.

Wsiadła na skuter i tym razem dotarła bez szwanku do południowej zatoki. Zostawiwszy maszynę za chatami wioski, zeszła na plażę. Wszędzie panowała cisza, a na pokładzie „Morskiej burzy” też nikogo nie dostrzegła. Wyciągnęła więc z torby plażowy ręcznik i już miała się na nim położyć, kiedy na wybiegu dla ptactwa przy najbliższej chacie dostrzegła grupkę dzieci usiłujących złapać kurę. Niewiele myśląc, pobiegła w ich stronę, próbując się z nimi porozumieć łamaną portugalszczyzną, na co dzieci zanosły się głośnym śmiechem.

- Mówią, że nie może pani brudzić sobie rączek

- usłyszała za sobą czyjś głos, a gdy się odwróciła, ujrzała zbliżającą się ku niej młodą, piękną kobietę w długiej czarnej spódnicy. - Nazywam się Paloma -rzekła nieznajoma, ściskając wyciągniętą dłoń Honey.

- Przyjechałaś wczoraj do dużego domu na końcu wyspy, prawda?

- Tak. Chciałam im pomóc złapać kurę - wyjaśniła Honey. - Bo chyba to chcą zrobić, prawda?

- Tak, dla senhora marynarza.

Honey na te słowa mocniej zabiło serce.

W tym momencie z chaty wyszła stara Portugalka, która rozpedziwszy dzieci, jednym zręcznym ruchem złapała dorodnego koguta.

- Brawo, wspaniale! - zachwyciła się Honey.

- To moja mama - wyjaśniła Paloma. - Ma na imię Lourdes.

Zapraszam do nas, napijemy się czegoś dla ochłody.

Honey z ochotą przyjęła zaproszenie. Idąc do chaty, przyjrzała się dzieciom. Były obdarte i chude. Zresztą kury w kurniku nie przedstawiały się lepiej. Pomyślała, że nie wypada jej korzystać z gościnności tak ubogich ludzi. Albo musi się im jakoś odwdzięczyć. Na przykład przysyłając im łódź pełną kur.

Wnętrze chaty było nadspodziewanie obszerne. Pod sufitem z jednej strony zbudowano rodzaj antresoli z dwoma rzędami piętrowych łóżek. Dochodził stamtąd odgłos chrapania. Paloma położyła palec na ustach, po czym podeszła z dzbanem do stojącej w kącie beczki i zaczerpnęła zeń jakiegoś płynu z lodem.

- Adan i ojciec płyną co rano na łód. Żeby sprzedać ryby i odwieźć starsze dzieci do szkoły. A z powrotem przywożą łód i niezbędne zakupy.

- Adan to kto?

- Mój mąż.

- Jesteś mężatką? - zdziwiła się Honey.

- Mam dwadzieścia lat - odparła Paloma, jakby to wszystko wyjaśniało. - A ty nie masz męża?

- O nie! - odparła Honey, wzdrygając się na samo wspomnienie swojej zameężnej matki.

- My tutaj zenimy się wcześniej. I wcześniej zaczynamy pracować. Całymi rodzinami. Im więcej rąk do pracy, tym lepiej. Ale chodźmy stąd. W cieniu na dworze będzie przyjemniej.

Usiadły pod drzewem, popijając z kubków zimny orzeźwiający napój. Honey dostrzegła wychodzącego na pokład Joego.

- Nie wiesz, co on tutaj robi? - spytała, wskazując kubkiem „Morską burzę”.

Paloma pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Ale to dobry człowiek.

- Opowiedz mi o nim.

Paloma zmierzyła Honey uważnym spojrzeniem, a na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech zrozumienia, właściwy wszystkim kobietom bez względu na szerokość geograficzną.

- Zarzucił u nas kotwicę z pół roku temu. Głównie siedzi na łodzi, ale czasami przy pływa do nas i pomaga w pracy. My za to dajemy mu kury albo ryby, ale on zawsze wszystko odwozi. Chociaż nie. Ryby czasami zjada.

A więc najmuje się do dorywczych prac. Ale czy za to można utrzymać żaglówkę? Niemniej poczuła do niego sympatię. Jest pewnie jednym z tych nieprzystosowanych do życia w społeczeństwie, pomyślała.

Zobaczyła, że Joe wsiada do stojącej pod burta łodzi motorowej szalupy. Najwyraźniej wybiera się na ląd. Serce podskoczyło jej z radości.

- Dziękuję za cudowny napój - powiedziała, wstając. - Pójdę się poopalać.

Paloma roześmiała się wesoło.

- Nie ma za co. Przyjdź znowu, to sobie pogadamy. Oto druga dzisiaj osoba, która rozmawiając z nią, nie ma pojęcia, kim ona jest. Nie wie, że ma do czynienia z bajecznie bogatą Honor Elise Evans, która jako nastolatka pozwoliła się zaarrestować za rzekome picie alkoholu w grupie równie jak ona nieletnich rówieśników, chociaż sama nie wypła ani kropli, a wszystko tylko po to, żeby zrobić na złość rodzicom.

- Na pewno jeszcze do ciebie zajrzę - obiecała Palomie.

Pobiegła do swego ręcznika, ułożyła się na słońcu i zamknęła oczy. Dopiero kiedy usłyszała skrzypienie dna łodzi o piasek, sygnalizujące, że Joe przybił do brzegu, usiadła i popatrzyła na niego z szerokim uśmiechem.

Joe na jej widok stanął jak wryty.

- Co cię tu przyniosło? - spytał ostro.

Nie było to zbyt przyjazne powitanie. Honey zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Podziwiam widoki - odparła, nie przestając się uśmiechać.

- Drugi koniec wyspy jest bardziej malowniczy. -Odwróciwszy się od niej, ruszył w stronę domku Palomy.

- Poczekaj! Nie uciekaj!

- A bo co? - Zatrzymał się na chwilę.

- Bo... - Pierwszy raz w życiu zapomniała języka w gębie. Na próżno usiłowała wymyślić jakąś dowcipną ripostę. - Bo chciałabym pogadać.

- Coś mi mówi, że będziesz gadać niezależnie od tego, czy mi się to podoba, czy nie - rzucił, ruszając dalej.

- Widzę, że zaczynamy się poznawać - podjęła, starając się dotrzymać mu kroku. - Jestem ciekawa, co tu robisz. Co cię właściwie sprowadziło na wyspę?

Popatrzył na nią kątem oka, marszcząc czoło.

- Bo tu panuje święty spokój. W każdym razie panował do niedawna. Nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

- Bo życie w Lizbonie kosztuje drożej, czy tak? Tutaj można się utrzymać znacznie taniej...

Doszli tymczasem do wioski. Paloma znikła bez śladu. Joe skierował się do szopy, w której trzymał swój skuter. Honey weszła za nim do środka. Niewiele myśląc, wskoczyła na siodełko, opierając rękę na kierownicy.

- Widzę, że nic mu się nie stało. Czego nie można powiedzieć o moim, który pewnie wciąż leży na plaży.

- Kurt wyśle kogoś po niego - odruchowo odparł Joe, otwierając stojącą w kącie skrzynię z narzędziami.

- Ach, więc znasz Kurta? A Kurt powiedział mi, że nic o tobie nie wie, poza tym, że przyplynałeś na wyspę kilka miesięcy temu.

Sprytna bestia, pomyślał. Potrafi pociągnąć człowieka za język. Zarazem ucieszyło go, że Kurt lojalnie trzyma na jego temat język za zębami.

- Zsiadaj ze skutera, bo znowu spowodujesz jakiś wypadek - rzucił surowo. Wyjąwszy ze skrzyni dwa francuskie klucze, wymaszerował z szopy.

Honey zsunęła się ze skutera i poszła za nim.

- Idzie mi coraz lepiej. Tym razem bez problemów dojechałam do plaży.

- Na moje nieszczęście - burknął.

- Ale wracając do Kurta. Mówiłeś...

- Nic nie mówiłem - przerwał jej. - To ty gadasz jak najęta.

- I co w tym złego?

Dotarli do dwóch wyciągniętych na suchy ląd rybackich łodzi. Max odłożył jeden z kluczy na piasek, a sam zabrał się do wymontowywania pierwszego silnika. Miał nadzieję, że jeśli nie będzie odpowiadał na jej zaczepki, Elise w końcu się znudzi i da mu spokój. Było to, niestety, złudzenie. Zamiast bowiem sobie pójść, weszła do łodzi i usadowiła się na ławce.

- Wszystkie dziewczyny ze wschodniego wybrzeża są takie bezczelne? - odezwał się w końcu.

- Skąd wiesz, że pochodzę ze wschodniego wybrzeża?

- Poznałem po akcencie. Najprawdopodobniej z Marylandu. Na pewno nie z Południa, bo nie przeciągasz samogłosek, ani z Północy, bo tam mają bardziej nosową wymowę.

- To najdłuższa kwestia, jaką od ciebie dotychczas usłyszałam - zauważyła z uśmiechem. - Zaczynasz się ze mną oswajać.

Max roześmiał się, sam nie wiedząc dlaczego.

- To łódź Lope'a. Nie pozwolił ci do niej wsiadać, więc wyskakuj.

- A gdzie mogę go znaleźć?

- Nigdzie. On teraz śpi. Wysiadaj!

- A wracając do mojego pochodzenia, to miałeś rację.

Rzeczywiście pochodzę z Marylandu - powiedziała, nie ruszając się z miejsca. - Skąd tak się dobrze znasz na tym, jak ludzie mówią w różnych częściach Ameryki?

- Kręciłem się tu i tam.

- Włóczęga bez stałego miejsca?

Max zastanowił się. Był nie tyle włóczęga, co uciekinierem. Nie miał jednak ochoty wdawać się z nią w rozważania na ten czy jakikolwiek inny temat.

- A od kiedy włóczysz się po świecie?

Już miał powiedzieć, że od chwili, gdy w Paryżu przyłapał Camille w łóżku z pewnym obrzydliwym Francuzikiem, ale w porę się zreflektował.

- Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy.

- Jestem z natury ciekawa.

Max wyjął silnik i zaniósł go do motorówki. Popracuje nad nim spokojnie na pokładzie „Morskiej burzy”. Coś go jednak podkusiło, by się odwrócić.

- A tak na marginesie, to masz chyba dużo czasu na zmienianie szatek! - zawołał.

- Lubię to - odparła Honey, wyskakując z łodzi. A więc to tak, pomyślał Max. Teraz wszystko jest jasne. Nie mógł tylko zrozumieć, czym sobie na to zasłużył. Zawsze starał się postępować przyzwoicie. Zarówno w interesach, jak w prywatnym życiu. Nie zdradzał Camille, co niedziela dzwonił do matki -w każdym razie do czasu swojej ucieczki od świata -i hojnie wspomagał dobroczynne cele. Dlaczego więc los uparcie wydaje go na pastwę uganiających się za byle rozrywką, bezmyślnych kobiet?

- Nie masz nic lepszego do roboty? - zapytał, umieszczając silnik na dnie łódki.

Na twarzy Honey odmalowała się konsternacja. Nie wiedziała, jak na to zareagować, i w końcu zareagowała w sposób zupełnie dla niej nietypowy.

- Dlaczego mnie nie lubisz? - zapytała.

Max wrócił na plażę, by pozbierać pozostawione na piasku narzędzia.

- Odpowiedz mi. Chcę wiedzieć.

- Nie muszę - odparł, nie patrząc na nią. - Nie widzę powodu.

- Wiesz, co ci powiem?! - zawołała, czując wzbierającą pasję. -

Może nie musisz mi odpowiadać, ale powinieneś wiedzieć, że okazanie drugiemu człowiekowi odrobiny serca nikomu jeszcze nie zaszkodziło. I że życzliwość nic nie kosztuje, a może zrobić wiele dobrego. I jeszcze jedno powinieneś wiedzieć, a mianowicie to, że

niezależnie od tego, kim jesteście, każdy z nas tak samo łaknie ludzkiej sympatii i tak samo rani go bezinteresowna niechęć! - Umilkła na chwilę. - No i patrz, do czego doprowadziłeś! Naprawdę mnie zezłościłeś!

- Ja cię zezłościłem? To ty przyczepiłaś się do mnie jak rzep do psiego ogona. I jeszcze ośmielasz się prawić mi kazania!

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Przynajmniej wyprowadziła go z równowagi.

- Chciałam tylko powiedzieć, że nie musisz mnie źle traktować.

- Nie lubię bogatych pańienek, którym się wydaje, że wszystko im wolno.

- Nie jestem jakąś tam pańienką. Mam dwadzieścia trzy lata. Jestem dorosłą kobietą. A poza tym, skąd przyszło ci do głowy, że jestem bogata? - zaatakowała go, zadowolona, że dał się wreszcie wciągnąć w rozmowę.

- To proste. Żeby przylecieć z Ameryki na nieznaną wyspę trzeba mieć dużo pieniędzy.

- A ty jak się tu znalazłeś? I skąd masz żaglówkę?

- Ja to... - zająknął się. - Dostałem ją w spadku. Po bogatym wujku.

No, nareszcie coś z niego wyciągnęła. Odziedziczył łódź i wyruszył na włóczęgę, chwytając się po drodze dla zarobku dorywczych zajęć.

- A to co? - Zaskoczył Honey, chwytając ją za nadgarstek i spoglądając na jej kosztowny zegarek.

- Prezent od bogatego wujka - odparła. Max puścił jej rękę.

- Jestem sobą i nic na to nie poradzę - dodała z rezygnacją, nienawidząc błagalnego tonu, jaki zabrzmiał w jej głosie.

Nim jednak zdążył jej odpowiedzieć, uwagę Honey przyciągnął warkot zbliżającej się motorówki. Amando wracał na wyspę, wioząc cztery nowe osoby. Kiedy znów spojrzała na Joego, ten siedział już w swojej łódce i oddalał się od brzegu.

Scandalous

ROZDZIAŁ PIĄTY

Honey miała teraz co innego na głowie, niż martwić się o Joego, ponieważ na łodzi Amanda dostrzegła dobrze sobie znaną wiotką brunetkę wpatrzoną miłośnie w obejmującego ją ramieniem ciemnowłosego mężczyznę. Carey Benton? Co u licha sprowadza na Brunnię jej najlepszą przyjaciółkę?

Zrzuciwszy z nóg buty i skarpetki, weszła w wodę na spotkanie zbliżającej się motorówki.

- Oj, panie Tynan! - wykrzyknęła. - Ma pan fatalny wpływ na moją przyjaciółkę. Ukryła przede mną, że wybiera się na Brunnię.

- Ładny strój, panno Evans! - odparł Matt Tynan. - Czy to jakaś nowa moda? - dodał, wskazując wzrokiem porzucone na brzegu sportowe buty i skarpetki.

- Coś w tym rodzaju. Chciałabym, tak jak Carey, przygadać sobie fajnego faceta. Carey może nie o wszystkim mówi, ale powiedziała mi, jak pan wygląda bez ubrania.

- Głupstwa gadasz! - oburzyła się Carey. - A to kto? - dodała, widząc, że spojrzenie Honey pobiegło za odpływającym od brzegu mężczyzną.

- Obiekt, nad którym pracuję - mruknęła Honey, zwracając się z powrotem do nowo przybyłych. - Ale co was tutaj sprowadza?

Carey udała, że nie słyszy. Amando przybił tymczasem do brzegu i Matt pomógł Carey wsiąść na brzeg. No nic, potem wszystko z niej wyciągnę, pomyślała Honey. Przyjazd na wyspę

Matta Tynana, który był doradcą Białego Domu, szalenie ją zaintrygował.

Drugiej pary nie znała, ale mężczyzna nie wyglądał obco, chociaż nie była pewna, czy jest znanym aktorem, czy widywała go w Białym Domu. Wszystko to wyglądało nad wyraz podejrzanie.

Czyżby wesele Marcusa miało się przerodzić w zjazd spreparowanych genetycznie osobników?

- Przepraszam, zapomniałam, że się nie znacie - odezwała się Carey. - Honey, to jest Ethan Williams, a to jego żona Kelly.

- Ach, to pan jest tym znanym w Waszyngtonie kawalerem do wzięcia! - Honey popatrzyła na Ethana.

- Już nie - z uśmiechem poprawiła ją Kelly.

- Witam w jednym z najbardziej zapadłych zakątków świata - rzekła Honey. - Zjechaliście tutaj, bo mój brat jest genetycznym dziwolągiem, czy z czysto towarzyskich względów?

Cała czwórka popatrzyła po sobie. Coś to znaczy. Ale co?

- Samantha i Ethan znają się od wieków - wyjaśniła Kelly.

- Chodziłem z nią do szkoły - dorzucił Ethan.

- Oczywiście, że przyjechaliśmy na wesele - zapewniła ją Carey.

- To bardzo wygodny pretekst - odparowała Honey, patrząc przyjaciółce w oczy. - Nigdy nie umiałaś kłamać.

- Wiem, i dlatego nic ci więcej nie powiem. Nie jestem pleciugą.

Honey wzięła ją pod rękę i odciągnęła na bok.

- Mnie możesz powiedzieć wszystko. Przecież nie jestem z prasy.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

Zza zakrętu drogi wyłonił się powożony przez Marcusa wóz, ciągniony przez parę mułów. Brat rzucił Honey podejrzliwe spojrzenie.

- O mnie się nie martw! - zawołała. - Mam własny środek transportu. - Puściwszy Carey, pomaszerowała na koniec plaży, gdzie zostawiła skuter.

- Ricardo miał przykazane, żeby nie dawać ci skutera! - rzekł oburzony Marcus.

- No to teraz widzisz, kto ma większą siłę przekonywania - mruknęła Honey do siebie.

Max stał na schodkach prowadzących pod pokład, obserwując z niepokojem rojącą się od ludzi plażę. Elise zdaje się mówiła, że ta heca na wyspie nie potrwa długo, ale chyba nie wspomniała, ile jeszcze osób może się zjawić.

- Szlag by to trafił! - mruknął ze złością i zszedł na dół po piwo.

Kiedy znów wyszedł na pokład i spojrzał na plażę, czwórka nowych gości siedziała już na wozie, a Elise znikła. Musi zrobić z nią porządek. Ale przede wszystkim trzeba podnieść kotwicę, odpłynąć do Portimao i tam przeczekać najazd.

Max lubił swoje krótkie wycieczki na stały ląd. Niestety, Portimao stawało się modnym ośrodkiem turystycznym. Tylko patrzeć, jak ktoś go rozpozna.

A ona? Czy na pewno nie poznaje, czy też może udaje niewiniątko, by tym łatwiej dobrać się do jego pieniędzy? A jeśli jest

wobec niej niesprawiedliwy? Mogło jej przecież nie przyjść do głowy, że Maxwell Strong ukrywa się na Brunhii.

Cholera! Znow zaprzęta sobie nią myśli. Elise zabiła mu niezłego ćwieka. Już ją zakwalifikował do kategorii łasych na forsy hien, a ta wyjeżdża z kazaniem o życzliwości i obowiązkach wobec bliźnich! Zły na siebie, wysączył resztę piwa i rzuciwszy pustą puszkę do kosza, zabrał się do podnoszenia kotwicy.

Honey stuknęła się butelką piwa z Mattem Tynanem. Całe towarzystwo popijało drinki w wielkiej sali przy barze.

- Zawieramy pokój? - spytał Matt. Parę miesięcy temu doszło między nimi do awantury, kiedy Matt zarzucił Carey, że wygadała się ze ściśle strzeżoną tajemnicą Białego Domu, a Honey stanęła w jej obronie.

- Dobrze wiesz, że nie miałeś racji. Carey to najdyskretniejsza osoba, jaką znam. A poza tym jest moją przyjaciółką.

- O ile wiem, masz niezliczone rzesze przyjaciół. To ją zabolalo. Ale sama była sobie winna, bo robiła wszystko, by zyskać taką opinię. Tym razem jednak, po raz drugi tego dnia, zareagowała w całkiem dla siebie nietypowy sposób.

- Carey to co innego - broniła się, marszcząc brwi. - Nie tylko bardzo ją lubię, ale wiem, że jest o wiele poważniejsza i lepsza ode mnie.

- Nie wiem, co powiedzieć - przyznał zakłopotany Matt.

- I niech tak zostanie. Wyjaśnij mi za to, co tu właściwie robisz?

Tak z ręką na sercu.

- Już ci mówiłem. Znamy się z Samantha od czasów szkolnych. Postanowiła podejść go inaczej.

- Kurt mówi, że z powodu tej genetycznej afery mnie również może coś grozić.

- Tobie? Kurt tak mówi?

- No właśnie. Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się Zachowi.

- Kurt mówił ci o Zachu?

- Tak. Uważa, że Koalicja jest zdolna do wszystkiego. - Matt jednak nie na darmo był politykiem. Jego twarz przybrała nieprzenikniony wyraz.

- Nie wysilaj się, moja droga. Nic ze mnie nie wyciągniesz.

- Jesteście okropni! - zirytowała się Honey. -W końcu to mój brat. Mam prawo wiedzieć, co się dzieje.

- Bardzo mi przykro, ale nie ze mną takie numery.

- Sztywniak! - mruknęła Honey pod nosem, odwracając się do niego plecami. Rozejrzawszy się po sali, dostrzegła stojącą samotnie Carey i pośpieszyła w jej kierunku. - Jak tam przygotowania do ślubu? -zagadnęła.

Carey rzuciła czułe spojrzenie w stronę Matta.

- Nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa - szepnęła.

- Cieszę się.

- Wiem, kochanie. I życzę ci z całego serca, żebyś i ty naprawdę kogoś pokochała.

Dobra pocziwa Carey!

- Wiem, że dobrze mi życzysz, ale to nie dla mnie.

- Dlaczego?

- Zrozumiesz za parę dni, kiedy poznasz resztę mojej rodziny. -
Co się ze mną u diabła dzieje, przemknęło Honey przez głowę. Co się stało z dawną, niefrasobliwą Honey, która z zasady nie zwierzała się nikomu ze swoich kłopotów? Może powietrze Brunhii tak na nią działa?

- A co to ma wspólnego z twoją rodziną? - zdziwiła się Carey.

- Chcą, żebym się upodobniła do matki. Ale nie mówmy o mnie. Opowiedz mi lepiej o najnowszych waszyngtońskich sensacjach.

- Coś rzeczywiście było we wczorajszych brukowcach - po krótkim wahaniu odparła Carey.

- Dalszy ciąg genetycznej afery?

- Jakiej afery?

- Nie udawaj! Zawsze wiem, kiedy kłamiesz, bo wtedy nie patrzysz mi w oczy. Co cię tak nagle zaciekało w tym kominku?

- Jest wspaniały.

- Faktycznie. A co było we wczorajszych brukowcach?

- Pamiętasz tego dziennikarzynę Cantrella, który narobił tyle szumu wokół mnie i Matta?

- Oczywiście. Znowu coś wymyślił?

- Napisał, że odwiedzam seksuologa.

- Ty? - zdumiała się Honey, ale po sekundzie na jej twarzy odmalowała się panika.

- Nie przejmuj się - uspokoiła ją Carey. - Prasa zawsze goni za sensacjami, a ja muszę do tego przywyknąć. Nie mogę tylko pojąć,

skąd akurat to przyszło mu do głowy. Ledwo zajęłam się seksem i już miałabym mieć z tym kłopoty? Albo Matt? I to wbrew wszystkiemu, co o nim skądinąd wiadomo? Skąd oni biorą takie idiotyczne historie?

Od kobiet, które mdleją w różanych ogrodach, odrzekła w duchu Honey. I które idąc do terapeuty, podają nazwisko swojej najlepszej przyjaciółki. Już otwierała usta, by powiedzieć prawdę, ale na szczęście zdołała się pohamować, zanim powietrze Brunhii skłoniło ją do palnięcia kolejnego głupstwa.

- Muszę iść odpocząć - mruknęła, odstawiając pustą butelkę na stół.

- Źle się czujesz?

- Byłam trochę za długo na słońcu.

- Nie wyglądasz na spaloną. Ale co ci się stało w policzek? - z troską w głosie spytała Carey.

- Nic. To drobiazg. - Honey szybko opuściła salon. Biegła po schodach ze ściśniętym sercem, czując nieznośne wyrzuty sumienia. Co się z nią dzieje? Ze

złością zatrzasnęła za sobą drzwi. W ciągu jednego dnia pozwoliła sobie spytać mężczyznę, dlaczego jej nie lubi, przeżyła chwile niezwykłego dla niej spokoju ducha, popijając chłodzący napój z portugalską wieśniaczką, a teraz dręczy ją sumienie, bo zrobiła świństwo przyjaciółce. Gdzie podziała się jej dotychczasowa życiowa dewiza: „Niczego się nie bać i niczego nie żałować”?

Podeszła do okna i popatrzyła na morze. „Morska burza” zniknęła z miejsca swego postoj.

Joe odpłynął! Uciekł przed nią!

To niesłychane, myślała Honey nazajutrz rano, pijąc w kuchni kawę. Chyba jestem chora. Powietrze Brunhii najwyraźniej mi nie służy. Ale to jeszcze nie znaczy, że mam tracić resztki rozsądku. Może Joe popłynął do Portimao po zapasy? Jeszcze go dopadnie!

Nigdy dotąd nie uganiała się za mężczyzną. To mężczyźni uganiali się za nią, a ona wybierała, kogo chciała. A potem było bum-bum-bum, ra-ta-ta i tak dalej, przypomniała sobie. Może więc odwrócenie sytuacji dobrze jej zrobi? Przecież do tego właśnie dążyła, żeby wszystko było inaczej.

- Dlaczego nie zeszłaś wczoraj na kolację? Odkąd to unikasz towarzystwa? - spytał Marcus, kiedy weszła do salonu.

- Byłam zmęczona. - Zniknięcie Joego odebrało jej wczoraj ochotę do zabawy. - Powiedz mi, jak złapać Amanda, żeby zabrał mnie na stały ląd?

- Jak to, chcesz wracać do domu?

- Nie. Po prostu mam ochotę wyskoczyć na jeden dzień do Portimao.

- Ale po co? Nie bawi cię nasze towarzystwo?

- A jak ci się wydaje? - oburzyła się Honey. - Myślisz, że to przyjemnie grać rolę idiotki, z którą nikt nie chce rozmawiać o tym, co się tutaj dzieje?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Nie rób mi wody z mózgu. Sama się dowiem. A na razie, nie będę was krępować. Jadę do Portimao, żebyście mogli swobodnie

omawiać sprawy, które z takim uporem trzymacie przede mną w tajemnicy. -A w Portimao dobierze się do komputera i przeczyta wszystko, co pisano w prasie na temat genetycznie zmutowanych dzieci. - Powiesz mi, jak skontaktować się z Amandem?

Marcus spojrział na zegarek.

- Wkrótce powinien wrócić. Wczesnym rankiem popłynął po Jake'a i Tarę, którzy wieczorem przylecieli do Portimao.

Już miała odejść, kiedy coś jej zaświtało.

- Jake? Jaki Jake?

- Ingram.

- I ja mam uwierzyć, że wszyscy ci ludzie przylatują tutaj wyłącznie z powodu twojego wesela?

- Jake jest moim starym znajomym.

- Jest również geniuszem finansowym, który na zlecenie rządu prowadzi śledztwo w sprawie afery w Banku Światowym! -
Przypomniała sobie również, że jakiś czas temu Jake Ingram prowadził z Mattem Tynanem tajemnicze rozmowy w Białym Domu.

Honey przypomniała sobie także, że niedawno, przed swoim wyjazdem do mieszkającej w Kansas rodziny, Carey prosiła ją o przekazanie Mattowi zaklejonej koperty, zaklinając, żeby broń Boże do niej nie zaglądała. Dałaby głowę, że zawartość koperty dotyczyła tej genetycznej afery i że wszyscy oni, nie wyłączając Carey, Matta i Ja-ke'a, są w nią wplątani. Gdy dotrze do Portimao, musi się stanowczo obrać do Internetu.

- Ponosi cię fantazja - oświadczył Marcus.

- Nie trzeba mi było pokazywać sztuczek z podnoszeniem skał - odcięła się Honey. - A teraz żegnam. Może wrócę na kolację.

Max po raz pierwszy wybrał się do Portimao na dłużej. Normalnie wpadał tu tylko, by uzupełnić paliwo, zaopatrzyć się w żywność i zadzwonić do siostry do Pittsburgha. Elizabeth była jedyną osobą, z którą utrzymywał regularny kontakt. Ponadto zostawił jej dyspozycje co do swojej ostatniej woli. Gdyby kiedyś nie odezwał się o umówionej porze, siostra niechybnie wszczęłaby alarm.

Dzisiaj jednak nie miał nic do załatwienia, postanowił więc zjeść lunch w małej restauracyjce na świeżym powietrzu, z widokiem na port. Najspokojniej jadł zupę, kiedy dostrzegł zbliżającą się motorówkę Amanda. Stary przewoźnik nie był sam. Za sterem siedziała Elise.

Max poderwał się na równe nogi.

- Nie smakuje arjamołho, senhor!

- Że co? - Spojrzał na młodą kelnerkę nieobecny wzrokiem.

- Zupa, sennor.

- Ależ nie, jest świetna. Maravilhoso. - Wyciągnął z kieszeni kilka banknotów. - Reszty nie trzeba.

Motorówka tymczasem przybiła do brzegu, a Amando pomagał pasażerke wysiąść na brzeg.

Maksa nagle opuścił rozsądek. Zamiast uciec póki czas, stał jak przymurowany. Z daleka nie mógł dostrzec jej twarzy, ale miał nieodparte wrażenie, że promienie słońca tworzą wokół Elise złotą aureolę.

Rozejrzała się po brzegu, zasłaniając ręką oczy. Co za niemądra dziewczyna, mruknął w duchu. Jak można w taki upał wyjeżdżać z domu bez ciemnych okularów czy bodaj kapelusza! No nie, może nie jest mądra, ale na pewno nie brakuje jej sprytu. Domyśliła się, dokąd odpłynął, i ruszyła za nim w pościg. Właśnie go dostrzegła i pomachała ręką.

Ostatnia chwila, żeby zwać! Nim się jednak opamiętał, Elise przebiegła przez jezdnię i wpadła do restauracji.

- Co za spotkanie! - zawołała wesoło.

- Tego właśnie chciałem uniknąć. - Co za nachalna baba! Każda normalna kobieta zrozumiałaby, że nie chce jej widzieć. Każda inna, tylko nie ta bezczelna bogata pannica, której się wydaje, że nikt się jej nie oprze. Wbrew jednak tym nieprzyjaznym myślom, Max zmienił nagle ton. - Po co przyplłynęłaś? - spytał.

- Żeby cię odszukać.

- Po co ścigasz człowieka, który wyraźnie cię unika?

- Żeby go przekonać, że nie ma racji.

Max roześmiał się. Elise jest jednak zabawna.

- Masz źle w głowie.

- Wszyscy tak mówią - odparła wesoło. - Jadłeś lunch?

- A jak myślisz?

- Mogę spróbować?

- Nie! - Z czystej przekory usiadł z powrotem przy stole i przyciągnął talerz z niedojedzoną zupą.

Elise usiadła naprzeciw niego. Po jej zadowolonej minie Max poznał poniewczasie, że zrobił dokładnie to, na co liczyła.

- Zresztą nie jestem głodna. Rafaela wspaniale gotuje, a na dodatek Amando się spóźnił, więc zdążyłam nawet zjeść lunch.

- Amando znowu przywiózł kogoś na Brunhię?

- Tak. Jake'a Ingrama z bardzo nadąsaną narzeczoną.

- Czemu Tara była nadąsana? - zapytał szybciej, niż pomyślał.

- Skąd wiesz, jak ma na imię?

Zamiast odpowiedzieć, zajął się swoją zupą.

- Głupio mi jeść samemu. Zamów sobie coś. Ja stawiam - powiedział w końcu.

Nie pozwoli, żeby za nią płacił. Dopływając do portu zauważyła, że „Morska burza” stoi z dala od lądu. Najwidoczniej Joe nie ma na opłaty portowe.

- Zaraz wracam - rzekła, wstając od stołu.

Znalezienie kelnerki, u której zamówiła butelkę wina, płacąc kartą kredytową, trwało dobrą chwilę. Wracając do stolika uświadomiła sobie, że Joe miał aż nadto czasu, by znowu jej zwiąć. Ale nie. Nadal siedział tam, gdzie go zostawiła.

- Widzę, że zaczynasz się do mnie przekonywać - stwierdziła, opadając na krzesło.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo nie uciekłeś, chociaż miałeś okazję. A teraz powiedz, skąd wiesz, że narzeczonego Jake'a ma na imię Tara?

Jest nie tylko uparta, ale i bystra, pomyślał z uznaniem.

- Jak to skąd? Przecież wciąż piszą o nich w gazetach.

- Fakt. Ale boję się, że po wycieczce na Brunnię Tara zmieni zdanie. Nie jest przyzwyczajona do jeżdżenia małymi motorówkami i dosiadania mułów.

- A ty? - spytał ze śmiechem. - Lubisz jeździć na mule?

- Ja? Nigdy w życiu. Wolę araby mojego taty.

- Mogłem się domyślić. A jak się nazywa twój tata?

- Tom Jones - odparła bez namysłu.

Kiedy kelnerka przyniosła wino, Joe zaczął protestować, ale Honey szybko go uciszyła.

- Na pewno lubisz wino. W końcu ty też wychowałeś się na wschodnim wybrzeżu.

- Skąd wiesz?

- Bo poznałeś się na moim akcencie.

- Jesteś stanowczo za wścibska i za domyślna - odparł niby to surowym tonem, ale w gruncie rzeczy był rozbawiony jej uporem.

- A gdzie się urodziłeś?

- Powiedzmy, że w krainie fabryk stali.

- Założę się, że w Pittsburghu.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś. I co tam robiłeś?

- Pracowałem z ojcem na budowach.

- To chyba fajne zajęcie. Więc dlaczego rzuciłeś wszystko, żeby włączyć się po świecie?

Max od pół roku zadawał sobie to samo pytanie.

- Sam nie wiem. Po to chyba wędruję, żeby zrozumieć, o co mi naprawdę chodzi - odparł z nieoczekiwaną dla niego samego powagą.

Honey pochyliła się nad stołem.

- Czy to nie dziwne? - spytała z ożywieniem. - Człowiek żyje z dnia na dzień, wydaje mu się, że niczego mu nie brakuje, aż nagle pewnego dnia zaczyna źle się czuć we własnej skórze.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Sam nie umiałby lepiej określić tego, co czuł, kiedy zdecydował się wyruszyć w świat.

- Coś w tym rodzaju - mruknął, sięgając dla niepoznaki po kieliszek.

- A co budowaliście, ty i twój ojciec?

- Głównie odnawialiśmy stare domy, żeby dobrze je sprzedać. To nam dawało dużo satysfakcji. Przyjemnie jest widzieć, że własnymi rękami zrobiło się coś dobrego. Ale potem interes zaczął się rozwijać. - Umilkł. Zapadła długa cisza.

- Szkoda. Powinno było zostać tak, jak było - odezwała się wreszcie Honey.

- Czasami człowiek przestaje panować nad tym, co się wokół niego dzieje.

- Trzeba z tym walczyć.

- Właśnie to robię.

Popatrzyła mu głęboko w oczy. Miała wrażenie, że tym razem Joe naprawdę z nią rozmawia.

- Może się mylę, ale pewnie wasze przedsiębiorstwo rozrosło się w coś naprawdę wielkiego, wielką firmę budowlaną czy coś w tym rodzaju. Nie mam racji?

- Widocznie można mnie równie łatwo przejrzeć na wylot jak ciebie.

- Mnie można przejrzeć na wylot? - obruszyła się.

- Bardzo łatwo, skarbie.

Honey z wrażenia o mało nie oblała się winem. Powiedział do niej „skarbie”, a to dobrze wróży...

Powoli odstawiła kieliszek, podniosła dłoń do ust i oblizwała poplamione winem palce. Maksowi zabłyśły oczy, ale pośpiesznie spuścił powieki. Zamiast patrzeć na Elise, wołał już z dwojga złego mówić o sobie.

- Z początku człowiek stara się osiągnąć jak najwięcej, rozwinąć działalność i zarobić więcej pieniędzy. Dopiero potem odkrywa, że cała satysfakcja z pracy gdzieś wyparowała - zauważył.

- Jaka satysfakcja?

- Na przykład przyjemność, jaką się odczuwa, dotykając wypolerowanego własną ręką drewna.

- Albo kobiecej skóry?

- Nie to miałem na myśli.

- Wiem, i bardzo mnie to interesuje. Ale nie mogę się skupić, kiedy widzę, jak się męczysz, żeby nie pokazać, jak bardzo ci się podobam.

- To już szczyt wszystkiego! - obruszył się. - Gdyby któraś z moich sióstr zaczęła wygadywać takie rzeczy, ojciec wzięłby pas i wygarbował jej skórę.

- Gdyby mnie złapał. - Zarazem zadała sobie w duchu pytanie, kim by dzisiaj była, gdyby ojciec choć raz „wygarbował jej skórę”.

- Dałby sobie radę.

- Powinieneś zobaczyć, jak szybko umiem uciekać.

- Jak dotąd widzę tylko, jak mnie ścigasz. Nie wiem, co musiałbym zrobić, żebyś zaczęła uciekać.

- Mógłbyś się dowiedzieć, gdybyś lepiej mnie poznał - odrzekła nieopatrzenie. Zaraz jednak pożałowała swoich słów.

Nie powinna go zachęcać do zawarcia bliższej znajomości, skoro Joe ma być tylko przygodą. Jeśli próbuje go wysondować, to tylko po to, by się upewnić, czy nadaje się na kochanka na jedną noc. On nie powinien o niej nic wiedzieć, bo jeżeli zanadto się do siebie zbliżą, wróci bum-bum-bum i cały misternie ułożony plan spali na panewce.

Zastanawiając się, jak zmienić kierunek rozmowy, popatrzyła na morze. Nim jednak zdążyła cokolwiek wymyślić, całą jej uwagę przykuł widok w porcie. Do motorówki Amanda wsiadali jej rodzice i starszy brat Drew.

- Przepraszam, ale muszę lecieć! - zawołała, zrywając się z krzesła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wybiegając z restauracji, zauważyła siedzącą przy stoliku kobietę w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem.

- Dam dziesięć dolarów za pani kapelusz - powiedziała szybko, stając plecami do portu. Ojciec miał orli wzrok.

Sięgnęła do torebki, ale miała w niej tylko pięćdziesiąt dolarów. Rzuciła banknot na stół, po czym, nie czekając na reakcję towarzyszącego kobiecie mężczyzny, zerwała jej z głowy kapelusz, a przy okazji chwyciła leżące obok talerza ciemne okulary.

- Dziękuję i przepraszam! - rzuciła na odchodnym, wybiegając na ulicę.

Max dogonił ją, nim zdążyła włożyć okulary i ukryć włosy pod kapeluszem.

- Czy powiedziałem coś złego? - spytał.

Fakt, iż nawet w tak trudnej sytuacji wywołał uśmiech na jej twarzy, musiał coś znaczyć, ale nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać. Zerknęła w kierunku nabrzeża. Motorówka jeszcze nie odpłynęła.

- Chodź ze mną! - zakomenderowała, biorąc go pod ramię. - Ja pójdę z tej strony - dodała, ustawiając się tak, by zasłaniał ją od strony portu.

- Zachowujesz się jak wariatka - zauważył, posłusznie spełniając jej życzenie.

Joe nie może dowiedzieć się prawdy, myślała. A już na pewno nie może poznać jej rodziców. Jeśli plan ma się powieść, ona musi pozostać dla niego anonimową Elise. Była zbyt bliska osiągnięcia celu, by teraz dopuścić do katastrofy. A poza tym przed opuszczeniem miasteczka musi zajrzeć do komputera.

- Skąd wiesz, czy nie ściga mnie policja?

- Bardzo wątpię - odparł. - Może porzucony kochanek?

- Nie.

- Obecny kochanek?

- Też nie.

- Zazdrosny mąż?

- Kolejne pudło. - Zobaczyła wolną taksówkę i szybko podniosła rękę.

Oszołomiony Max dał się wciągnąć do samochodu.

- Proszę mnie zawieść do najbliższej... urna biblioteczal - rzekła Honey do kierowcy.

- Do biblioteki? - zdziwił się Max. - Czy to jakiś kryptonim? Prowadzisz narkotykowe interesy?

We wnętrzu taksówki Honey odetchnęła z ulgą.

Niebezpieczeństwo minęło. Poczowała się znowu wolna. Z przyjemnością popatrzyła na Joego. Coraz bardziej jej się podobał. A poza tym była w nim jakaś tajemnica. Zdjęła kapelusz i okulary.

- Wyrzuciłaś pięćdziesiąt dolców za okno - skarcił ją, a ona wzruszyła ramionami. - No tak, stać cię na to.

- Tego nie powiedziałam.

- Ale łatwo się domyślić. Twój ojciec hoduje araby, a na Brunhii mieszkasz u lokalnych bogaczy.

- No i co z tego?

- Do których od paru dni przyjeżdżają same grube ryby.

- To prawda. Chociaż co do Ethana Williamsa, to nie jestem taka pewna - zastanowiła się Honey.

- Ethan Williams? Ten dopiero ma pieniądze... - Obecność Williamsa zaniepokoiła Maksa. Obawiając się, by ktoś go nie rozpoznał, przyjeżdżających na wyspę gości obserwował tylko ukradkiem i nie mógł im się dokładniej przyjrzeć. - Co się tam właściwie dzieje? - spytał z irytacją.

- Też chciałabym wiedzieć - odparła. - Po to jedziemy do biblioteki.

Taksówka zatrzymała się przed okazałym budynkiem. Biblioteka! Honey uwielbiała biblioteki. Już sama myśl o tysiącach książek, które można przeczytać, wprawiała ją w miłe podniecenie. Zapłaciwszy taksówkarzowi, wyskoczyła na chodnik i wbiegła na schody. Dopiero przed drzwiami obejrzała się, by sprawdzić, czy Joe przypadkiem nie dał dyla.

Nie, szedł za nią. Albo jest ciekawy, po co przyjechała do biblioteki, albo polubił jej towarzystwo. Obie możliwości są do zaakceptowania.

Weszli do chłodnego wnętrza, w którym unosił się nieuchwytny zapach kurzu i starych pożółkłych książek.

- Co, u licha, zamierzasz tutaj robić?

- Myślałeś, że jestem głupiutką blondyneczką? - spytała zjadliwie, podchodząc do informacji. - Którędy do sali komputerów? - zwróciła się do urzędniczki. - Computadores!

- Sim, ma'am. Estqo no quarto no alto das escadas.

- Dziękuję. - Szybkim krokiem skierowała się ku schodom, lecz w połowie drogi ruszyło ją sumienie i poczekała na Joego. Winna mu jest jednak jakieś wyjaśnienie.

- Na przystani zobaczyłam ludzi, których znam. Gdyby mnie zauważyli, byłabym zmuszona wsiąść z nimi do motorówki i wrócić od razu na wyspę. I nie dotarłabym tutaj.

- Przyjechali kolejni goście? Najwyraźniej to najbardziej go interesowało.

- Tak, ale chyba ostatni - odparła. - Wszystkie sypialnie są już zajęte.

- Ale mówiłaś, że szybko się rozjadą. Jesteś pewna?

- Absolutnie. Pomyśl, co to za ludzie. Doradca Białego Domu, znany finansista, że już o moim... to znaczy o Ethanie Williamsie nie wspomnę. Sami ważni ludzie, którzy nie mogą sobie pozwolić na dłuższe wakacje. Jasne?

Jasne, przyznał w duchu Max. Chyba że któregoś dnia zrobią to co ja - urwą się na wolność. Ale co ten Kurt kombinuje?

- Nadal nie rozumiem, dlaczego musisz przed nimi ukrywać, że idziesz do biblioteki.

- Boją się tego, co mogę tam odkryć. Uważają, że narobię im kłopotów - wyjaśniła Honey, idąc razem z Maksem na piętro.

- Prawdę mówiąc, trochę im się nie dziwię.

To był dla Honey przykry cios. Wszystko, tylko nie to, westchnęła w duchu. Możesz o mnie myśleć, co chcesz, byle nie to co oni.

- Nie szukam kłopotów. Po prostu czasami mam pecha.

- Ty to nazywasz pechem? Wtedy, kiedy usiłowałaś mnie przejechać, byłaś uszczęśliwiona!

- Po pierwsze, nie chciałam cię przejechać, a po drugie, wcale nie byłam uszczęśliwiona, tylko... ciekawa, co będzie dalej.

- A czego się spodziewałaś? Połamanych kości?

- Tylko przez moment. Głównie myślałam o tym, czy będziesz mnie reanimował metodą usta-usta i co wtedy będę czuła.

Znowu to zrobił! Cudownie! Oczy rozbłysły mu na moment i natychmiast zamknął powieki, ale lewy kącik ust lekko drgał. A potem spojrzał na sufit.

- Czekasz na uderzenie pioruna? - zakpiła.

- Zdaje się, że już mnie trafił. Chyba zwariowałem.

- Bo co? Bo jesteś ze mną?

Uznał, że musi przejść do ataku, nim będzie za późno.

- Co byś czuła? Zemdlałabyś z wrażenia.

Honey zdawało się, że faktycznie osunie się na ziemię. Serce jej załopotowało. Nie było to jednak bum-bum--bum ani nawet ra-ta-ta. Raczej uczucie, jakby miała ulecieć w powietrze. Wzięła to za dobry omen.

- Przekonaj się!

Była pewna, że się nie odważy. A jednak! Zakreśliło jej się w głowie, ale jakoś inaczej niż dawniej. Max chwycił ją za łokcie szorstkimi od fizycznej pracy dłońmi, przyciągnął do siebie i bezceremonialnie pocałował w usta.

Ostrożnie otworzyła jedno oko. Ściany, o dziwo, nie wirowały. Natomiast w jej ciele działały się niesłychane rzeczy. Każdy ruch jego warg zdawał się pobudzać jakby pęcherzyki musującego szampana. Już miała odpowiedzieć na pieszczoty Joego, kiedy on nagle podniósł głowę i odepchnął ją od siebie.

- Jesteś nieodpowiedzialną prowokatką! oświadczył. -

Podobno szukałaś komputera.

Chcę tylko ciebie, pomyślała. Poza tym miała pustkę w głowie. Pierwszy raz w życiu chciała się całować, bo miała na to ochotę, a nie na pokaz albo po to, by sobie i innym coś udowodnić. Wreszcie trochę ochłonęła.

- Przerwałeś tylko dlatego, że to nie był twój pomysł!

- Przerwałem, bo jesteśmy w publicznym miejscu.

- Ach, rzeczywiście. - Honey rozejrzała się. - Następnym razem sprowokuję cię, kiedy będziemy sami.

Mało brakowało, a znowu by się zapomniał. Dlaczego ona tak na niego działa, że nie tylko postępuje wbrew sobie, ale na dodatek czuje się, jakby budził się ze snu? Pociągnął ją w stronę sali z komputerami. Tak jest bezpieczniej.

- Czego chcesz się dowiedzieć? - zapytał. Honey nie mogła sobie przypomnieć. Podeszła do najbliższego komputera. Czuła dziwną

słabość w kolanach. Półki z książkami co prawda nie wirowały, ale nie była całkiem pewna, czy i tym razem ziemia nie usunie się jej spod nóg. Lepiej nie kusić losu. Opadła na krzesło i położyła rękę na myszy.

- Nie odpowiedziałś na moje pytanie. - Kiedy Joe stanął za nią i poczuła jego oddech na szyi, rozkoszne ciarki przeszły jej po plecach. Stanowczo nie miały nic wspólnego z bum-bum-bum.

- O Jake'u... - wybąkała.

- Ingramie?

- Nie... - Honey z wolna zbierała myśli. Nie, nie może mu powiedzieć. Wcale nie z braku zaufania, ale ponieważ postępując tak jak teraz, potwierdzi tylko opinię, jaką mają o niej krewni i znajomi. Lepiej nie powtarzać starych błędów. Trudno, westchnęła w duchu. Musi swoje zadanie wykonać sama. - Przepraszam, ale idź już sobie - poprosiła, oglądając się przez ramię.

- Mam sobie pójść? - To nie tylko wariatka, ale na dodatek osoba humorzasta! Najpierw ciągnie go za sobą przez całe miasto, a potem odsyła w diabły. Zwilżywszy wargi językiem, poczuł na nowo smak jej ust. Może jednak będzie lepiej, jeżeli sobie pójdzie, pomyślał. Ale powiedział coś zupełnie innego: - Zostajesz na noc w Portimao?

Tym razem odwróciła się razem z krzesłem.

- Nie, wracam na Brunhię.

- W jaki sposób? Amando odpłynął i pewnie już nie wróci. Ze względu na pływaczki nie pływa na wyspę po zmroku.

- Jest dopiero... - Zerknęła na zegarek. - Nie ma jeszcze czwartej.
Pewnie wrócił już z Brunhii po odwiezieniu ostatnich pasażerów.

- Jeśli nawet, to zostanie na noc w Portimao.

- Uważasz, że utknęłam tutaj do rana?

- Jeżeli każesz mi odejść, to odpłynę bez ciebie i wtedy rzeczywiście zostaniesz tu do rana. - Co on mówi? Przecież miał zostać w Portimao przez kilka dni. Dlaczego nie odchodzi? Honey stać na wynajęcie hotelu.

- W takim razie siadaj! - odparła, wskazując sąsiednie krzesło.

Zaczęła szybko naciskać klawisze. Do jej skrzynki napłynęło wiele e-maili, ale wołała ich przy nim nie otwierać. Diabli wiedzą, co by tam wyczytał. Przeszukując menu, kliknęła nazwisko Jake'a Ingrama.

- Powiedziałaś, że nie chodzi o Ingrama - wypomnił Max.

Udała, że nie słyszy. Przeglądała linki, głównie do różnych gazet i periodyków.

- Szukasz czegoś na Tarę, żeby złapać Jake'a dla siebie? - spytał Max drwiącym tonem.

Honey groźnie zmarszczyła brwi.

- Nawet go nie znam.

- Panienska z bogatego domu szuka wpływowego męża?

- Nic podobnego. - Ale jej rodzice faktycznie o niczym innym nie marzą. Wyobraziła sobie, jak z zachwyconymi minami prowadzą swoją córeczkę do ołtarza. Nagle jej uwagę przyciągnął tekst na ekranie. - Jake i Zach! - wykrzyknęła. - Popatrz! Zach i Jake!

Odsunęła się z krzesłem, żeby mógł sam przeczytać.

- „Profesor Zachary Ingram, znany ekonomista z Uniwersytetu Greenlaurel, zniknął bez wieści. Jest on bratem innego znanego ekonomisty, Jake'a Ingrama, który z ramienia władz federalnych prowadzi śledztwo w sprawie głośnej afery Banku Światowego”. - Honey odchyliła się w krześle, by nabrać powietrza. - Mam nadzieję, że szybko ją wyjaśni, żebym zdążyła wykorzystać mój portfel akcji, nim się zestarzeje.

- Ale to jest wiadomość sprzed kilku miesięcy -zauważył Joe. - Sam mogłem ci o tym powiedzieć.

- Masz na myśli Zacha Ingrama czy to, że moje akcje falują w górę i w dół, jak rośliny na wietrze?

- Rośliny pochylają się na boki, a nie falują w górę i w dół.

- Moje falują.

Omiał się nie roześmiał.

- Jeśli chcesz mojej rady, to najlepiej przeczekaj.

- Kto to mówi? Biedny włóczęga, którego cały majątek stanowi stara zagłówka po zmarłym wujku?

Twarz dziwnie mu drgnęła, jakby z jakiegoś powodu był z siebie niezadowolony. Potem odezwał się z udaną obojętnością:

- Według oficjalnych komunikatów Zachary Ingram miał wypadek samochodowy. Potem zapadła cisza, a jeszcze potem okazało się, że przebywa w prowincjonalnym szpitalu w Teksasie, pod opieką M.J. Dalton.

- Tej pisarki?

- Która jest również psychoanalitykiem. Sprawę starano się wyciszyć, choć trudno było ukryć fakt, że od tamtej pory Jake'owi przydzielono specjalną ochronę. Bracia są do siebie uderzająco podobni. Chodziła plotka, że wypadek był zaplanowany, a jego ofiarą miał paść nie Zach, tylko Jake. Wszystkie gazety rozpisywały się na ten temat. Dziennikarze snuli najdziksze domysły.

Najwyraźniej umknęło jej więcej, niż myślała.

- Czy może w tych historiach występowały osoby o sile Herculesa?

- Jakie?

- Mniejsza z tym. - Honey zgasila komputer, po czym wstała z krzesła. - Chodź, w zamian za odwiezienie na wyspę zafunduję ci kolację.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Robiłaś tyle szumu tylko po to, żeby przeczytać jedną notatkę o zaginięciu Zacha?

Tak naprawdę, to nie chciała w jego obecności wgłębiać się zbyt w tajemnice genetycznie zmutowanych dzieci. Nie z powodu braku zaufania, ale żeby nie zasłużyć kolejny raz na miano osoby nieodpowiedzialnej.

- Powiedziałeś mi wszystko, co chciałam wiedzieć - odparła, kierując się ku schodom.

Dogonił ją dopiero po chwili, bo najpierw długo drapał się w głowę.

- Jesteś postrzelona - mruknął, zrównując się z nią na schodach.

- Ładne określenie - pochwaliła go łaskawie.

W myślach jednak porównywała to, co usłyszała od Kurta, z tym, co powiedział jej Joe. Pomyłka co do osoby jednego z dwóch bliźniaczo podobnych braci? Zamachowcy dopadli niewłaściwą osobę? Facetom z Koalicji chodziło nie o niego, tylko o Jake'a? Czy Koalicja ściga również Marcusa i Gretchen? Kurt wspomniał o niebezpieczeństwie, jakie groziło Gretchen. Czy dlatego tylu różnych ludzi, mogących utworzyć istną radę mędrców, zjechało się na odludną wyspę pod pozorem udziału w weselu Marcusa?

- Akurat! - mruknęła pod nosem.

- Co mówisz? - spytał Max. Byli już na ulicy.

- Nic ważnego. - Honey uśmiechnęła się. Co ją obchodzą genetyczne mutanty wobec tego, że jest na dobrej drodze do pozbycia się uciążliwego dziewictwa! - No więc gdzie zjemy kolację?

- Jeżeli jesteś głodna, to zapraszam na łódź.

- Jestem głodna jak wilk - odparła, kładąc mu rękę na ramieniu.

Max otrząsnął się.

- Daj spokój!

- Dlaczego tak się przede mną bronisz?

- Bo mężczyźni wolą kobiety, które trzeba zdobywać.

- To dlaczego mnie pocałowałaś?

- Dla świętego spokoju. Bo nie miałem wyjścia.

- Dobry żart! - Zaniosła się głośnym śmiechem. Wyglądała przy tym czarująco. - Wiesz co? Kupimy ostrygi i szampana i w połowie drogi na wyspę zrobimy sobie ucztę. A potem będziemy się całować.

- Wolałbym nie. - Kiedy jednak na niego zerknęła, miał na ustach wesoły uśmiech.

Dotarli do pomostu przystani. Max pierwszy wskoczył do motorówki i wyciągnął do Honey rękę. Zawahała się.

- To jak będzie, po mojemu czy po twojemu? - spytała.

- Po mojemu. Jak chcesz dostać się na wyspę, to wsiadaj. Bez żadnego szampana.

- Przyznaj się, że będzie ci smutno, kiedy wyjadę.

- A kiedy wyjeżdżasz?

Honey znowu się roześmiała i ująwszy podaną rękę, wskoczyła do szalupy. Joe zaczynał ją intrygować. Zwłaszcza w chwilach, kiedy zapominał trzymać ją na dystans.

Usadowiła się na dziobie. Przypatrywała się z upodobaniem smagłej twarzy siedzącego naprzeciw niej Joego. Niedługo będą się całować. Na samą myśl o tym poczuła miły dreszczyk, który w niczym nie przypominał dawnych nieprzyjemnych doznań. Odetchnęła pełną piersią.

Jednakże w tej samej chwili przypomniała sobie o zebranej na wyspie rodzinie i poczuła się nieswojo.

Do diabła z nimi! Na razie jest wolna. Puściła spódniczkę, którą dotąd przytrzymała, by nie podwiewał jej wiatr, i wstała z ławki.

Co ona wyprawia? Przekrzykując wiatr, Max kazał jej usiąść. Wystarczy większy przechył, a ta wariatka wyląduje za burtą:

Tyle że jej byłoby w to graj! Była inna od wszystkich znanych mu dziewcząt - biednych czy bogatych, ciężko doświadczonych przez

los czy opływających w wygodzie, surowo czy swobodnie wychowanych. Wiatr rozwiewał jej włosy i podrywał sukienkę, ukazując skąpe majteczki koloru lila. Tak się na nie zagapił, że mało brakowało, a zderzyłby się z burzą jachtu.

- Siadaj! - wrzasnął, przerzucając ster.

Łódź wykonała gwałtowny zwrot. Honey powinna była wylecieć za burzę, a jednak ze zręcznością kota utrzymała równowagę. Max przywiązał szalupę i ściągnął drabinkę.

- Szukasz śmierci, czy chciałaś coś zademonstrować?

Jego pytanie po raz wtóry uprzytomniło Honey, co ją czeka, kiedy dotrze wreszcie do domu na wyspie.

- To drugie - odparła, udając niefrasobliwość. Zatrzepotała rękami. - Pomożesz mi wdrapać się na pokład?

- O nie! Nie wiem, co byś zrobiła, gdybym znowu cię dotknął. Wolę nie ryzykować.

I rzeczywiście wszedł na łódź, nie oglądając się na nią. Musiała wdrapać się po drabince sama. Joe zdążył tymczasem włączyć silnik. Co oznacza, że nie będzie miała czasu przeprowadzić swoich planów.

- Dlaczego nie płyniesz na żaglach? - spytała.

- Żeby przepłynąć trzy mile? Nie warto.

- Ale płynęlibyśmy dłużej. - Chciała za wszelką cenę opóźnić chwilę powrotu na łono rodziny. Zostać z nim jak najdłużej. Joe uważnie na nią popatrzył. Miała wrażenie, że czyta w jej myślach. Spróbowała więc inaczej. - Co byś powiedział, gdybym rozebrała się do naga? Mam ochotę opalić się na całym ciele - oświadczyła.

- Chcesz się opalać przy świetle księżyca? - zapytał, próbując nie okazać wzburzenia, jakie w jego myślach i ciele wywołała jej propozycja.

- Księżyc jeszcze nie wzeszedł - odparła, wyobrażając sobie inne rzeczy, które można robić w świetle księżyca.

- A słońce niedługo zajdzie.

- No to może jutro - zgodziła się, siadając obok niego na ławce. - Zabierzesz mnie jutro na przejażdżkę?

- Na pewno nie. - Wiatr sprzysiągł się przeciwko niemu, niosąc aromatyczny zapach jej ciała, który pierwszy raz uderzył mu do głowy, kiedy na schodach biblioteki jak idiota uległ jej prowokacji. Był jedyny w swoim rodzaju, a już na pewno nie przypominał najdroższych w świecie perfum, jakimi oblewała się Camille. Honey pachniała lasem i leśnymi kwiatami. Do diabła z tym. Nie wolno ulegać jej urokowi. Nie po to uciekł od kobiet jej pokroju, by wpaść w sidła kolejnej uwodzicielki.

- Tamto już się nie powtórzy - oznajmił. - Więcej cię nie pocałuję.

- Założysz się?

- Nie jestem hazardzistą.

- Nie? - Wyprostowała się. - A kupowanie domów z myślą o odsprzedaniu ich z zyskiem to nie hazard?

- Nie - odparł, plując sobie w brodę, że tyle jej o sobie naopowiadał. - Polegałem na wiedzy fachowej mojego ojca i naszych umiejętnościach.

- Ja też polegam na swoich umiejętnościach - odparowała Honey.

Na wszelki wypadek odwrócił od niej wzrok. Wyglądała stanowczo zbyt kusząco w świetle zachodzącego słońca. Nic to jednak nie pomogło, bo w następnej chwili zapytał:

- Jakie to szczególne umiejętności masz na myśli?

- Zdobywanie tego, na co mam ochotę.

- Ale jesteś uparta! Roześmiała się uradowana.

- Jeśli mnie pocałujesz, przegrywasz - oświadczyła.

- I co wtedy?

- Będziesz musiał pójść dalej... - Pochyliła się do przodu, a w jej oczach Max dostrzegł ten sam drapieżny głód, jaki widywał u tamtych wszystkich kobiet, od których uciekał po dziś dzień. A jednak w jej wydaniu to samo spojrzenie stało się podniecającym wyzwaniem.

- No to teraz masz jak w banku, że tamten pocałunek się nie powtórzy. Znajdź sobie kogoś innego, kto pozwoli się dręczyć.

- Ja cię dręcę? - zapytała słodko.

- Raczej irytujesz.

- Ale zakład stoi?

- Nie. - Ja chyba zwariowałem, pomyślał. Lepiej się zgodzić, niż dalej się sprzeczać. - To znaczy, tak.

Byli u brzegów Brunhii. Koniec rozmowy.

Max wprowadził „Morską burzę” na jej stałe miejsce pomiędzy dwiema płyciznami, a następnie rzucił kotwicę.

- Schodzimy do szalupy - powiedział.

- Udało ci się nie zjeść ze mną kolacji.

- Wiem - odparł z zadowoloną miną.

Siedzieli już w szalupie, kiedy nad ich głowami rozległ się warkot silnika. Helikopter, przemknęło Maksowi przez głowę. Dziennikarze! Znaleźli go! Jednakże maszyna przeleciała nad plażą, kierując się na przeciwległy koniec wyspy. Ale i tak na wyspie robi się za gorąco. Jeśli została mu odrobina oleju w głowie, powinien jeszcze dziś wrócić do Portimao.

Zerknął na Honey. Ona też obserwowała lot helikoptera. Chciał ją zapytać, kto jeszcze miał przylecieć do domu Kurta, ale wolał nic nie mówić, by nie wystawiać się na nieoczekiwane pokusy. W milczeniu włączył silnik i ruszył w stronę plaży.

Obawiał się, że Honey będzie zwlekać z odejściem, lecz znowu go zaskoczyła. Bez słowa wyskoczyła z szalupy i brodząc w wodzie, wyszła na brzeg. Dopiero wtedy rzuciła przez ramię:

- Dziękuję!

- Nie ma za co - burknął pod nosem.

Patrząc na odchodzącą tanecznym krokiem dziewczynę, zdał sobie nagle sprawę, że nie czuje ucisku w piersiach, który dręczył go niemal stale od dnia pogrzebu ojca. Kolejni lekarze, u których szukał porady, nie umieli znaleźć przyczyny owej dziwnej dolegliwości. Bo też nie tkwiła ona w chorobie serca, lecz w jego chorym życiu. I oto od dwóch dni, dokładnie od momentu, gdy ta szalona dziewczyna chciała go przejechać, ciężar się ulotnił.

To ona swoimi sprytnymi pytaniami sprawiła, że zaczął mówić i myśleć o dawno zapomnianych sprawach. Z tym, że jej ciekawość nie miała nic wspólnego z Maxwellem Strongiem. Ciekawił ją Joe. Z nim prowadziła swoją grę. I to spowodowało, że ciężar spadł mu z piersi.

Uprzytomnił sobie, że to nie prowokacyjne zachowanie Elise stanowi istotę grożącego mu niebezpieczeństwa. Z tym może sobie poradzić. Najmilszy, a zarazem najgroźniejszy jest fakt, że przy niej stawał się na nowo dawnym, nikomu nieznanym facetem z Pittsburgha.

Scandalous

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Honey nie śpieszyło się. Jechała powoli, uśmiechając się do siebie z zadowoleniem. Nie tylko przeniknęła część tajemnic Marcusa, ale także czuła w sobie dziwny spokój po rozkosznym, wypełnionym prostymi uciechami popołudniu.

Podobał jej się sposób, w jaki Joe starał się nie okazywać, że lubi jej towarzystwo. A zarazem zazdrościła mu. Zazdrościła mu wolności. Tego, że może robić, co chce i kiedy chce, na nikogo się nie oglądając. Już za nim tęskniła. Ale na razie wzywały ją rodzinne obowiązki.

Dojeżdżając do domu, odniosła wrażenie, że w powietrzu unosi się zapach matczynych perfum. Tym razem postanowiła wejść frontowymi drzwiami. Wkroczyła z fasonem do wielkiego salonu. Matka najwyraźniej objęła w domu rządy, bo wszystkie panie siedziały zgromadzone wokół jej stolika, podczas gdy panowie okupowali bar.

- Dobry wieczór, już wróciłam! - oznajmiła. - Możemy zaczynać bankiet.

- Ach kochanie, nareszcie! - zawołała Sara Evans afektowanym głosem, wstając na powitanie córki. - Zachodziliśmy w głowę, gdzie też się podziewasz!

Honey podeszła do matki, by złożyć na jej policzku rytualny pocałunek. Uścisk Sary był krótki, lecz córka wyczuła w nim autentyczną serdeczność. Potem rozejrzała się po zebranych

towarzystwie. Na kanapie i sąsiednich fotelach zobaczyła Gretchen, Samanthę i Tarę Linden. Ta ostatnia siedziała najbliżej Sary, co podsunęło Honey myśl, że przed jej przyjściem kobiety były zatopione w typowo babskiej rozmowie, która zapewne nie wróżyła Jake'owi Ingramowi nic dobrego.

Do kompletu brakowało jeszcze Carey z Mattem i Kelly z Ethanem. Natomiast niedaleko kanapy stała z boku nowa osoba, która na jej oko miała wymalowaną na twarzy przynależność do służb FBI.

- Cześć! - rzekła Honey, podając nieznajomej rękę.

- Miło mi panią poznać. - Agentka uważnie przyjrzała się podanej dłoni, nim ją uścisnęła.

- Proszę się nie niepokoić, to nie chemiczna broń, tylko zwykły kurz - uspokoiła ją Honey.

- Cała jesteś zakurzona, kochanie, i do tego masz brudne nogi - wtrąciła Sara.

- Opowiesz nam, co robiłaś? - zapytała Samantha.

- Pływałam łodzią z tajemniczym samotnym żeglarzem z południowej zatoki.

- Z jakim tajemniczym żeglarzem? - spytała Gretchen tonem, jakby nie wiedziała, o kogo chodzi.

Samantha tylko się roześmiała.

- Nieważne - odparła Honey, a zwracając się do agentki, dodała:

- Przepraszam, nie dosłyszałam, jak masz na imię.

- Naomi.

- Czego się napijesz? Widzę, że ty jedna nie masz drinka.

- Dziękuję, ale nie piję.

- W ogóle, czy tylko na służbie? Zapanowało pełne napięcia milczenie. Daj sobie spokój, uznała Honey. Co cię to obchodzi? Marcus zawsze będzie jej ulubionym bratem, nawet gdyby przyszło mu do głowy podnieść z posad cały Empire State Building. A nadludzkie talenty Gretchen albo dziwne losy Zachary'ego Ingrama w najmniejszym stopniu nie wpłyną na jej życie. I już prawie była gotowa przestać się interesować ich sekretami, gdyby nie widoczny niepokój, jaki jej wymiana zdań z Naomi wywołała na twarzach Marcusa i Jake'a Ingrama.

- Muszę się czegoś napić - oznajmiła, kierując się do baru. - Cześć, tato!

- Honor, jak miło cię widzieć! - ucieszył się Charles Evans. W chwili, gdy witała się z ojcem, z kuchennych drzwi wyłonił się kolejny nieznany jej osobnik - wyjątkowo potężnej budowy, niosący tacę z przekąskami.

- Zapędzili cię do roznoszenia jedzenia? - zadrwiła z niego Honey.

- Wziąłem tacę po drodze - odparł speszony osiłek.

- Honor, przestań się czepiać tego biedaka! - usłyszała za sobą głos starszego brata.

- Cześć, Drew! Stęskniłam się na tobą. - Do niego też była bardzo przywiązana. Jeszcze parę lat temu, nim jego najlepszy przyjaciel zginął w trakcie ratowniczej operacji Marynarki Wojennej, Drew był miłym chłopcem, z którym dobrze się dogadywali. - Co tu

robią te uzbrojone typki? - zapytała stojącego obok Jake'a. - To twoja ochrona?

- O czym mówisz? - Miała wrażenie, że Jake z trudem panuje nad swoją twarzą.

- Nie widzisz, że Naomi ma pod żakietem broń? Bo po co jej żakiet na taki upał? - A zwracając się do ochroniarza mężczyzny, spytała: - Co pana sprowadza na Brunhię?

- Honey, dość tego! - zaprotestował stojący za nią Marcus.

- Bo co, odeślesz mnie do dzieciennego pokoju?

- Nie przesadzajmy, jak na siebie Honor zachowuje się względnie przyzwoicie - stanął w jej obronie Drew.

- Bardzo ci dziękuję - odparła, obdarzając starszego brata promiennym uśmiechem. - Po prostu jestem ciekawa. Dawno nie widziałam w jednym miejscu tylu ochroniarzy.

Jake lekko zmarszczył czoło.

- Może spadli z nieba - zażartował.

Honey roześmiała się. Poczowała do niego sympatię. Jake był bystry i zabawny i mimo sławy geniusza zachowywał się bardzo naturalnie. Trochę jak Joe. Joe! Wiele by dała, żeby być teraz z nim. Ale ponieważ to niemożliwe, spróbuje przynajmniej zamieszać w tutejszym bagienku.

- Raczej z helikoptera - wyjaśniła. - Dopływając do plaży, słyszałam lecący na wyspę helikopter. Czy Naomi i Robert są z nami ze względu na to, co się ostatnio dzieje wokół ciebie i twojego brata, czy też moja rodzina ma jakieś kłopoty, o których nie wiem?

Oczywiście z wyjątkiem Marcusa. On jest istotnie wplątany w całe to genetyczne wariactwo.

- Bardzo mi przykro, ale twój brat uważa, że nie powinnaś się w to mieszać. Dla własnego dobra.

- Święte słowa - potwierdził Marcus. Honey krew uderzyła do głowy.

- Rozumiem - rzuciła, odwracając się na pięcie.

- Honey, poczekaj! Dokąd idziesz?

- Tam, gdzie jestem miłe widziana. - No, może niezupełnie, przyznała w duchu. Ale Joe przynajmniej nie stawiał jej aż tak nieprzejednanego oporu.

Mimo szczerego zamiaru odpłynięcia z wyspy do czasu, aż na Brunhii znów zapanuje spokój, Max jeszcze nie ruszył się z miejsca. Księżyc już wzeszedł, a on nadal siedział na pokładzie.

Ogarnął go miły nastrój spokoju i zadowolenia. Perspektywa powrotu do dawnego życia nadal wydawała się odległa. A nawet jeszcze dalsza niż dotąd. Gdy sycił się tą myślą, do jego uszu dotarł daleki warkot skutera. Zamiast jednak poderwać się na nogi, podnieść kotwicę i odpłynąć, Max uśmiechnął się pod wąsem. Elise nie może go zobaczyć, bo jest ciemno, a poza tym nie ma jak się dostać na pokład „Morskiej burzy”. Chociaż kto wie? Jest wystarczająco zwariowana, by rzucić się wplaw.

Zbiegł pod pokład po dwie butelki piwa, wskoczył do szalupy i wyruszył w stronę plaży. Dobiwszy do brzegu, zobaczył, jak Elise zsiadła ze skutera, po czym skierowała się, o dziwo, w stronę wioski.

Czyżby nie przyjechała do niego? Kolejny raz zbiła go z tropu. A ponieważ zabrał za mało piwa na to, by napić całą wioskę, więc zawołał:

- Pomyliłaś drogę?!

Elise odwróciła się gwałtownie, udając zaskoczenie. Przecież musiała słyszeć warkot motorówki. Czy to jakaś nowa gierka z jej strony? Prawdę mówiąc, nie miałby jej tego za złe. Wyskoczywszy z łodzi, ruszył jej na spotkanie. Zamiast bogatej panienki w sandałkach za kilkaset dolarów zobaczył przed sobą bosą dziewczynę w szortach i białym T-shircie.

- Napijesz się? - spytał, podając jej butelkę.

- Skąd jesteś raptem taki miły? - zdziwiła się. Usiadła na piasku i odrzuciwszy głowę do tyłu, z widoczną przyjemnością upiła łyk piwa.

- Och, tego mi było trzeba! - westchnęła.

Ty byłeś mi potrzebny, dodała w duchu. Usłyszał warkot jej skutera i wypłynął na spotkanie. Inaczej po co brałby ze sobą dodatkową butelkę piwa? Powinna to uznać za dobry omen, ale była zbyt przybita rozmowami w domu, by wzbudzić w sobie nadzieję.

- Wieczorek w eleganckim towarzystwie nie przypadł ci do smaku?

- Nie nazwałabym tego towarzyskim wieczorkiem. Już raczej polityczną naradą we wtajemniczonym gronie. Czułam się niepotrzebna.

- Polityczna narada? U Kurta? - zdziwił się Max.

- Już drugi raz zdradzasz się z tym, że znasz Kurta - zauważyła, popatrując na niego spod oka. - No, przyznaj się. W końcu jesteśmy kumplami popijającymi piwo w świetle księżyca.

- Na zdrowie! - zawołał z nieoczekiwaną dla niego samego radością. Stuknęli się butelkami.

- Skąd go znasz? - ponowiła pytanie. Ostatecznie może jej powiedzieć prawdę, nie zdradzając swej tożsamości.

- Spotkałem go w Kairze. - To akurat prawda. Znali się wprawdzie wcześniej, Max korzystał z usług Kurta jako prywatnego detektywa, ale faktycznie natknęli się na siebie w kairskim barze. - Kiedy mu wyznałem, że chciałbym się zaszyć w jakiejś zapadłej dziurze, opowiedział mi o swojej wyspie i zapewnił, że będę miał tutaj spokój.

- Przede mną udawał, że nic o tobie nie wie.

- Jest lojalny. Wie, że chcę mieć spokój.

- Imponująca jest ta lojalność wobec faceta przypadkowo napotkanego w barze - zdziwiła się Honey.

- Zdarza się.

Honey zrobiło się przykro. Carey była jej najlepszą przyjaciółką, jedną z niewielu osób, wobec których pozwalała sobie na szczerość, ale nawet ona nie chce jej zdradzić, co właściwie dzieje się w domu Kurta.

- Co cię skłoniło do porzucenia normalnego życia? - spytała nieoczekiwanie.

- To był akt desperacji - odparł po chwili namysłu.

- Czasami znajomy świat pokazuje obce oblicze. Honey, po raz drugi wypowiedziała słowa dokładnie oddające jego własne, najskrytsze odczucia.

- Mój świat rozpadł się. A właściwie jego najistotniejsza część. - Zamilkł, a ona nie naciskała, by mówił dalej. Może dlatego dodał: - Pół roku temu straciłem ojca.

Honey ścisnęło się serce.

- Ja czasami wściekam się na mojego tatę, ale też zdaję sobie sprawę, jak wiele mu zawdzięczam.

- Ja mojemu zawdzięczam wszystko. Chociaż przyznaję, że i ja miewałem go niekiedy powyżej uszu.

- To jest szczerść! - roześmiała się. - Ale kiedy umarł, dawne życie przestało cię interesować, tak?

- Były także inne powody.

- Opowiedz mi o tym.

- Nie przyszło ci do głowy, że mogę nie mieć ochoty?

- A mnie się wydaje, że chciałbyś zrzucić to z serca. Uśmiechnął się.

- To raczej ty chcesz mnie wyciągnąć na zwierzenia. Wiesz... kiedy umarł, budowanie domów bez niego straciło sens. Miałem uczucie, jakby zatrzasnęły się za mną jakieś drzwi. Stojąc nad jego trumną, poczułem, że nie ma dla mnie powrotu do tego, co było.

- To znaczy, do czego?

- Do budowania domów. A właściwie do tego, co dawało mi satysfakcję. Wiedziałem, że razem z ojcem straciłem zamiłowanie do tej roboty.

- A ja nigdy nie robiłam niczego z zamiłowania. -Powiedziała to tak, jakby dokonała ważnego odkrycia.

- Nigdy?

- No, może z wyjątkiem gonitw z przeszkodami. To naprawdę lubiałam.

- Bo miałeś do dyspozycji wyborową stajnię ojca.

- Najpierw tak, ale potem zatrudniłam się do ujeżdżania koni na innej farmie.

- I co?

- Przydzielali mi zawsze najlepsze wierzchowce. Za sprawą ojca, który aranżował to za moimi plecami. Więc dałam spokój. Dżokeje, którzy swoje osiągnięcia okupywali ciężką pracą, nienawidzili mnie. I wcale im się nie dziwię. - Zamilkła na chwilę. - Ale miałeś mi opowiedzieć o innych powodach swojej ucieczki.

- Po pogrzebie ojca czułem potrzebę podzielenia się z kimś myślami. Postanowiłem zobaczyć się z żoną, to było jeszcze przed naszym rozwodem, ale ona nie raczyła przyjechać na pogrzeb ojca. No i odnalazłem ją w naszym - omal nie powiedział „paryskim mieszkaniu” - w naszym domu.

- Chciałeś powiedzieć co innego.

- Na więc spotkałem ją na Marsie.

- Coś przede mną ukrywasz. Roześmiał się.

- Całe moje obecne życie to jedno ukrywanie się.

- Była piękna? Mam na myśli twoją byłą żonę.

- Camille? Tak.

- No więc odnalazłeś swoją piękną żonę na Marsie i powiedziałeś jej, że nie będziesz dalej budował domów. I co?

- To niezupełnie tak. - Po co, u diabła, daje się w to wciągnąć? Nikomu, nawet swoim prawnikom, nigdy nie zdradził, co się wtedy stało. Oszczędził Camille skandalu w zamian za zgodę na rozwód. Dzięki temu nie ograbiła go z majątku, ale zyskała szansę złapania kolejnego miliardera, którego wieść o jej prowadzeniu się mogłaby zniechęcić do małżeństwa.

Zgodnie z przedślubną umową, po dziesięciu latach małżeństwa Camille miała uzyskać prawo do pokaźnej części jego majątku. Pod warunkiem, że Max nie zażąda wcześniej rozwodu z powodu dowiedzionej niewierności żony. Wtedy w Paryżu miał dosyć rozumu na to, by usłyszawszy zza drzwi sypialni, że Camille nie jest sama, wejść do środka z aparatem fotograficznym w ręku.

- Nic nie mówisz.

- Przepraszam, zamyśliłem się. Po powrocie do domu zastałem Camille w łóżku z mężczyzną.

- O cholera! - Nie mogła sobie wyobrazić kobiety, która szukała przygód, mając w domu takiego faceta. - Więc rzuciłeś wszystko i wyjechałeś do Kairu, tak?

- Tak, ale przedtem zahaczyłem o Grecję.

- Na szczęście wuj w samą porę wykorkował, zostawiając ci w spadku żaglówkę.

-Tak jest.

- Ale mimo wszystko jak skromny przedsiębiorca budowlany mógł sobie pozwolić na podróżowanie po świecie?

- Mówiłem ci, że nasz przedsiębiorstwo się rozwinęło. Są zresztą różne sposoby podróżowania, ale tego i tak nie zrozumiesz. Pewnie latasz wyłącznie pierwszą klasą, popijając szampana.

- Dotąd tak było, ale teraz wolę piwo na plaży. Chyba mówiła szczerze. Jej śliczna twarz rysowała się wyraźnie w świetle księżyca. Zauważył, że w trakcie rozmowy przysunęła się bliżej niego.

- Co robisz? - zapytał.

- Chcę, żebyś mnie pocałował.

- Już ci mówiłem, że nic z tego. - Powinien wstać i odejść, ale tego nie zrobił.

- Dlaczego?

- Bo jesteś częścią świata, od którego uciekam. Panicznie bał się wpaść w szpony kolejnej Camille.

Drugi raz tego by nie przeżył. Nie mógł też wyznać Elise, czym było jego małżeństwo i dlaczego zachowywał się tak, jak się zachowywał. Gdyby jej o tym opowiedział, mogłaby się łatwo domyślić, że tajemniczy Joe i Max Strong to jedna i ta sama osoba. Tego zaś bał się jeszcze bardziej. Tylko jako Joe czuł się przy niej bezpiecznie.

- Unikam skomplikowanych kobiet - oświadczył.

- Jakie to ma znaczenie, skoro za parę dni wyjadę stąd? -

Chwyliła brzeg T-shirta i jednym ruchem ściągnęła go przez głowę.

- Co ty wyprawiasz?

Tym razem nie miała na sobie nawet przezroczystego stanika.

- Staram się dowieść, że niepotrzebnie się upierasz - odparła, obejmując go i zbliżając usta do jego warg.

W pierwszej chwili poczuła opór, ale już w następnej sekundzie Joe chwycił ją w ramiona i zaczął namiętnie całować, podczas gdy jego szorstkie ręce pieściły jej nagą skórę. Serce Honey zaczęło bić jak oszalałe. Miała wrażenie, że unosi się w powietrze.

Nagle Max wyprostował się tak gwałtownie, że byłaby upadła na plecy, gdyby jej nie przytrzymał. Nie wolno mu tego robić. Nie dlatego, by nadał bał się wpaść w jej szpony. Wierzył już, że Elise nie ma wobec niego ukrytych zamiarów. Czuł jednak, że nie może kochać się z dziewczyną, której naopowiadał o sobie tyle kłamstw. Kto wie, czy ona nie chce czegoś więcej niż przygody? Kto wie, czy on sam tego nie pragnie? Nie będzie przecież do końca życia udawał kogoś, kim nie jest.

- Przepraszam cię - powiedział. Odsunął ją od siebie i wstał.

Podniósł porzucony T-shirt.

Honey zmartwiała. Nie czuła żalu ani złości. Tylko beznadziejną pustkę. Bez słowa wzięła koszulkę.

- Elise...

- Nieważne. - Kiedy odzyska zdolność odczuwania, będzie już z dala od niego.

- Elise, jesteś cudowna. To nie ty, to ja.

- Idź do diabła! - Jak mógł jej to zrobić? Pokazał jej niebo, a potem ją odtrącił. - Obyś się smażył w piekle!

Wciągnawszy koszulkę, odwróciła się i zaczęła biec. Czowała, że za chwilę wybuchnie płaczem.

Scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nazajutrz rano bardzo niechętnie szykowała się na wesele brata. Nie wiedziała, jak się uczesać i co na siebie włożyć. Zaczęła upinać włosy na czubku głowy, potem zmieniła zdanie i zaczęła je na nowo rozczesywać. Jakby na zawołanie, zza drzwi odezwał się głos Sary Evans:

- Honor, jesteś gotowa?

- Nie ma tu nikogo o tym imieniu - powiedziała, czując, że ostatnio istotnie nie wie, kim naprawdę jest. W końcu uchyliła drzwi. - Nie czekajcie na mnie, zejdę za parę minut.

- Na litość boską, coś ty na siebie włożyła?

- Nie podoba ci się? - Miała na sobie jaskrawo-czerwoną sukienkę z szerokimi rękawami, wcale nie najkrótszą, bo kończyła się dziesięć centymetrów nad kolanami, tyle że miała rozcięcie z boku.

- Stanowczo zbyt wyzywająca.

- To mi się w niej najbardziej podoba - odparła, zatraskując z powrotem drzwi.

Po chwili jednak ruszyło ją sumienie. Z powodu głupiej sukienki nie będzie psuć bratu wesela. Rozebrała się i po kolejnym przeglądzie walizek wybrała przylegającą do ciała lawendową sukienkę bez ramiączek. Wychodząc z pokoju poczuła, że zaczyna ją boleć głowa.

Już w kuchni usłyszała pierwsze dźwięki muzyki. W wielkiej sali rozpoczynała się ceremonia ślubna. Honey zdała sobie sprawę, że trudno jej oddychać. Jak mogła nie zauważyć, że sukienka jest za

ciasna w biuście? Po cichutku wkradła się do salonu w chwili, gdy Marcus podchodził do kapelana w towarzystwie drużby, jego najlepszego przyjaciela Jamesa Robinsona. Jimmy i pastor musieli przypląć wczesnym rankiem, kiedy Honey odsypiała swoją wczorajszą klęskę.

Szybko usiadła na wolnym krześle obok Carey.

- Dlaczego się spóźniłaś? - szepnęła przyjaciółka.

- Staralam się ubrać przyzwoicie.

- Ty? To coś nowego.

Matka obejrzała się, rzucając córce karcące spojrzenie. Na pewno będzie miała pretensję, że nie usiadła razem z rodzicami i Drew. Honey czuła się coraz gorzej i coraz trudniej było jej oddychać.

- Spójrz, jaka ona jest piękna - westchnęła Carey.

Honey podniosła wzrok. Do sali wkroczyła Samantha, spokojna i promienna. Bum! Honey zrobiło się słabo. To nie ma sensu, pomyślała. Dlaczego to się dzieje, skoro w pobliżu nie ma mężczyzny usiłującego ją uwieść?

Bum-bum-bum. Nie, to niemożliwe. Dlaczego właśnie teraz miałyby dostać ataku paniki? To tylko ta przeklęta sukienka.

Czy kiedykolwiek patrzyła na mężczyznę tak, jak Samantha patrzy teraz na jej brata? Kiedy panna młoda zbliżyła się do stojących przed kominkiem mężczyzn, Honey zobaczyła twarz Marcusa. Malowało się na niej uwielbienie. Bum-bum-bum.

Honey wpatrzyła się w kapelana, który pełnym wzruszenia głosem mówił o połączeniu się dwojga istot, które pragną być razem, by stworzyć wspólnie coś większego od nich samych.

To piękne, pomyślała Honey. Poczowała, że pieką ją oczy. Szybkim ruchem otarła powieki. Skąd ta nagła skłonność do płaczu? Widocznie powietrze na Brunhii tak na nią działa...

Bum-bum-bum. Miała wrażenie, że za chwilę się udusi.

Jeżeli rozepnie sukienkę, rodzina nigdy jej tego nie daruje. Wstała niepewnie z krzesła. Pokój zawirował, potem wirowanie ustało, ale wszystko widziała jak przez mgłę: wykrzywioną twarz Marcusa, zatroskane spojrzenie Samantha, zaczerwienione z gniewu policzki ojca, otwarte spazmatycznie usta matki, jakby jej również brakowało tchu.

- Strasznie mi przykro - wymamrotała. Odwróciła się, niemal przewracając krzesło, i resztką sił wybiegła do kuchni.

Przystanąła za drzwiami. Ledwo trzymała się na nogach. Powietrza, muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Wydostała się jakimś cudem do ogrodu, ale biegła przed siebie, myśląc, że albo padnie nieprzytomna na ziemię, albo zmusi swoje płuca, by zaczęły działać.

Po drodze zdjęła z nóg eleganckie pantofelki i porzuciła je na trawniku.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, że biegnie prosto do przystani, w której stała łódź Joego.

Dlaczego to robi? Przecież nie chce go więcej widzieć po tym, jak wczoraj ją odtrącił! Nie tę bogatą, rozkapryszoną panienkę, za jaką uchodziła w rodzinnym domu, ale autentyczną, prawdziwą Honey, jaką pragnęła się stać. Obnażyła się przed nim, a on ją odtrącił. Palił ją gorzki wstyd.

A jednak chciała go zobaczyć.

Zwolniła kroku. Czuła ogień w płucach, które łapczywie chwyciły ostre, morskie powietrze. Zatrzymała się, by popatrzeć na swoje ręce. Już nie drżały. Ciężkim krokiem ruszyła dalej...

Odrzucił zaloty półnagiej kobiety. Max rozmyślał nad sobą, wstawiając naprawiony silnik do łodzi zaprzyjaźnionego rybaka. Powinien chyba zgłosić się do psychiatry. Sądząc po zachowaniu miejscowych dzieci, które obchodziły go od rana szerokim łukiem, musiał wyglądać jak gradowa chmura. Dopiero na widok zbliżającej się Palomy trochę się rozpogodził.

- Dzień dobry, senhor.

- Co słyhać, senhora! - W wyrazie jej twarzy uderzyło go coś odświętnego.

- Mogłabym tańczyć ze szczęścia.

- To wspaniale. Z jakiego powodu?

Paloma z lubością pogłaskała się po brzuchu. Ten gest mógł oznaczać różne rzeczy. Na pewno nic erotycznego, bo na to kobieta z wyspy nigdy by sobie nie pozwoliła. Chyba że...

- Serafina mówi, że noszę nowe dziecko.

- Jesteś pewna?

Serafina była miejscową znachorką, siedemdziesięcioletnią kobietą, która podobno nigdy w życiu nie opuściła wyspy.

- O tak. Serafina nigdy się nie myli. A pan ma dzieci?

- Nie.

- Pewnie wy w Ameryce nie potrzebujecie dzieci, tak jak my.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Ta śmieszna senhora o jasnych włosach też mówiła, że nie chce mieć dzieci. A może mówiła o mężu. Już nie pamiętam.

- Ta śmieszna senhora... - Max nie dokończył zdania. Co go to obchodzi? Po tym, jak ją wczoraj potraktował, na pewno przestanie go nachodzić. I bardzo dobrze.

Ale jeżeli powiedziała, że nie chce wychodzić za mąż, to może jednak źle ją ocenił?

- O, właśnie idzie - zauważyła Paloma. Maksowi ścierpła skóra. Ostrożnie podniósł oczy.

Drogą wiodącą do plaży istotnie szła Elise. W co ona znowu się ubrała? Spowita od biustu do bioder w delikatną materię lawendowego koloru, wyglądała jak naga.

Paloma znikła niepostrzeżenie. Mądra kobieta, wie co się święci. Elise zaś zmierzała prosto w jego kierunku. Stanąwszy przed Maksem, z całej siły dziobnęła go palcem w pierś.

- Jestem ci winien przeprosiny za wczoraj - bąknął niepewnie.

- Miałeś na to dość czasu. Nie zauważyłam, żebyś mi z samego rana przyniósł bukiet róż.

- Skąd miałem wziąć róże na Brunhii?

- To trzeba było popłynąć do Portimao. Zezłościł się. Dlaczego on ma być wszystkiemu winien?

- Ja nie chciałem tego, o co ci chodziło.

- Nieprawda.

- Właśnie że prawda.

- Nie opowiadaj. Może i jestem... - omal nie powiedziała „dziewicą”. Czy do reszty straciła rozum, żeby się do tego przyznawać? - Powtarzasz bez końca, że mnie nie chcesz, ale twoje ciało mówi zupełnie co innego. Lepiej uzgodnij ze sobą, na co masz chęć, a tymczasem trzymaj ręce przy sobie.

- Mówisz, jakbym to ja wczoraj zerwał z ciebie ubranie.

- Powinnam znowu się rozebrać, a potem odesłać cię do wszystkich diabłów. Dopiero byś poczuł, co mi wczoraj zrobiłeś.

- Daj spokój! - zawołał przestraszony, bo Elise wykonała taki gest, jakby zamierzała spełnić swoją groźbę.

Jedynie, co mu pozostało, to uciekać, gdzie oczy poniosą. Ludzka wytrzymałość ma granice. Zastanowił go jednak wyraz oczu tej kobiety - wyzierało z nich autentyczne cierpienie.

- Przepraszam, jeśli sprawiłem ci ból. - Max znał gorzki smak odtrącenia.

- Nie pochlebiaj sobie. - Odwróciła się plecami.

- Nigdy dotąd nie spotkałaś się z odmową?

- Zwykle to ja wybieram. Jestem wybredna.

- To chyba nie jest wada.

- Było nam dobrze razem - powiedziała, zmieniając ton. - Nie próbuj zaprzeczać.

- W tym właśnie cały kłopot.

Ujął jej twarz w obie dłonie. Honey przymknęła oczy, pewna, że zaraz ją pocałuje. Resztki dumy podpowiadały jej, że powinna odejść, lecz nie potrafiła się na to zdobyć.

On jednak patrzył jej tylko w oczy.

- Są rzeczy, których o mnie nie wiesz - szepnął - dlatego wczoraj tak się zachowałem. Inaczej postąpiłbym nieuczciwie.

- Więc mów.

- Nie wiem, czy mogę ci zaufać. Za mało się znamy. Straciła cierpliwość. Chwyliła go za przód T-shirta.

Sama nie wiedziała, co chce zrobić. Uderzyć go? Pocałować? Rozplakać się? Wszystko się w niej gotowało. Znowu została odepchnięta, a przecież wczoraj było inaczej. Pragnęła go, wydawało się, że zaczynają się rozumieć. Była na dobrej drodze. Dopiero na ślubie Marcusa pozazdrościła bratu, że zdobył coś, czego ona chyba nigdy nie zdobędzie.

Była wściekła na siebie i na cały świat. Nie chodziło już tylko o Joego i jego wczorajsze zachowanie. Poczowała się beznadziejnie uwięziona w swoim buncie przeciwko rodzicom, który sprawił, że stworzyła nieprawdziwy obraz siebie.

- Wszystko popsuleś - rzuciła, odpychając go od siebie.

Zakręciła się na pięcie, by odejść.

Max pobiegł za nią, objął ją w pasie i w rezultacie upadli na piasek. Po krótkiej szamotaninie przewrócił ją na plecy. Zobaczyła jego rozplamione oczy. Pragnął jej. Wbrew temu, co zrobił wczoraj, naprawdę jej pragnął.

- Pamiętaj o zakładzie - wyszeptała. - Wczoraj mnie pocałowałeś, więc teraz musisz doprowadzić rzecz do końca.

- Do końca? - spytał szeptem.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Nie miało to jednak nic wspólnego z bum-bum-bum czy ra-ta-ta.

- Do samego końca.

Max do reszty stracił głowę. Przyciskając Elise całym ciałem, zaczął ją namiętnie, nieprzytomnie całować. O tak, o tak, myślała. O tym zawsze marzyła. Wsunąwszy palce w bujne włosy Joego, z rozkoszą odpowiadała na jego pocałunki.

- Honor! - Natrętny, przenikliwy głos przedarł się do jej świadomości. - Honor, co ty wyprawiasz?

Drew. To głos brata.

- Uciekłaś z wesela, żeby tarzać się po plaży z nieznajomym facetem?

Honey poczuła chłód w sercu. Zamarła. Joe również stracił animusz i lekko się odsunął.

- Muszę iść - szepnęła.

- Co to człowiek? Dlaczego tak cię nazwał?

- Nie pytaj.

- Jak mam ci ufać, skoro nie mówisz mi prawdy?

- Chcę tylko, żebyś mnie pragnął.

Drżała na całym ciele. Sama nie wiedziała, czy ze złości, czy z rozpacz. Jedno było pewne: zamorduje brata własnymi rękami.

Wstała z taką miną, że Drew cofnął się przestraszony.

- Przepraszam, to nie był mój pomysł. Ojciec mnie posłał.

- Nie masz własnego rozumu?! - wrzasnęła.

- Tata prosił, żebym cię odnalazł, zanim znowu zrobisz coś głupiego. No i nie pomylił się.

Honey pociemniało w oczach. Trzasnęła go w policzek.

- Chodźmy, kotku - poprosił, rozcierając sobie twarz.

- Nie mów tak do mnie! - krzyknęła. Wszystko w niej buzowało.

Zostawcie mnie w spokoju, myślała rozpaczliwie, chcę być nareszcie sobą!

Spojrzała przez ramię na Joego.

- Zobaczymy się później. Pamiętaj, że przegrałeś zakład! - To powiedziawszy, puściła się pędem w kierunku skutera, na którym przyjechał Drew, wskoczyła na siodełko i odjechała.

Max patrzył na nią, dopóki nie zniknęła za zakrętem. W uszach mu szumiało, wokół czuł zapach jej ciała. Zapach leśnych kwiatów w upalny dzień.

Z zamyślenia wyrwał go głos intruza:

- Kim pan jest, u licha?

Max zmierzył go spojrzeniem. Facet aż się prosił, by sprawić mu manto, a i jemu bójka dobrze by zrobiła dla rozładowania emocji.

Uznał jednak, że lepiej nie wdawać się w awanturę.

- Jestem Joe. Po prostu Joe.

Tamten przyjrzał mu się uważnie. Zastanawia się, kogo mu przypominam, przemknęło Maksowi przez głowę.

- Joe i jak dalej? Domyślam się, że jest pan Amerykaninem. Co pan tutaj robi?

- O ile wiem, pobyt na Brunhii nie jest zabroniony. - Omijając nieznanego szerokim łukiem, Max kierował się w stronę brzegu. Mężczyzna chyba go nie poznał. Niemniej trzeba co prędzej wracać na pokład.

Doszedł do łodzi, wszedł i zapuścił silnik. Obejrzał się dopiero, dopływając do „Morskiej burzy”. Nieznajomy nadal go obserwował. Próbuje sobie uświadomić, skąd zna moją twarz.

Jakoś inaczej nazwał Elise, przypomniał sobie Max. Właściwie powinien być na nią zły, ale zamiast tego parsknął śmiechem. To ci dopiero heca! Ona też podaje się za kogoś innego!

Chciał wrócić i wypytać o nią nieznanego, lecz się rozmyślił. Nawet nie z obawy przed zdemaskowaniem, ale ponieważ uznał, że dziewczyna może mieć równie jak on ważny powód, aby ukrywać swoją tożsamość.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jechała do domu, trzęsąc się z bezsilnej złości. Tym razem rodzina ostatecznie przebrała miarę. Ani chwili dłużej nie będzie ich kociątkiem, dziecinką, małą córeczką. Tam na plaży, kiedy była w objęciach Joego, poczuła, że wstępuje w nią jakaś nowa siła. Po raz pierwszy w życiu pragnęła czegoś z całej duszy i do głębi trzewi. Może źle się stało, że doszło do tego w biały dzień, na oczach ludzi z wioski, ale widać tak musiało być. Najważniejsze że to, czego łaknęła przez całe swoje młode życie, znalazło się wreszcie w jej zasięgu.

I wtedy właśnie musiał się zjawić Drew!

Wjechała do wozowni i zahamowała z głośnym piskiem opon. W drodze do domu pozbierała porzucone na trawniku pantofle. Już miała wbiec do kuchni, kiedy przez uchylone drzwi dostrzegła coś, co przykuło jej uwagę.

Zdaje się, że Jake Ingram też ma swój zły dzień. Jego narzeczona stała pośrodku kuchni i przemawiała do niego oskarżycielskim tonem.

- Wyjazd na dziką wyspę, żeby uczestniczyć w weselu obcych ludzi, był dla ciebie ważniejszy niż przygotowania do naszego ślubu?

Jake wyglądał, jakby chciał się wczolgać pod najbliższe krzesło.

- Marcus i ja znamy się od wieków.

- Nigdy mi o nim nie wspominałeś.

- Widać zapomniałem. Ale przecież nie musiałaś przyjeżdżać, jeśli nie miałaś ochoty.

- Od pewnego czasu prawie się nie widzimy. Gdybyś pojechał sam, mogłabym zapomnieć, jak wyglądasz.

- Daruj, ale mam mnóstwo ważnych spraw na głowie.

- Czy ci ludzie, których pierwszy raz widzę na oczy, też należą do tych ważnych spraw?

Oczy Jake'a przybrały czujny wyraz.

- Są moimi dobrymi znajomymi.

- Ochroniarze też?

Honey nastawiła uszu. Była ciekawa, jak Jake wytłumaczy obecność Naomi i Roberta.

- Ten, kto zaplanował skok na Bank Światowy, jest nie tylko bardzo sprytny, ale i niebezpieczny. Muszę być ostrożny.

Honey poczuła zawód. Była przekonana, że ochrona wiąże się z aferą genetyczną, a nie z Bankiem Światowym.

- Jak sobie wyobrażasz nasz ślub i potem wspólne życie, jeżeli nic mi o sobie nie mówisz, a widzimy się głównie na przyjęciach? - nie ustępowała Tara.

- Myślałem, że lubisz przyjęcia.

- Mam wrażenie, że coraz bardziej się ode mnie oddalasz.

Zaczynam mieć poważne wątpliwości.

- Czy powinniśmy się pobrać?

Honey pomyślała, że Tara musi być ślepa i głucha, skoro nie zauważyła błysku nadziei, jaka przy tych słowach mignęła w oczach Jake'a. Spostrzeżenie to dziwnie ją przygnębiło.

- Sama już nie wiem, co myśleć - jęknęła Tara.

- Skoro tak, to może będzie lepiej, jeśli jeszcze trochę poczekamy.

- Na co jeszcze mamy czekać, skoro nic innego nie robimy?

- Chciałem powiedzieć... No bo, jeżeli nie jesteś pewna, to byłby wielki błąd...

- Kiedy ja byłam pewna, Jake. Absolutnie. Ale po przyjeździe tutaj moja cierpliwość się wyczerpała. Ci wszyscy ludzie! Ilekroć się obejrzę, stoisz w drugim kącie pokoju, całkowicie zaprzątnięty jakąś bardzo ważną rozmową.

Jake milczał. Miał minę zbitego psa.

- Ze mną w ogóle nie rozmawiasz - ciągnęła Tara, zniżając głos.

- Oddaliśmy się od siebie, zamiast zbliżyć. - To mówiąc, odwróciła się i wymaszerowała do salonu.

Jake stał dalej ze spuszczoną głową. Honey otworzyła szerzej drzwi i wsunęła się do kuchni.

- Zdaje się, że masz kłopoty - zauważyła. Jake podskoczył na jej widok.

- Ostrzegali mnie, żeby z tobą nie rozmawiać - powiedział ostrzegawczym tonem.

Honey już miała wybuchnąć, ale jednak się pohamowała.

Policzyła w myślach do dwudziestu.

- Masz siły na kolejną sprzeczkę? - spytała.

- Chyba nie.

Przyjrzała mu się uważnie, pochylając na bok głowę. W oczach Jake'a malował się wyraz zaszczutego zwierzęcia.

- Napijmy się grogu. To ci powinno pomóc - zaproponowała.

- Sam nie wiem. Może to niezła myśl - odparł Jake, bezradnie pocierając ręką czoło.

- Też tak uważam. No to do dzieła! Idź tam - rozkazała, wskazując drzwi salonu - i przynieś butelkę najlepszej whisky, jaka wpadnie ci w ręce. Ja chwilowo wolę się nie pokazywać. - Była kompletnie wypompowana. Jakby opuściła ją cała energia, pozostawiając po sobie rozpaczliwą pustkę.

Jake posłusznie wyszedł. Nie była wcale pewna, czy wróci, niemniej zabrała się do gromadzenia składników potrzebnych do przyrządzenia grogu. Wyjęła z lodówki masło, znalazła w spiżarni cukier puder i cynamon, a na koniec nastawiła wodę. Kiedy sięgała do szafki po kubki, usłyszała szelest otwieranych drzwi.

Był to Jake. Wyglądał niezbyt przytomnie, lecz w rękę trzymał whisky.

- Brawo! - zawołała, odbierając mu butelkę. -A teraz powiedz, co ci o mnie nagadali.

- Że jesteś nieodpowiedzialna i nie umiesz trzymać języka za zębami.

- Głupie gadanie. - Postawiła kubki na stole, wrzuciła do nich po trochu masła, cukru i cynamonu, a następnie starannie wszystko wymieszała. - Jeśli się do czegoś zabieram, to na ogół mam w tym jakiś ukryty cel. Czyli nie jestem ani nieodpowiedzialna, ani niedyskretna.

Jake wyraźnie się zdziwił.

- A jaki masz ukryty cel w tym, co robisz teraz? - spytał, wskazując nieokreślonym ruchem kuchenny stół.

- Chcę się dowiedzieć, co cię łączy Marcusem, a właściwie z jego nadludzką siłą. A byłoby ekstra, gdybyś na dodatek wyjaśnił, co w tym domu robi Matt Tynan. Ja w nagrodę sprawię, że lepiej się poczujesz.

Na twarzy Jake'a odmalował się autentyczny przestach.

- Nie bój się, nie mam wobec ciebie niecznych zamiarów. - Honey wlała do kubków whisky, potem gorącą wodę, i podsunęła mu jeden z nich. Jake z niepokojem obserwował jej ruchy.

- Nie chciałbym, żebyś poczuła się urażona, ale...

- Ale nie masz ochoty mnie przelecieć? - Gdyby powiedział to samo wczoraj wieczorem, po tym, jak Joe odrzucił jej zaloty, byłaby zdruzgotana. Jednakże po dzisiejszej scenie na plaży nie poczuła się nawet dotknięta. Co więcej, z jej ust wydobyły się słowa całkiem dla dawnej Honey nietypowe: - Nic nie szkodzi, ja też nie mam na ciebie ochoty.

Jake roześmiał się serdecznie, choć w jego śmiechu brzmiało pewne zaskoczenie. Usiadł przy stole i spróbował grogu.

- Dobrze to - pochwalił.

- Po pierwszym kubku poczujesz się jak nowo narodzony. A po drugim zapomnisz o kłopotach.

- No to do dna! - Podniósł kubek z tak czarującym uśmiechem, że gdyby Honey nie była boso, sandały spadłyby jej z nóg.

- A teraz pogadajmy!

- Naprawdę nie mogę. Chętnie opowiedziałbym to i owo, ale nie mogę zdradzać cudzych sekretów.

- Albo zaczniesz mówić, albo więcej nie dostaniesz!

Jake znowu się roześmiał. Był coraz bardziej odprężony.

- No dobrze - zaczęła Honey ugodowym tonem. — O Tynanie i twoim bracie możesz nie mówić. Ale o Marcusie mam prawo wiedzieć, w końcu jest moim bratem.

- Nic ci o nim nie powiem.

- Widziałam wczoraj, jak podniósł z ziemi głąz.

- To możliwe - mruknął Jake, dopijając grog.

- Gretchen też jest w to wplątana.

- Ja też - wyznał nieoczekiwanie, podnosząc wzrok znad kubka.

Nie była pewna, co bardziej ją zaskoczyło: to, czego się dowiedziała, czy jego szczerość.

- O! Więc jest was już troje!

- O reszcie na razie nie wiemy. Czy dostanę więcej? - Jake wyciągnął pusty kubek.

- Oczywiście. - Poderwała się, by zrobić świeży napój. - Wiec ten bubek z CIA trafił na właściwy trop.

- Zabawna jesteś. - Jake był już całkowicie odprężony.

- No to opowiedz rai coś jeszcze.

- Nie mogę, Honor. Słowo daję.

- Nie mów do mnie Honor. Tylko trzy osoby tak mnie nazywają, ale ja źle na to reaguję.

- Nie rozumiem, dlaczego.

- I niech tak zostanie. A skąd wiesz o sobie? - zapytała, podając Jake'owi napełniony kubek. - Pytanie dotyczy wyłącznie ciebie, więc nie zdradzisz cudzej tajemnicy. Jak się dowiedziałeś, że jesteś dzieckiem z próbówki?

- Każdemu z nas wszczepiono jakiś szczególny talent - wyrwało mu się, lecz natychmiast zakrył usta ręką. - Nie, nie, nic więcej nie powiem.

- Oj, daj spokój. Tak nam się dobrze rozmawiało. Jake mimo woli uśmiechnął się kącikiem ust.

- Mówili, że masz pusto w głowie, a tymczasem jesteś wcale bystra - rzekł z uznaniem.

- Tylko tak udaję.

- Trudno udawać inteligencję, jeśli się jej nie ma.

- Udaję głupią. A ty masz umysł jak brzytwa, prawda?

Analityczny, zmierzający prosto do celu.

- To jest właśnie ten mój specjalny talent. Honey nagle olśniło.

- Zdolności matematyczne. I finansowe. Teraz rozumiem. -

Widząc na twarzy Jake'a zrezygnowany uśmiech, przypomniała sobie, dlaczego uznała, że musi go pocieszyć grogiem. - Ale Tara nic o tym nie wie, tak?

- Jesteś nie tylko bystra, ale i domyślna.

- Niezupełnie. Słyszałam, jak się kłóciliście. Jake zmarszczył czoło.

- To nie była kłótnia. Tara nie zniża się do kłótni - rzekł z westchnieniem.

- Potrafi wypić krew, nie robiąc dziurki? Jake wybuchnął śmiechem.

- Trochę jednak ją rozumiem - dodała Honey. - Nie wie, że łączy cię z Marcusem i Gretchen wspólne pochodzenie z próbówki i dlatego...

- Ale my jesteśmy prawdziwym rodzeństwem - przerwał jej Jake.
- Mieliliśmy wspólnych rodziców.

- Naprawdę? To mi psuje cały obraz.

- Wyobrażałaś sobie, że zrobili nas w próbówce?

- Coś w tym rodzaju - przyznała ze śmiechem. - No więc jak się dowiedziałeś? - Postanowiła skorzystać z okazji, widząc, że Jake się rozgadał.

- Od mojej biologicznej matki. Odnalazła mnie, żeby mi o tym powiedzieć.

- I co się teraz z nią dzieje?

- Nie żyje. Ojciec też.

- Zmarli naturalną śmiercią? - naciskała Honey.

- Wątpię. - Jake pokręcił głową.

- Wiem, nic więcej nie powiesz. Ale i tak sporo się dowiedziałam. - Z zadowolonym uśmiechem rozparła się na krześle, dopijając resztki grogu.

- Grozi nam niebezpieczeństwo. Pewni ludzie chcą nas dostać z powrotem w swoje ręce.

- Żeby was użyć w niecnym celu? - Powiedziała to żartem, lecz wyraz twarzy Jake'a uświadomił jej, że trafiła w sedno. - To Koalicja, prawda? Koalicja chce was odnaleźć?

- Skąd wiesz o Koalicji?

- Kurt się wygadał. Umiem wyciągać z ludzi różne rzeczy.

- Zauważyłem.

- Ale wróćmy do twoich problemów z Tarą - zmieniła temat Honey. Wstała od stołu, aby przyrządzić sobie następny kubek grogu.

- Odniosłam wrażenie, że nie padasz przed nią na kolana.

- Potrafi być przykra.

- I to mówi zakochany mężczyzna? - zdziwiła się, siadając z powrotem przy stole.

- Sam już nie wiem, czy rzeczywiście ją kocham. W dodatku mam tyle innych spraw na głowie.

- Nie wiem, czy dobrze zgaduję, ale przypuszczam, że wam wszystkim, całej waszej trójce, wymieciono z pamięci wspomnienia z wczesnego dzieciństwa.

- Teraz zaczynam sobie stopniowo to i owo przypominać.

- A na razie Igniesz do Tary, żeby mieć poczucie zakorzenienia?

- Mogłabyś zostać niezłym psychologiem.

- Ciekawe, co by na to powiedziała moja rodzinka. Ale nie mówmy o niej. Tamte wspomnienia musiały tkwić głęboko ukryte w waszej psychice. No bo jak to tak? Jednego dnia masz dom, rodziców, kolegów, a następnego to wszystko nagle znika. Nie wiem, jak było z tobą, ale Marcus trafił do nas, mając dwanaście lat. Chociaż jestem od

mego młodsza, mam absolutną pewność, bo byliśmy ze sobą bardzo blisko, że nie miał świadomości tego, co się z nim wcześniej działo. I czy taka sytuacja nie rodzi podświadomej potrzeby jakiejś stabilizacji, związania się z kimś na stałe? Obojętne z kim, bo i tak nie możesz się przed tą osobą naprawdę otworzyć?

- Gdyby była tak uparta jak ty, może bym się otworzył.

- Dobry ten grog, no nie? Rozluźniłeś się. Dobrze, że nie zacząłeś tańczyć na stole, bo musiałabym cię stamtąd ściągać. I co by było, gdyby nagle weszła słodka Tara i zastała nas w dwuznacznej sytuacji?

- Jesteś zabawna.

- To tylko jedna z moich licznych zalet chociaż jestem tylko banalnym produktem naturalnego zapłodnienia. - Upiwszy kolejny łyk grogu, spowaźniała. - Nie powinieneś się z nią żenić.

Jake znieruchomiał, trzymając w podniesionej ręce kubek.

- Jeżeli nie ufasz jej na tyle, żeby móc szczerze rozmawiać o swoim dziwnym pochodzeniu, o Koalicji i tak dalej, to wasze małżeństwo nie zapowiada się najlepiej.

- Boję się, jak ona by na to zareagowała.

- Za dzikimi wyspami, na których nie ma samochodów, też chyba nie przepada. - Honey wstawiła do zmywarki opróżnione kubki.

- Wypraw na nieznane wyspy możesz jej wprawdzie oszczędzić, ale nie tego, co się dzieje w głębi twojej świadomości. Więc lepiej zastanów się, co robisz.

Miała mu o wiele więcej do powiedzenia i byłaby to zrobiła, gdyby nie nagłe pojawienie się w kuchni Marcusa.

- Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? - zwrócił się do Honey z pretensją w głosie. - Dlaczego uciekłaś z domu w trakcie mojego ślubu?

- Widocznie miałam ważny powód!

- Ty i ważny powód? Nie rozśmieszaj mnie. Honey nagle odechciało się wszystkiego.

- Skoro tak, to żegnam. - Wybiegła z kuchni i udała się na górę.

Max wyciągnął się na swoim ulubionym leżaku, obserwując rybaków odpływających o zachodzie słońca na połów. Myślał jednak o Elise, albo Honor.

Dlaczego nie miałby przyjąć tego, co mu oferuje? Miał na nią ochotę i szukał dla swoich apetytów usprawiedliwienia. Jej bezwstydną pogoń niewątpliwie mu pochlebiała. Mógł sobie wyobrazić, że takiej dziewczynie jak ona wystarczy kiwnąć palcem, by zdobyć mężczyznę, na którego przyjdzie jej ochota. A teraz nagle natrafiła na opór i dlatego tak się uparła. Co się w końcu stanie, jeśli jej ulegnie?

W obecnym stanie ducha nie zniósłby nowych komplikacji, lecz Elise, czy też Honor, nie powinna ich stworzyć. Za parę dni wyjedzie do Stanów i na tym sprawa się skończy.

Chodzi jej wyłącznie o szybki seks. Nie spodziewa się zdobyć fortuny, bo chyba uwierzyła, że jest biedakiem. Czemu więc nie dać

dziewczynie tego, na czym jej tak bardzo zależy, i mieć przy okazji trochę przyjemności?

Kiedy był już gotów zgodzić się ze swoim rozumowaniem, Honor pojawiła się na plaży. Miała na sobie jasne szorty i rodzaj plażowego biustonosza. Stanąwszy na skraju wody, pomachała ręką, by po nią przyplłynął.

Max jednak tylko pokręcił głową. Postanowił nie spieszyć się z decyzją. Dziewczyna tymczasem weszła po kolana w wodę. Chyba nie rzuci się w pław? Owszem, rzuciła się. Dała nurka i na długą chwilę zniknęła pod wodą.

Maksowi krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Oto płynie ku niemu syrena z niezłomnym zamiarem uwiedzenia go. Tylko idiota nie wciągnąłby jej na pokład, a Max nie uważał się za idiotę. W każdym razie odkąd rozstał się z Camille.

Dziewczyna wynurzyła się z wody w odległości paru metrów od burty i teraz płynęła ku niemu szybkim kraulem.

- Masz źle w głowie - zauważył.

- Woda jest lodowata. Wyciągnij mnie - poprosiła, dopływając do jachtu.

Max wychylił się za burzę, nie podając jej ręki. Jako człowiek rozważny, postanowił powściągnąć swój entuzjizm. Dziś chyba jeszcze nie skorzysta z jej oferty.

- Ostatecznie mamy wrzesień - zauważył.

- No to co?

- O tej porze na północnej półkuli woda w morzu bywa chłodna.

Zauważył, że wargi sinieją jej z zimna, i w końcu wciągnął ją na pokład.

- Nie spieszyłeś się - wybąkała, szcękając zębami. Ładnie muszę wyglądać, pomyślała. Nie byłaby jednak sobą, gdyby nie przystąpiła do realizacji głównego celu. - Powinnam zdjąć z siebie te mokre ciuchy - mruknęła.

- Ostra jesteś. Proponowałbym zamiast tego kieliszek koniaku.

- Masz koniak? Jakim cudem stać cię na koniak? Idiota ze mnie, skarcił się w duchu. Odwrócił się, nie odpowiadając na jej pytanie, i zbiegł pod pokład.

Honey zdała sobie sprawę, że jest autentycznie zdenerwowana. Trzęsa się nie tylko z zimna. Była to dla niej reakcja równie nietypowa, jak dziwne odzywki, które od paru dni wydobywały się z jej ust, i jeszcze dziwniejsza skłonność do płaczu. Max wrócił po chwili, niosąc dwa kieliszki koniaku. Honey wychyliła swój jednym haustem i poczuła rozchodzące się po ciele ciepło.

- Muszę ci o czymś powiedzieć - oznajmiła.

- Dowiem się, kim jesteś?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo nie podoba mi się to, kim jestem.

Ze zrozumieniem pokiwał głową, a jej urosło serce. Max pojął jej wyznanie! Było to coś niezwykłego, dar, jakiego nigdy dotąd od nikogo nie otrzymała.

Powoli odstawiła kieliszek.

- Posłuchaj - zaczęła. - Cała ta gra... to znaczy moja gra z tobą zaczęła się, bo...

- Czy możesz mi najpierw wyjaśnić jej zasady?

- Nie może mieć nic wspólnego z moim prawdziwym życiem - odparła. Uznała, że jest mu to winna.

- Elise, są powody, dla których i tak nie mógłbym wejść w twoje prawdziwe życie.

- To dobrze. Ale nie o to mi teraz chodzi. Chcę ci powiedzieć, że dziś sprowadza mnie do ciebie co innego.

- Nie chcesz seksu? - spytał zawiedziony.

- Oczywiście, że chcę. Ale z innego powodu niż wczoraj.

- Zamieniam się w słuch. Usta jej zadrżały.

- Bo staram się odnaleźć prawdziwą siebie. Stać się kimś, kogo z przyczyn niezależnych ode mnie sama się wyparłam. - Wszystko było teraz jasne i oczywiste. Tak uparcie zwalczała narzucane przez rodzinę przymusy, że przy okazji zagubiła siebie. - A ty możesz mi dać pociechę i radość, których w tej chwili najbardziej potrzebuję.

Twarz Maksa uległa przeobrażeniu. Honey dostrzegła w niej wyraz głębokiego zrozumienia, a zarazem cień smutku. Długo nic nie mówił. W końcu on też odstawił pusty kieliszek.

- Nie masz ochoty pozbyć się mokrego ubrania? - zapytał.

Stało się z nią coś niebywałego. Ogarnęło ją fizyczne podniecenie, które w następnej chwili zmieniło się w szalone pożądanie. Jestem pobudzona, pomyślała. Autentycznie pobudzona!

Max jednak skierował się do dziobówki.

- Dokąd idziesz?

- Przynieść koc.

Zaprzątnięta nowym doznaniem, nie zaprotestowała, ale kiedy wrócił, odezwała się z pretensją:

- To ja odsłaniam przed tobą duszę, a ty przynosisz mi koc?

- Coś mi podpowiada, że obnażając duszę, zechcesz przy okazji odsłonić trochę ciała.

Poczuła kolejny przypływ podniecenia. Kiedy okrywał ją kocem, odchyliła głowę do tyłu, by dotknąć jego ust. Od razu poczuła, że tym razem jej nie odepchnie. Gry się skończyły. Chciał jej tak samo, jak ona jego. Wziął ją w ramiona i obsypał namiętными pocałunkami. Potem oderwał się od jej ust i odgarnawszy koc, sięgnął do stanika.

- Chyba nie muszę pytać, czy mogę - wyszeptał. Honey zadygotała z wrażenia. Głos odmawiał jej posłuszeństwa.

- Tak, to znaczy nie - wymamrotała. Dotyk jego palców przyprawił ją o dziwną słabość. Myślała, że zemdleje. Nie, tylko nie to! Nie teraz!

On tymczasem wziął ją na ręce i przeniósł na wysłane poduszkami legowisko.

- Nie ma tu jedwabnej pościeli ani wygodnego łóżka - mruknął, całując jej piersi.

Było jej wszystko jedno. Słabość ustąpiła miejsca narastającemu podnieceniu. Całowała go nieprzytomnie, a jednocześnie próbowała nieudolnie zerwać z niego ubranie. Max podniósł się na łokciu i posługując się jedną ręką, uwolnił się od spodni. W następnej chwili

rozpiął suwak jej szortów. Potem przycisnął ją swym ciężarem, rozsuwając jej uda.

Poczuła ostry ból. Spodziewała się tego, lecz odruchowo krzyknęła. Max znieruchomiał.

- Nie, nie, nie przestawaj!

- Elise, jak mogłaś...

- Nie! - Instyktownie szarpnęła biodrami, nie pozwalając mu się z nią rozdzielić. Bariera została pokonana. Ból minął, by więcej nie powrócić. To, co nastąpiło potem, przeszło jej najśmielsze oczekiwania.

Max długo się nie odzywał.

- Naprawdę byłaś dziewicą? - spytał w końcu. Powinna była go uprzedzić.

- Muszę wracać - rzekła, próbując wyzwolić się z jego ramion.

- Nigdzie nie pójdziesz - odparł.

Musi uciekać. Nie zniosłaby, gdyby Max zaczął robić jej wyrzuty.

- Chcesz, żeby znaleźli mnie na twoim pokładzie? Ten argument, o dziwo, poskutkował. Max pozwolił jej wstać.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

- Wiem, ale nie teraz. Jesteś na mnie zły.

- Jeszcze jak! Trzeba mi było powiedzieć. Kim ty właściwie jesteś?

- Na pewno nie tą samą osobą, która niedawna do ciebie przyплыnęła.

Chyba jej nie zrozumiał, ale nie odpowiedział. Jest dobrym człowiekiem, już tylko za to mogłaby go polubić, myślała, wkładając szorty i stanik. Ale to nie ma teraz znaczenia. Najważniejsze, że się jej udało. A udało się, bo zrobiła to z dala od rodziny i domu w Georgetown. Miała rację.

Obejrzała się przez ramię. Joe stał w drzwiach kabiny. Chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła i z powrotem wskoczyła do wody.

Scandalous

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Słońce stało wysoko na niebie, kiedy Honey otworzyła rano oczy. Miała ochotę obwieścić całemu światu, że już nie jest dziewicą. Dopiero po chwili jej radość trochę przygasła. Po pierwsze, Joe będzie miał pretensje o to nieszczęsne dziewictwo. A po drugie, z pewnym niezadowoleniem przypomniała sobie, że wczoraj w najgorętszym momencie pomyślała sobie, że na tego mężczyznę czekała przez całe życie. Uznała jednak, że tym nie warto się przejmować; dziewczyna tracąca dziewictwo ma prawo do niezbyt mądrych konstatacji.

Wyskoczyła z łóżka. Najważniejsze, że się udało. A udało się, ponieważ odbyło się to z dala od Georgetown. W końcu chodziło tylko o seks. Nagle się zreflektowała. Czy po to, aby móc się kochać, będzie musiała do końca życia wędrować po odległych zakątkach świata?

- Honor? - usłyszała za drzwiami głos ojca. -Chciałbym zamienić z tobą parę słów. Zaraz podadzą lunch.

Lunch? Przespała całe przedpołudnie?

- Już schodzę.

Ciekawe, o co tym razem papa będzie miał pretensje. O ucieczkę ze ślubu Marcusa, o to, że upiła Jake'a

Ingrama, czy o to, że śpi do południa? Postara się nie spotkać z nim nos w nos. Po co ma sobie psuć dwa ostatnie dni na wyspie? Dwa dni przebywania z Joem i kochania się z nim. O sprowadzeniu go do

Georgetown nie może być mowy. Nie tylko nie pasuje do jej świata, ale sam pobyt w Waszyngtonie wszystko by popsuł.

Tak czy owak, ma jeszcze dwa dni i nie zamierza tego czasu marnować na sprzeczki z ojcem. Kiedy pół godziny później, odświeżona i ubrana, zajrzała do kuchni, natknęła się na Carey, która z dzbankiem do kawy w rękach wyłoniła się tanecznym krokiem z głównej sali.

- Znowu wybierasz się na plażę? - zagadnęła przyjaciółka.

- Aha.

- Jak ci idzie?

- Wyśmienicie.

- To nie będę cię zatrzymywać. Chociaż żałuję, że nie możemy pogadać - dodała, napełniając dzbanek kawą.

Honey poczuła ukłucie w sercu.

- Nie z mojej winy - odparła. - To wy nie chcecie ze mną rozmawiać. Czuję się niepotrzebna.

- Rozumiem, co czujesz, i jest mi naprawdę przykro - odparła Carey. - Niestety, mamy teraz ważne sprawy do omówienia. - I zniknęła.

Honey nastawiła uszu. Naradzają się? Podeszła na palcach do drzwi, potem pchnęła je leciutko i przyłożyła ucho do szpary.

- Co napisał? - To chyba Jake.

- „Jestem w posiadaniu informacji, które mogą pana zainteresować” - usłyszała głos Matta.

- To może być podstęp. Nie wiemy, po której ten Hatch jest stronie. To ja powinienem iść na spotkanie zamiast ciebie. Mnie nie jest tak łatwo obezwładnić. - To mówił Marcus.

- Nie, muszę pójść sam - odparł Matt. - W końcu Hatch zwrócił się do mnie. A nuż ma coś ważnego do powiedzenia. Każda nowa informacja jest dla nas na wagę złota.

- Gdyby Violet żyła, wszystko byłoby inaczej - westchnęła Gretchen. Z tonu jej głosu oraz ciszy, jaka potem zapadła, Honey domyśliła się, że chodzi o ich biologiczną matkę.

- Musimy ułożyć plan działania - odezwał się Jake. - Na razie robię, co mogę, aby odnaleźć Faith i uprzedzić ją o zagrożeniu. Gretchen niedługo skończy rozszyfrowywanie taśm od Henry'ego, z których się dowiemy, co właściwie z nami zrobiono.

- Ale nadal za mało wiemy o planach Koalicji - wtrącił Matt Tynan. - Dlatego muszę iść na to spotkanie. Do mnie bezpośrednio nic nie mają, więc powinienem być bezpieczny.

- Senhora, co pani robi?

Honey odskoczyła od drzwi. Głos Rafaeli musiano usłyszeć w pokoju, bo zapadła tam cisza. W następnej chwili Marcus wkroczył do kuchni. Na widok Honey zaczerwienił się ze złości.

- Podśluchiwałaś?

- Oczywiście - odparła butnie. - A co niby mam robić, skoro nikt nie chce mi powiedzieć, co się tutaj dzieje?

- Ciebie to nie dotyczy.

- Jak to nie? Zacha porwali zamiast Jake'a, Violet zmarła w podejrzanych okolicznościach, a Mattowi tylko się wydaje, że nic mu nie zagraża. Jestem twoją siostrą i mam prawo wiedzieć, czy coś przypadkiem mi nie grozi.

- Nie wykręcaj kota ogonem. Węszysz i podsłuchujesz z czystej ciekawości, żeby potem wypaplać wszystko nie wiadomo komu i po co.

Honey poczuła się dotknięta do głębi serca. Dwie najbliższe osoby - Marcus i Carey - nigdy nie wpadły na to, co tak naprawdę się kryje pod jej wygłupami? Nie wiedzą, że nie jest taka, jaką udaje?

- Skoro nie chcecie mojej pomocy, to pocałujcie się w nos! - oświadczyła, idąc ku drzwiom na dwór.

- Ty miałabyś nam pomóc? Ciekawe jak?

Z trudem się opanowała. Odwróciła się powoli.

- Znam Samuela Hacha.

- Jakim cudem? - zdumiał się Marcus.

- Były agent CIA, którego zmuszono do przejścia na emeryturę? Który nie może się z tym pogodzić i trzyma się kurczowo wspomnień dawnej chwały? O tego Hacha wam chodzi? Tego, który wydzwania do Białego Domu, zameczając każdego, kto okaże bodaj cień zainteresowania jego chlubną przeszłością?

- Do czego zmierzasz?

- Spróbuj pomyśleć. Wiem, że to nie jest twoja mocna strona, ale się postaraj. - Wiedziała, że trafiła w jego czuły punkt i będzie potem

żałować swoich słów, ale na razie musiała mu odpłacić pięknym za nadobne.

Wyszła z podniesioną głową, zatraskując za sobą drzwi. Wzięła skuter i pojechała na południową plażę. Niech ich wszystkich diabli porwą!

Nad brzegiem morza kobiety z obu wiosek oprawiały świeżo złowione ryby. Honey wyruszyła na poszukiwanie Palomy.

- Muszę najpierw odetchnąć świeżym powietrzem - powiedziała półgłosem.

- Odkąd to mówisz do siebie?

Joe! Odwróciła się.

- Czasami lubię porozmawiać z kimś mądrym. -Nie uśmiechnął się. - Wciąż jesteś na mnie zły?

- Płaczesz?

- Wcale nie. - Otarła oczy ręką. - Miałam bardzo nieprzyjemną rozmowę. Jeżeli chcesz się nade mną pastwić, to nie chcę cię widzieć.

- O nie, moja panno! Uganiaasz się za mną po całej Portugalii, a kiedy chcę porozmawiać, odsyłasz mnie do wszystkich diabłów?

- Nie przesadzajmy. Jedna mała wysepka to jeszcze nie cała Portugalia.

Popatrzył jej uważnie w oczy. Kogo w nich zobaczy? Zwariowaną trzpiotkę, która rzuciła się wplaw, żeby zwalić na niego swoje niechciane dziewictwo? Czy może kobietę, która umie go zainteresować i rozbawić? Czekwała z niepokojem na odpowiedź.

Dziwne, jak bardzo pragnęła, by wybrał tę drugą. Łzy napłynęły jej do oczu.

- No, nie trzeba. - Delikatnym ruchem otarł jej policzek. - Nic się nie stało. Nie jestem zły, tylko nie rozumiem. Przejdźmy się - zaproponował.

- Wiem, że postąpiłam nie fair - chlipnęła, całkowicie rozbrojona.

- W końcu nie jest tak, że zostałem obezwładniony i zgwałcony.

- Gdybyś się dłużej opierała, kto wie, czy bym się do tego nie posunęła.

Nareszcie się roześmiał. Minęli tymczasem wioskę i dotarli do dawnego kamieniołomu. Honey usiadła na wystającym głazie.

- Powinam cię uprzedzić - rzekła - ale byłam w sytuacji bez wyjścia. I to z własnej winy. Dopiero teraz zrozumiałam, że nie mam prawa uzalać się nad sobą z powodu mylnego wyobrażenia o sobie, jakie sama stworzyłam.

Max spojrzał na nią zaskoczony. Znowu powiedziała coś, co dokładnie wyrażało jego własną sytuację. On zrobił to samo. Pozwolił, by uznano go za człowieka, który myśli wyłącznie o pomnożeniu majątku, a kiedy chciał od tego uciec, miał pretensje do ludzi, którzy mu w tym przeszkadzali.

- Jesteś niezwykle przenikliwa - rzekł, siadając przy niej.

- Naprawdę tak myślisz? - ucieszyła się.

- Oczywiście. Mówisz rzeczy, które zmuszają człowieka do zastanowienia się nad sobą.

- Opowiem ci bajkę o pewnej księżniczce - odezwała się Honey po namyśle.

- Księżniczce Elise?

- Tak, to jedno z jej imion. Otóż księżniczka mieszkała w pięknym pałacu, miała tatusia i mamusię oraz nianię, którzy tak bardzo ją kochali, że zdmuchiwali najmniejszy pyłek sprzed jej stóp. Ale tatuś był zawsze zajęty ważnymi sprawami, a mamusia mieszkała w wieży z kości słoniowej i nie mogła się zajmować swoją małą córeczką. Księżniczka miała też dwóch wielkich wspaniałych braci.

- Goliatów?

- Jeden z nich faktycznie okazał się Goliatem.

- Też bardzo ją kochali?

- Bardzo - przyznała. - Wszyscy bardzo ją kochali. Chcieli, żeby była szczęśliwa i uprzedzali każde jej życzenie. Jeśli poprosiła o promyk księżycy, przynosili jej tarczę w pełni, jeśli zapragnęła posadzić kwiatek, zakładali dla niej cały ogród, żeby nie musiała brudzić sobie rączek, a kiedy chciała zostać dżokejem, zrobili wszystko, żeby miała do dyspozycji najlepsze wierzchowce. W zamian oczekiwali od niej tylko jednego: aby nic nie robiła i upodobniła się w przyszłości do swojej mamusi.

- I zamieszkała we własnej wieży z kości słoniowej?

- Otóż to. - Na twarzy Honey pojawił się blady uśmiech. - Księżniczka dostawała od tego wariactwa.

- A jak się to objawiało?

- Buntowała się. Robiła, co mogła, żeby życie w pałacu postawić na głowie. Wymyślała różne szaleństwa.

- Jasne. A co na to jej bracia?

- O jednym z nich myślała do niedawna, że ją rozumie. - Z twarzy Honey znikł uśmiech. - Tak długo przyglądał się moim błazeństwom, że wreszcie w nie uwierzył - zakończyła.

Max pogłaskał ją po twarzy.

- Masz rację - powiedział. - Nie można winić innych za nasze, hm... błazeństwa. Ludzie oceniają nas według czynów.

- Wiem. - Podniosła głowę. - Mam już tego dosyć, Joe. Nie chcę być dłużej kapryśną księżniczką. Chcę uciec od obecnego życia. Tak jak ty.

Zaskoczyła go. Ale czy to niemożliwe? Ma chyba dość zarówno pieniędzy, jak i determinacji.

- Czy zamierzasz wrócić kiedyś do dawnego życia? - spytała po chwili.

- Raczej nie.

- Dlaczego?

- Bo pewna mądra kobieta powiedziała mi, że nie trzeba rozczulać się nad sobą tylko dlatego, że ludzie mają o nas mylne wyobrażenie, które na dodatek sami stworzyliśmy.

- Nie trzeba się rozczulać, ale można od tego uciec! - zawołała z ogniem w oczach i chwyciła go za rękę.

- Naprawdę chcę to zrobić. Wyjadę dokądś, gdzie nikt mnie nie zna i gdzie będę mogła być sobą.

- Będą cię ścigać - ostrzegł. - Wynajmą detektywów. Nigdy nie będziesz pewna, czy ktoś cię nie śledzi.

- Hm. To ich uprzedzę. I powiem, żeby zostawili mnie w spokoju.

- Nie zgodzą się.

- Tak było z tobą?

Max wolno skinął głową. Miał potrzebę odpowiedzenia szczerością na szczerość.

- Nie byłem zwykłym cieślą. Firma stale się rozrastała. Oczywiście z moim udziałem, chociaż tak naprawdę wolałbym w dalszym ciągu odnawiać stare domy własnymi rękami.

- Domyślałam się tego. A czy czasami zdarzało się, że nie mogłeś oddychać? - Popatrzyła na niego uważnie. - Widzę po twojej minie, że tak. - Chwyciła go za ramiona. - Wiesz co, Joe? Ucieknijmy razem. Popłynijmy dokądś, gdzie nikt nas nie znajdzie.

Zdał sobie z przerażeniem sprawę, że ma na to ochotę. Czemu nie? Jego finansowe imperium świetnie obywa się bez niego. Ich idylla nie będzie trwała wiecznie, przyjdzie dzień, w którym ktoś zidentyfikuje ją lub jego, lecz bodaj kilka tygodni mogliby spędzić razem pozostając, on - anonimowym Joe, a ona - zbuntowaną księżniczką. Pomysł był zwariowany, ale kuszący.

- Bez żadnych pytań o przeszłość ani obietnic na przyszłość - zastrzegła Honey. O tak, w ten sposób spełnią się jej marzenia.

Pływając „Morską burzą” po świecie, będzie mogła kochać się z nim,

kiedy tylko zapragnie, nie doznając obrzydliwych sensacji, które znów by się odezwały, gdyby spróbowała zabrać Joego do Waszyngtonu.

- Masz źle w głowie - szepnął Joe.

- Wiem.

- Nie masz niedoszłego narzeczonego, który w kolejnym porcie będzie na mnie czyhał z bronią w ręku?

- Księżniczka Elise daje ci słowo.

- Tamten gość nazwał cię inaczej.

- Elise to moje drugie imię.

Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Honey przyłgnęła do niego całym ciałem, objęła go za szyję i zaczęła całować po twarzy.

- Przestań, bo nie mogę myśleć - zaprotestował.

- To nie myśl, zdaj się na instynkt.

- Żeby ucieczka się udała, trzeba mieć plan.

- Więc się zgadzasz? - ucieszyła się. - Naprawdę?

- Ale nie znikaj bez słowa. Uprzedź rodzinę. Nie chcę, żeby ścigał mnie twój bogaty tatuś z myśliwską bronią w ręku.

- Jak go znam, użyłby czegoś groźniejszego.

- Muszą wiedzieć, co zamierzasz zrobić. Aha, i zabierz tylko jedną walizkę.

Honey skrzywiła się.

- Tylko jedną? No dobrze, skoro się upierasz.

- I jeszcze raz dobrze się zastanów.

- Obiecuję - powiedziała dla świętego spokoju, chociaż wiedziała, że jej decyzja jest nieodwołalna.

- Będę czekał na plaży o północy. Jeżeli nie przyjdiesz, zrozumieć, że zmieniłaś zdanie.

- Przyjdę - rzekła z przekonaniem. Czuła niebywałe podniecenie. Z wszystkich ekstrawagancji, jakich się w życiu dopuściła, ta będzie najbardziej szokująca, a zarazem pierwszą, którą popełni dla własnego dobra.

Max pochylił się i całując ją w ramię, zsunął ramiączko plażowego stanika.

- Czy czekają mnie dalsze niespodzianki, jeżeli to zdejmę?

- Ani jedna - szepnęła zduszonym głosem. Pomijając bajeczkę o księżniczce, nic mu o sobie nie powiedziała. Nadal nie wiedział, kim jest ani dlaczego oddała mu swoje dziewictwo. Wiedział tylko, że w jej obecności czuje się wolny i szczęśliwy, myśli swobodnie i lekko mu się oddycha. Jest mu potrzebna. Chyba dlatego przystał tak chętnie na szaleńczy pomysł wspólnej wyprawy w nieznane.

Zaczął ją namiętnie całować. Resztki tkwiących w nim wątpliwości rozwiały się, gdy sama zerwała z siebie stanik i przytuliła się do niego, odrzucając w tył głowę.

Drżała z zachwytu, czując, jak Max pieści i całuje jej szyję. Wszystkie jej dawne podboje były żalnymi pomyłkami. Dopiero teraz osiągnęła cel swoich pragnień. Przez całe życie czekałam na niego. Wyprostowała się i uklękła, przewracając Maksa na plecy. Teraz przyszła kolej na nią. Na spełnienie jej najskrytszych

erotycznych fantazji. Czowała się wolna, pełna nieznanej dotąd chęci życia.

I właśnie wtedy męski głos zawołał ją po imieniu.

Wyrwała się z objęć Joego. Wstając z ziemi, przypomniała sobie o staniku i zasłoniła się nim. Dopiero wtedy rozejrzała się po plaży. Tym razem to Marcus przyszedł jej szukać. Biedna Honey trzęsła się z bezsilnej złości.

Zaś Marcus w osłupieniu spoglądał to na siostrę, to na Joego. Na jego twarzy malowało się zażenowanie.

- Co ty wyprawiasz? To już przechodzi wszelkie granice.

- O co ci chodzi?

- Na litość boską! Przecież widziałem, co się tutaj działo! I to w biały dzień.

- Niesłychane. - Głos Honey drżał z gniewu. - Pierwszy raz widzisz coś podobnego. W dodatku bez ślubu! - zadrwiła.

- Nie wykręcaj kota ogonem.

- Ja wykręcam kota ogonem? - Dysząc ze złości, podeszła do brata. - Chcesz mi powiedzieć, że do wczoraj, do złożenia tej waszej przysięgi małżeńskiej, z nikim nie spałeś?

- To zupełnie inna sprawa.

- Inna sprawa? Czyli uważasz, że mnie obowiązują inne zasady niż ciebie? Niby dlaczego?

- Bo jesteś dziewczyną.

- No to posłuchaj. Od dwóch lat jestem pełnoletnia i dysponuję własnymi pieniędzmi. Jestem dorosła i samodzielna. Nie muszę nikogo pytać, co mi wolno, a czego nie.

Marcus otworzył usta.

- Szukałem cię, bo chciałem cię przeprosić - odezwał się po chwili całkiem innym tonem.

Honey prawie się wzruszyła, za dobrze jednak знаła swoją rodzinę.

- I po co jeszcze?

- Papa czeka na ciebie. Miałaś z nim porozmawiać.

- Rozmyślałam się. Czy przeprosiny oznaczają, że zaczniesz ze mną rozmawiać o tym, co się w domu dzieje?

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

Zamiast znowu wpaść w złość, Honey tylko się uśmiechnęła. Ich sprawy przestały ją obchodzić. O północy odpłynęła w stronę dal.

Okrążywszy brata szerokim łukiem, poszła przez plażę w kierunku zatoki. Marcus zrobił krok, chcąc podążyć za siostrą, ale jego wzrok padł na jej partnera, który starał się odejść, nie zwracając na siebie uwagi.

- Niech się panu nie zdaje, że ona jest taka, na jaką wygląda. To tylko pozory - oświadczył zirytowanym tonem.

- Cieszę się, że pan to zauważył. Marcus nie wierzył własnym uszom.

- Że co? Nic nie rozumiesz, przyjacielu. Jest pan tylko częścią jej planu. Środkiem do celu. Wyprawia te wszystkie brewerie sama nie

wie po co. Chyba tylko po to, żeby zabawić się cudzym kosztem. To wszystko gierki.

Nieznajomy wyglądał tak, jakby dostał obuchem w głowę. To jego sprawa, uznał Marcus. Musi dogonić siostrę. W jej zachowaniu w ciągu ostatnich dni coś mu się nie podobało. Zaczynał się o nią bać.

Scandalous

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W drodze powrotnej do domu Honey powoli się uspokajała. Miejsce frustracji z powodu przerwanej sceny na plaży i złości na Marcusa zajęła jedna kojąca myśl: Koniec z tym wszystkim, niedługo będę wolna.

Zrobiła wiele, żeby pogmatwać sobie życie, ale teraz wszystko się zmieni.

Wchodząc do kuchni, wpadła wprost w objęcia Rafaeli.

- Senhora wróciła! - zawołała na jej widok poczciwa służąca. - Zaraz odgrzeję lunch.

- Nie trzeba. Nie jestem głodna. - Już miała zniknąć za drzwiami prowadzącymi na schody, kiedy z salonu wyszedł jej ojciec.

- Gdzie się, u pioruna, podziewałaś? - zapytał głosem sierżanta odbywającego musztrę.

- Byłam na spacerze.

Powiedziała to naturalnym, pozbawionym emocji tonem - ani obrażonym, ani zaczepnym. Ojciec zdziwił się, a jego gniew jakby wyparował. Czemu wcześniej nie przyszło mi do głowy, pomyślała Honey, że można spokojnie dochodzić swoich racji, zamiast wyprawiać dzikie harce?

Ojciec tymczasem odzyskał głos.

- Oboje z mamą jesteście zdania, że powinnaś polecieć razem z nami jutro z samego rana - oświadczył.

- A po powrocie spędzić trochę czasu w Conover Pointe.

Co oni znowu knują?

- Przecież nie mogę z dnia na dzień rzucić pracy - odparła, wiedząc, że to właśnie zamierza zrobić.

- Załatwię, żeby cię zwolnili.

- O nie! Nie życzę sobie więcej żadnego załatwiania.

- Zresztą nieważne. Chodzi o to, że niepokoi nas twoje zachowanie.

No tak. Czeka ją kolejna „zasadnicza rozmowa”. Zauważyła, że ojciec rzucił w kierunku Rafaeli niespokojne Spojrzenie.

- Porozmawiamy gdzie indziej? - spytała. Ojciec z wyraźną ulgą skinął głową.

Przeszli do salonu, który pierwszy raz od przyjazdu Honey na Brunhię był pusty. Honey podeszła do barku i wyjęła z lodówki puszkę soku.

- Pomogę ci zacząć - odezwała się. - Dowiedziałeś się od Marcusa, że postanowiłam znaleźć sobie na wyspie kochanka?

Ojciec poczerwieniał na twarzy.

- Ujął to nieco inaczej, ale...

- Ale kazałeś mnie śledzić. Nasyłaś braci, żeby za mną łazili, i wtrącali się w nie swoje sprawy.

- Jesteś moją córką, kochanie.

To ją wzruszyło.

- Wiem, tato. Za dużo gadam.

- Od lat ci to mówię. - Ojciec był prawie udobruchany. - Mama uważa, że takim postępowaniem zniszczysz sobie życie.

- Nie, tato, to tylko instynkt samozachowawczy -odparła, podchodząc do ojca, by pocałować go w policzek. - Nie bój się o mnie. Nikogo nie skrzywdzę, a już na pewno nie siebie. Ale jeszcze nie czas, żebym wracała do domu.

Była zdziwiona łatwością, z jaką zdobyła się na wypowiedzenie tego, co myślała. Wyszedłszy z pokoju, kuchennymi schodami udała się na górę do swego pokoju.

Czuła, że godziny, jakie pozostały do północy, będą się wlokły w nieskończoność. Zrobi z nich dobry użytek, jeśli po raz pierwszy od przyjazdu na wyspę zje kolację razem z wszystkimi. Będzie to rodzaj pożegnania - w każdym razie z jej strony. Postanowiła także zostawić rodzinie list wyjaśniający, dlaczego musi ich opuścić, i grożący poważnymi, konsekwencjami, gdyby próbowali jej szukać. Uznała też, że musi napisać osobny, pojedynczy liścik do Carey.

Najpierw jednak trzeba podjąć niełatwy trud spakowania się do jednej walizki. Zaczęła odkładać rzeczy absolutnie niezbędne na jeden stos, a zbyteczne na drugi. Niestety pierwszy okazał się znacznie większy od drugiego.

Chyba nie wyrzuci mnie za burtę, jeżeli zjawię się z dwoma walizkami? Ale może wyrzucić jedną z walizek, odpowiedziała sobie w duchu, a na jej twarzy pojawił się uśmiech rozbawienia. Może dlatego tak bardzo mi się podoba. Bo mi nie nadskakuje. Traktuje mnie serio. Jest taki...

Usiadła na łóżku, przestraszona własnymi myślami. Przecież chyba się nie zakochałam? Nie może się w nim zakochać. Prędzej czy

później będzie musiała podjąć własne życie, w którym nie ma dla niego miejsca. Ale czy na pewno?

- Na pewno - odpowiedziała na głos. - Nie mogę kochać człowieka, którego nie mogę zabrać do Waszyngtonu. Ale mogłabym go kochać, żeglując z nim. po świecie.

- Masz źle w głowie.

Czyżby? Aby się nad tym dłużej nie zastanawiać, wróciła do pakowania. Włożyła rzeczy absolutnie niezbędne do jednej walizki, a te, bez których ostatecznie może się obyć, do drugiej. W najgorszym razie zrezygnuje z drugiej. W ostatniej chwili do rzeczy niezbędnych dorzuciła swoje najbardziej wystrzałowe sandały.

To z kolei przywiodło jej na myśl kwestię finansowania wspólnej wyprawy. Miała karty kredytowe i książeczkę czekową, które rzecz jasna włożyła do pierwszej walizki. Pamiętając jednak, jak się Joe zachowywał w restauracji w Portimao, doszła do wniosku, że przy regulowaniu rachunków będzie musiała zachowywać daleko idącą dyskrecję.

Kiedy w pół godziny później rozejrzała się wokół siebie, wszystkie rzeczy były spakowane, a w pokoju panował idealny porządek. Pomyślała jeszcze, że przed i odpłynięciem byłoby fajnie pobaraskować z Joem na pokładzie albo w kajucie, po czym zbiegła na dół i przyłączyła się do zgromadzonego w salonie towarzystwa.

Brakowało paru osób. Jake i Tara zdążyli już wyjechać. Wraz z nimi znikła dwójka ochroniarzy. Jimmy Robinson, z którym Honey

nie miała okazji wcześniej się przywitać, wziął ją serdecznie w ramiona.

- Jak się ma moja utrapiona sympatia? - spytał.

- Utrapiona jak zawsze - odparła z wesołym uśmiechem, ale w tej samej chwili dostrzegła zakłopotane spojrzenie Marcusa, więc wyzwoliła się z objęć Jimmy'ego i podeszła do brata, by się z nim pojednać.

Bez słowa objęła go i ucałowała w policzek.

- Czy to pocałunek śmierci? - zażartował Marcus.

- Nie, ten zachowuję na następny raz, jeżeli znowu wejdiesz mi w drogę. - Nadal trzymała go w objęciach. - Zawsze myślałam, że ty jeden wiesz, kim naprawdę jestem. Nie psuj tego.

- Nigdy dotąd nie zniżalaś się do podsłuchiwania.

- Może powinieneś wiedzieć, że słyszałam wszystko, co robiłeś w swoim pokoju z Mary Beth, kiedy miałaś siedemnaście lat.

Marcus parsknął śmiechem.

- Też coś! I tak nic z tego nie wyszło.

- Ale bardzo się starałeś. Więc na przyszłość nie udawaj świętoszka.

- Och, odczep się!

- Nie lubimy przyznawać się do winy?

- No dobrze, przepraszam - odparł ze skruszoną miną.

- Dziękuję. W takim razie coś ci powiem. - Nachyliła mu się do ucha. - To nie jest zwykła przygoda, Marcus. Przy nim czuję się sobą. Nie muszę udawać. Nie martw się o mnie.

Kwadrans później towarzystwo zasiadło do stołu. Kolacja upłynęła spokojnie, w pełnej harmonii. Wobec obecności Honey, jej rodziców i Jimmy'ego o Koalicji nikt, rzecz jasna, nawet nie wspomniał.

Po kolacji Honey wymknęła się na górę, nie czekając na kawę. Czas do zapadnięcia zmroku zajęło jej pisanie listów i układanie planu ewakuacji. Zbadła też stan swojego konta, zastanawiając się, na jak długo wystarczy jej pieniędzy. W pierwszym porcie, do jakiego zawiną, musi się skontaktować ze swoim księgowym i zlecić mu przelanie na jej konto większej sumy z funduszu powierniczego. Ponadto do listu do Carey dołączyła wypowiedzenie z pracy w Białym Domu, prosząc przyjaciółkę, by przekazała je w odpowiednie ręce.

O dziewiątej wieczorem na dworze było już ciemno. Chwyciwszy oba bagaże, Honey cicho wyszła na schody. Po co czekać do północy? W jakiś sposób da Joemu znać, że już jest, i wcześniej odpłyną. Pragnęła jak najszybciej wyrwać się na swobodę. Cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną.

Przy kuchni zajrzała ostrożnie do środka przez uchylone drzwi, a upewniwszy się, że kuchnia jest pusta, wniosła i odstawiła obie walizki. Przydałby się szampan dla uczczenia uroczystej chwili, pomyślała, zaglądając do lodówki i już po chwili, z butelką pod pachą oraz dwoma walizkami w rękach, śpieszyła przez ogród w kierunku drogi.

Skuterem nie mogła jechać, bo nie mogłaby odstawić go do garażu. Oddaliwszy się na bezpieczną odległość, dla wygody włożyła

butelkę do pierwszej walizki. Wędrówka na plażę zajęła jej trzydzieści pięć minut. Rzuciwszy walizki, odetchnęła pełną piersią. Jest wolna.

Popatrzyła na morze. „Morska burza” znikła.

Odplynął? Marszcząc czoło i rozglądając się na wszystkie strony, podeszła na skraj wody. Jachtu nie było. Nagle uderzyła się w czoło.

- Ty przekłety uparciuchu! - mruknęła pod nosem. Joe popłynął do Portimao, by zaopatrzyć jacht na drogę. Domyślił się, że będzie chciała sama za wszystko płacić, i postanowił jej w tym przeszkodzić. Na przyszłość musi okazać więcej sprytu. Rozpogodzona, wróciła do walizek, usiadła na piasku i czekała. W obu wioskach panowała cisza. Mężczyźni wypłynęli już na połów, a kobiety i dzieci odpoczywały po pracowitym dniu. Być może i ona wkrótce się przekona, jak to jest, kiedy człowiek pada wieczorem na łóżko wyczerpany do cna, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Od czasu do czasu popatrywała na morze. Było zbyt ciemno, by sprawdzić położenie wskazówek zegarka, ale od jej przyjscia mogła upłynąć nawet godzina. Co będzie, jeżeli w domu odkryją jej zniknięcie i zaczną jej szukać? Na wszelki wypadek zebrała bagaże i ukryła się za kępą drzew.

Czas włókł się niemiłosiernie. Honey chwilami zapadała w drzemkę. Ile czasu można płynąć do Portimao i z powrotem? Musi sprawdzić, która godzina. Na skraju plaży tliło się niedopalone ognisko. Podeszła do niego i w świetle ognia spojrziała na zegarek.

Minęła północ! Poderwała się na nogi i rozejrzała po ciemnym morzu. Ani śladu „Morskiej burzy”.

Czy coś stało? Może Joe miał awarię? Dopłynął do stałego lądu, a teraz nie może wrócić? Na myśl, że byłaby zmuszona wrócić do domu Kurta, nogi się pod nią ugięły. Kiedy ponownie spojrzała na zegarek, zbliżała się druga.

Niedobrze. Z najgorszymi przeczuciami powlokła się do swojej kryjówki. Silnik się zepsuł, a o tej porze wszystkie warsztaty są zamknięte. Ale on przecież sam potrafi naprawić silnik. Bardzo niedobrze. Wzięła walizki i zaniósła je na brzeg morza. Chciała być blisko, kiedy Joe wreszcie przyplynie. Dla zabicia czasu wyciągnęła butelkę szampana. Mieli nią uczcić swój odjazd, a teraz co?

Czuła narastający niepokój, który stopniowo przeradzał się w rozpacz. Odkręciła drucik i z butelki wyskoczył korek. Wypiła duży haust szampana. Joe odpłynął bez niej...

Niedowierzanie przybiera dziwne formy, pomyślała, racząc się szampanem. Najpierw objawiło się niespokojnym swędzeniem pod skórą. Potem skóra jakby straciła czucie. Honey miała wrażenie, że jej ciało zamiera, martwieje, robi się zimne.

Chłód dotarł do serca. Joe odpłynął bez niej. Jemu też nie była potrzebna. Tracąc go, straciła jedyną szansę. na to, by stać się sobą. i

Piekły ją oczy. Na pociechę wypiła następny łyk szampana. Honey nie płacze. Dlaczego ją zostawił? Bo nie wystarczy być zabawną i dowcipną. Jeśli się jest zabawną i dowcipną, ludzie nie traktują cię serio. Nikt się nie zastanawia, jaki masz charakter. A

przecież nie tylko Carey ma charakter, ona też nie jest go pozbawiona. W razie czego potrafi się postawić, nawet jeżeli do tej pory nigdy tego nie robiła.

Wypiła resztkę szampana, opadła na piasek i zasnęła.

Poczuła czyjąś rękę na ramieniu i otworzyła oczy. Słońce świeciło jej prosto w twarz. Spod przymrużonych powiek zobaczyła nachylającą się nad nią Palomę. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że nadal trzyma w ręku butelkę po szampanie.

- Senhora, co się stało?

Honey usiadła. Odrzuciwszy butelkę, przeczesła włosy ręką.

- Que hore e'ele?

Honey spojrzała na zegarek. Było wpół do dwunastej.

Popatrzyła na puste morze. Z domu też nikt nie przyszedł jej szukać. Znowu rozczuliła się nad sobą.

- Cholera, zostawił mnie na lodzie. Wszyscy zostawili mnie na lodzie - mruknęła i zaśmiała się z goryczą.

- Senhor marynarz odpłynął - domyśliła się Paloma - i dlatego ci smutno?

- Nie wiesz, kiedy odpłynął?

- Przed wypłynięciem rybaków na połów.

Rybacy wypływali tuż przed zapadnięciem zmroku. Więc uciekł tak wcześnie? Usiłując odtworzyć w pamięci wczorajsze wydarzenia, doznała nagłego olśnienia. Marcus! Musiał mu coś powiedzieć. Czy zaczął rzucać skałami, żeby pokazać Joemu, co z nim zrobi, jeżeli nie

zostawi jego małej siostrzyczki w spokoju? Wybuchła niemal histerycznym śmiechem.

- Senhora, co ci jest? - zaniepokoiła się Paloma.

- Nic mi nie jest. - Śmiech uwiązał Honey w gardle. - Jestem okropnie nieszczęśliwa.

Powinnam być wściekła na Marcusa, powiedziała sobie. Muszę być na niego wściekła, bo inaczej zwariuję. Ale nie czuła złości, tylko wielki żal. Gdyż zdała sobie sprawę, że gdyby Joe naprawdę ją znał, żadne słowa ani groźby Marcusa nie miałyby znaczenia.

- Kochałam go - powiedziała na głos.

- Wiem, widziałam - przytaknęła Paloma.

- Jesteś mądra.

- On też cię kocha.

- Gdyby tak było, to by mnie nie zostawił. Mieliśmy razem uciec od ludzi.

- Uciec? Dlaczego?

- Żeby gdzie indziej szukać lepszego życia.

- To u was tak można? - zdziwiła się młoda Por-tugalka.

- Myślałam, że tak. - Honey podniosła się na nogi. - A tymczasem muszę wracać do domu.

- I co będzie? To znaczy z senhorem marynarzem? Honey chwilę się zastanawiała.

- Nie jest mi już potrzebny. Joe... Joe... - Urwała.

Nie wiedziała nawet, jak się nazywa. Czy można kochać człowieka, o którym nic się nie wie?

- Jaki Joe? - zdziwiła się Paloma.

- Senhor marynarz.

- Ale on nie ma na imię Joe. Honey zmarszczyła brwi.

- Jak to nie?

- No nie. Senhor marynarz ma na imię Max.

- Max? - Honey popatrzyła na Palomę i wybuchła głośnym śmiechem. To już szczyt wszystkiego! Nie powiedział jej nawet, jak ma naprawdę na imię.

Co prawda ona też nie powiedziała mu, jak się nazywa. Byli sobie warci.

- Zresztą wszystko jedno - rzekła. - Bez względu na to, kim jest, poradzę sobie. - A kiedyś, po latach, może nawet zdołam o nim zapomnieć, dodała w duchu. - Dziękuję ci.

- Za co?

- Za to, że chciałaś mnie wysłuchać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przed domem krzątała się pierwsza grupa odjeżdżających - rodzice, Drew i Jimmy Robinson. Honey zatrzymała się na końcu drogi, próbując wymyślić ostrą odzywkę pozwalającą odeprzeć pytania o to, dlaczego o tak dziwnej porze wraca z plaży, taszcząc dwie walizy.

Nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Czuła się wydrażona, pusta w środku. Wiedziała, że stan znieczulenia wkrótce minie, ustępując miejsca cierpieniu, lecz na razie był nawet wygodny. Rodzina tymczasem usadowiła się na wozie, Ricardo zwolnił lejce i pojazd ruszył.

Honey ukryła się za drzewami.

- To już zaczyna być nudne - mruknęła pod nosem.

Obserwowała z ukrycia nadjeżdżający wolno wóz. Matka siedziała z zaciśniętymi ustami, starając się nie okazać szarpiących ją emocji, ojciec był blady i zdenerwowany, a Drew miał ponurą minę. Nie mogła dosłyszeć, o czym rozmawiają, ale po twarzy Jimmy'ego, który najwyraźniej przez grzeczność udawał, że nic nie słyszy, poznała, że musieli znaleźć jej list i o nim mówią.

Teraz więc musi wyjaśnić swoje pojawienie się w domu, kiedy wszyscy myślą, że przed paroma godzinami odpłynęła z tajemniczym żeglarzem. Zaczęła się zastanawiać, czy nie udałoby się dotrzeć do Lizbony, nie wracając do domu. Było to jednak niemożliwe. Szukając Amanda, nieuchronnie natknie się na kogoś ze znajomych.

Podniosła walizy i ruszyła przed siebie. Uznawszy, że najlepiej będzie odważnie stawić czoło sytuacji, weszła do domu frontowymi drzwiami, zostawiła walizki w holu, po czym skierowała się do wielkiej sali.

Przy jednym ze stolików siedzieli Carey, Marcus i Matt, a także Ethan i Kelly Williams. Carey krzyknęła na jej widok i zerwała się z kanapy.

- Tylko nie rzucaj mi się na szyję - ostrzegła ją Honey. - Nie teraz.

Carey zatrzymała się w pół drogi.

- Dlaczego?

Bo jeśli okażesz mi serdeczność, to się rozbeczę.

- Co to za idiotyczne... - zaczął Marcus.

- Zamknij się! - ostro przerwała mu Honey. Z atakami potrafiła sobie radzić.

Marcus podrapał się po policzku.

- Zabij mnie, jeśli coś z tego rozumiem. Najpierw tarzasz się po plaży z jakimś obcym facetem, potem piszesz zwariowany pożegnalny list, a na koniec wracasz z walizami. Czego się po mnie spodziewasz?

- Odrobiny intuicji. - Brat zamilkł skonsternowany. Honey popatrzyła na resztę towarzystwa. - Nie doceniacie mnie. Wszyscy mnie nie doceniacie. Głównie z mojej winy. Nie dałam powodu, żeby okazywać mi szacunek.

- Drew jest takim ideałem, że trudno mu dorównać - pojednawczym tonem zauważył Marcus. - Nie przejmuj się tym.

- Z twoimi genetycznymi talentami też nie mogę rywalizować.

Brat obdarzył ją bladym uśmiechem.

- Więc możliwe, że nigdy nie zbliżę się do doskonałości. O jednym wszakże mogę was zapewnić. Od tej pory, jeżeli do czegoś się zabiorę, to wyłącznie dla własnej satysfakcji.

- Nigdy inaczej nie robiłaś - wtrącił Marcus.

- Nieprawda - odparła urażona. - Wszystko robiłam wyłącznie dla efektu. Nawet kiedy będąc w szkole upiłam się razem z kolegami, zrobiłam to przez lojalność wobec nich. Bo uznałam, że jeśli się nie wyłamie, to rodzice łatwiej nam wybaczą.

Marcus wyraźnie nie podążał za logiką jej wyводу.

- Kiedy wyjeżdżacie? - spytała, zwracając się do Carey.

- Amando wróci po nas, jak tylko odwiezie twoich rodziców do Portimao.

- Więc zabiorę się z wami - oświadczyła. Jej samolot odlatywał dopiero nazajutrz, ale może przenocować w Lizbonie.

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Carey zrobiła ruch, jakby chciała ją zatrzymać, a Marcus otworzył usta, jakby miał coś powiedzieć, ale oboje na szczęście zmienili zamiar.

Pozbierawszy walizki, Honey poszła na górę, żeby się przepakować. Na dzień w Lizbonie potrzebowała całkiem innych rzeczy niż na rejs w nieznane. Jej serce zaczynało wyprawiać dzikie harce. Wiele by teraz dała za stare, pocziwe ra-ta-ta.

Właśnie kończyła pakowanie, kiedy ktoś zapukał do drzwi. To na pewno Carey. Wzięła głęboki oddech i podeszła do drzwi. W

pierwszej chwili zamurowało ją. Na schodach tłoczyła się cała delegacja - Carey i Matt, Marcus z Samantha, a oprócz nich Kurt z Gretchen.

- Proszę, wejdźcie - rzekła po sekundzie wahania, cofając się od drzwi. - Przepraszam, że nie mam was gdzie posadzić.

Marcus rozejrzył się po wnętrzu. Pokój był teraz zupełnie pusty. Gretchen zrobiła parę kroków, nim zdecydowała się usiąść na podłodze.

- Marcus mówi, że znasz Samuela Hatcha - rzekła. Honey ze zdumieniem uniosła brwi.

- Brakuje wam tematów? Myślałam, że macie większe kłopoty na głowie niż omawianie moich podejrzanych koneksji.

Marcusowi drgnęły policzki. Kurt zakrztusił się od tłumionego śmiechu. Szkoda, że nie poznałam ich w innych okolicznościach, pomyślała Honey. Moglibyśmy się polubić.

- Dowiedzieliśmy się, że Hatch lubi z tobą rozmawiać - wtrącił Marcus.

- Rzeczywiście, regularnie ze sobą rozmawiamy. We wtorki i czwartki około południa. Od pół roku. Cięży mu bezczynność na emeryturze.

- Czy on wie, jak się nazywasz?

- Zna mnie jako Numer Dwunasty. W centrali telefonicznej Białego Domu każdy ma swój numer - odparła Honey.

- Czy to znaczy, że Hatch nie wie, kim jesteś? - spytała Gretchen.

- Trudno powiedzieć. Na pewno ma wystarczające kontakty, żeby to sprawdzić. Ale chyba nie wie.

- Dzwoniąc, liczy na to, że akurat ty odbierzesz?

- Nie, niezależnie od tego, kto odbierze telefon, prosi o połączenie ze mną. Powiecie mi wreszcie, o co chodzi?

- Carey twierdzi, że umiałabyś go wybadać - wyjaśnił Marcus. - Nie muszę mówić, na jaki temat, bo podsłuchałaś naszą rozmowę.

- Oczywiście - odparła z tupetem, żeby nie ulec rozczuleniu i nie rzucić się pocziwej Carey na szyję. - Mam się dowiedzieć, co wie o Koalicji i co chce powiedzieć Mattowi?

- Nie, nie możesz pytać go wprost. Jest zbyt ostrożny, trzyma karty przy sobie. Jeśli coś powie, to Mattowi.

- Więc na czym ma polegać moja misja? Jeżeli się jej podejmę.

- Żebyś spróbowała go wybadać, po czyjej jest stronie - odrzekła Carey.

- Myślisz, że potrafisz to zrobić? Wybadać go ogólnie, czy trzyma z Koalicją, czy z nami? - dorzucił Marcus.

- Pewnie, że tak.

- Nie mam ochoty iść na spotkanie, nie wiedząc, czy nie urządzi mi na przykład prania mózgu - dodał Mart.

Przypomniała sobie, co Jake jej mówił o wymazywaniu z pamięci wieloletnich okresów życia.

- Chcesz, żebym pewnego czwartkowego ranka zadała mu ni stąd, ni zowąd pytanie w rodzaju: „A między nami mówiąc, przyznaj się, czy nie nosisz w rękawie fiolki z wymazywaczem pamięci”?

- No tak! - mruknął Marcus zniechęcony. - Sami widzicie, że to beznadziejne.

Nagle Carey zrobiła coś, czego nikt by się po niej nie spodziewał. Zmierzyła Marcusa groźnym spojrzeniem i z całej siły trzepnęła go w ramię. Wyglądała jak Dawid rzucający się na Goliata. Marcus otworzył usta, a z jego gardła dobył się ni to śmiech, ni to okrzyk zdziwienia.

- O co ci chodzi?

- Mówisz o swojej siostrze.

- Dlatego mam wątpliwości. Znam ją dłużej niż ty.

- Może kiedyś ją znałeś. Ale nie teraz.

W pokoju zapadła cisza. Dalej, kochanie, pomyślała Honey, choć wcale nie była pewna, co Carey zamierza powiedzieć.

- Honey poradzi sobie z Hatchem. Umie po mistrzowsku nie zdradzać się z tym, co naprawdę w niej siedzi - rzekła z namysłem Carey. - Będzie go zagadywać, rozśmieszać, zbijać z tropu i zadawać podchwytliwe pytania tak długo, aż w końcu z czymś się wygada. A my dowiemy się, czy Matt może się z nim bezpiecznie spotkać.

- Jak myślisz, Honey - podjął Matt, nim Marcus zdążył wtrącić swoje obiekcje - czy Hatch dałby się namówić na spotkanie z tobą w mieście? Rozmawiając przez telefon, na pewno będzie się mieć na baczności.

- Myślę, że tak.

- Skoro nie wie, jak się nazywasz i nie będzie cię podejrzewał o związki z naszą sprawą, to powinnaś być bezpieczna - ciągnął Matt. -

Ale- na wszelki wypadek zapewnię ci ochronę. Dlatego spotkanie powinno się odbyć w miejscu publicznym.

Honey zastanowiła się.

- Mogę zacząć od tego, że prawie cię nie znam, a ponieważ zaręczyłeś się z moją przyjaciółką, chciałabym wiedzieć, czy jesteś jej wart. A zwracam się do niego, ponieważ zna cały Waszyngton jak własną kieszeń, a to na pewno mu się spodoba i skłoni do wylewności.

- Hatch już wielokrotnie odbywał z Honey podobne rozmowy i wie, jaka jest wścibska, więc się nie zdziwi - dodała Carey.

- O tak, dobrze wiem, że potrafi skłonić kamień do mówienia - westchnął Marcus.

- Powiedział, co wiedział - zaśmiała się Honey. -Czyżbyś chciał w ten mało subtelny sposób zawrzeć ze mną pokój?

- Może, może.

- To musisz się bardziej postarać.

- Więc ustalone - podsumowała rozmowę Gretchen, podnosząc się z podłogi.

- Daj mi tylko znać, jak umówisz się z Hatchem, żebyśmy zdążyli załatwić ci ochronę - przypomniał Matt.

Wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia.

- Zostań chwilę - poprosiła Honey, kładąc Carey rękę na ramieniu.

Carey popatrzyła niepewnie na odchodzących.

- Zapewniam, że nie mam zamiaru wypytywać cię o wczorajszy wieczór - zastrzegła się.

- Wiem, nie musisz nic mówić. Będziesz jak zwykle spokojnie czekać, aż sama wszystko ci wygadam. - Honey próbowała się uśmiechnąć, ale nie było to łatwe. Teraz, gdy zostały same, zrobiło się jej rozpaczliwie smutno. - Ale na razie nie chcę o tym mówić. Może za jakiś czas, kiedy przestanie tak boleć. Jestem ci to winna.

- Zawsze jesteś mi coś winna. Ciągłe pożyczasz po pięć albo dziesięć dolarów, bo nie masz przy sobie pieniędzy. Ale wiemy obie, że masz u mnie niewyczerpany kredyt - zażartowała Carey.

To nie będzie łatwe, pomyślała Honey. Tego, co chce jej powiedzieć, Carey na pewno się nie spodziewa.

- Zrobiłam ci świństwo - wyznała.

- Jakie? - zdziwiła się przyjaciółka.

- Nie zrobiłam tego celowo. Po prostu nie pomyślałam.

- O czym ty mówisz?

Honey zebrała włosy i zaczęła je zwijać na tyle głowy.

- Zawsze to robisz, kiedy jesteś zdenerwowana - zauważyła Carey.

- Niech ci będzie, jestem zdenerwowana. - Wiele by dała, by zdusić w sobie zupełnie u niej nowe, dziwaczne odruchy w rodzaju chęci przyznawania się do winy albo skłonności do rozczulania się nad sobą. Byłoby o tyle łatwiej, gdyby potrafiła, tak jak dawniej, atakować zamiast się bronić.

Teraz jednak nie potrafiła się na to zdobyć. Zwłaszcza mając świeżo w pamięci słowa, jakimi Carey położyła kres złośliwym przycinkom Marcusa. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że narasta w

niej jakaś zupełnie nowa siła. I całkiem nowa świadomość, która zrodziła się wtedy na plaży. Świadomość, że bez względu na koszty, musi wszystko rozpocząć od nowa.

- Poszłam do seksuologa, podając się za ciebie.

- Że co?

- Chyba słyszałaś.

- Ale nie rozumiem. Po co ci seksuolog?

- Wolałabym o tym nie mówić.

- Ty potrzebujesz seksuologa? Chyba żartujesz? Honey znowu zabrała się nerwowo do zwijania włosów.

- Na litość...

- Nie wierzę własnym uszom - upierała się Carey.

- Jeszcze trudniej będzie ci uwierzyć, kiedy ci powiem, że recepcjonistka, której podałam twoje nazwisko, wygadała się przed jakimś pismakiem i teraz pół Waszyngtonu myśli, że to ty dostajesz co chwila bum-bumów i ra-ta-tów.

- Jakich bum-bumów i ra-ta-tów?

- Czy możemy nie przedłużyć tej rozmowy?

- No... pewnie.

- Chciałam się tylko wypowiadać. Miałam wobec ciebie nieczyste sumienie.

- Już dobrze. Otrzymałaś rozgrzeszenie.

- Dzięki - westchnęła Honey. - A teraz muszę się spakować.

- Przecież jesteś już spakowana.

- Więc ty idź się spakować.

- Dobrze, już mnie nie ma. - Carey zatrzymała się na chwilę. - A co do Hacha, to bardzo cię proszę, upewnij się, czy nie ma wobec Matta złych zamiarów. Pamiętaj, że los mojego ukochanego jest w twoich rękach.

- Nie bój się, będę pamiętała.

Po wyjściu Carey, Honey opadła na łóżko, jakby nagle straciła resztkę sił. Potem ukryła twarz w poduszce i wybuchła rozpaczliwym płaczem.

Mało brakowało, a miałyby go w ręku. Prawie jej uwierzył. Tak Max tłumaczył sobie, dlaczego musiał się upić. Był wściekły. Jesteś skończonym bałwanem, powiedział do siebie, spoglądając w głąb nie dopitej szklanki. W ciasnym barze na Krecie panowała ciemność, a w powietrzu unosił się zapach spalonego tłuszczu. Migocząca nad barem słaba żarówka przypominała zdychającą ćmę.

Obrazek dobrze oddawał jego samopoczucie. Miał wszystkiego dosyć. Nie tylko stracił swoją wyspę oraz dziewczynę, której nie potrafił rozszyfrować, ale i wiarę w swe nowe wcielenie, które zrodziło się pod jej wpływem. Znikł też ostatni pretekst do uciekania przed cywilizacją, która wkrótce i tak go dopadnie, choć może nie w tym obskurnym barze, w którym nikomu nie przyjdzie na myśl szukać Maksa Stronga. A wszystko z powodu dziewczyny, z którą raz się przespał i która od początku używała go do własnych celów.

Na wspomnienie sceny na pokładzie umysł Maksa po raz nie wiadomo który tego dnia cofnął się jak spłoszony koń. Nie mógł

myśleć o tym, jak mu się oddała - po raz pierwszy w życiu. To był kolejny znak zapytania, kolejna zagadka. Na dobrą sprawę nic o niej nie wiedział. Swoimi bajeczkami o księżniczce kompletnie zamącała mu w głowie.

Idiota! Mało brakowało, a dałby się zrobić. Zagięła na niego parol i dlatego nie chciała mu powiedzieć, dlaczego nie uprzedziła go, że jest dziewczicą. Co mu ten człowiek, pewnie któryś z jej braci, powiedział? Że jest „tylko częścią jej planu. Środkiem do osiągnięcia jej tylko znanego celu”.

Słowem przedstawił ją jako kolejną Camille, dumał skołowany Max. Musiał jednak przyznać, że sprytem i pomysłowością była Camille na głowę.

- Max Strong? - usłyszał za plecami i odruchowo okręcił się na barowym stołku.

W tym samym momencie oślepiły go flesze, od których w ciemnej knajpie zrobiło się jasno jak w dzień.

- Ty łobuzie! - wrzasnął Max, rzucając się na najbliższego fotoreportera, by odebrać mu aparat, ale zwinny chłopak wyrwał się i uciekł.

Było ich zresztą wielu. Pracowali jak wilki w stadzie, rzucając się na ofiarę z zasadzki i natychmiast się rozpraszając, w nadziei, że przynajmniej jednemu uda się zrobić zdjęcie. Jutro jego podobizna opatrzona stosownym komentarzem, ukaże się na pierwszych stronach wszystkich brukowych gazet. Nie ma rady, nadszedł czas powrotu na łono cywilizacji.

Samolot zniżył się i osiadł z podskokiem na pasie lotniska Dullesa pod Waszyngtonem. Honey skrzywiła się, co było dziwne, bo normalnie ostre lądowania dodawały jej wigoru.

Gdy silniki ucichły, wyjęła niewielką torbę spod fotela przed sobą. Miała miejsce przy oknie, ale ani siedzący obok grubas, ani dziewczyna na miejscu przy przejściu najwyraźniej nie zamierzali się ruszyć. Była uwięziona.

Po co postanowiła się zniżyć do latania klasą ekonomiczną? Żeby udowodnić coś mężczyźnie, którego więcej nie zobaczy?

- Przepraszam, czy możecie mnie przepuścić? - spytała lekko podniesionym głosem. Sąsiedzi nie raczyli zareagować.

Nie warto się awanturować. Ma ważniejsze sprawy na głowie. Właśnie zaczęła zmieniać swoje życie.

Ból serca i rozpacz minęły. Opuściły ją podczas krótkiego pobytu w Lizbonie, ustępując miejsca buzującej, ślepej furii. Furi, dla której musiała znaleźć ujście. -

- Przepraszam - spróbowała jeszcze raz. Grubas raczył wreszcie zaszczycić ją spojrzeniem.

- Nie spiesz się, laleczko. I tak się stąd nie wydostaniemy, dopóki tamci z przodu nie wyjdą.

- Naprawdę?

- No pewnie. Ciągle latam, to wiem.

- Jeszcze się przekonamy. - Wygiąwszy się w łuk, weszła nogami na siedzenie, po czym dwoma krokami, wspierając się o

oparcie foteli, przeskoczyła nad swymi sąsiadami i wylądowała w przejściu.

- Co to ma być! - wrzasnęła dziewczyna.

- Dobrze, że przynajmniej ma ładne nogi - jowialnie skomentował grubas.

- Bardzo dziękuję - odparła Honey.

Grubas miał rację. Stojący w przejściu pasażerowie nie posuwali się do przodu. Facet z tyłu rąbnął Honey w głowę wyszarpiętą z górnej półki torbą. Ona sama musiała posłużyć się łokciami, by wydobyć swoją. Potem stała i czekała, aż coś się ruszy, czując się jak uchodźca, którego mają odprowadzić do obozu przejściowego. Czy tak ma wyglądać jej nowe, lepsze życie?

Z czasem się przyzwyczaję. Muszę tylko nabrać wprawy. Wstępowała bowiem na nową drogę, stając się nową Honey, która ma wysondować Samuela Hacha i tym samym dokonać czegoś ważnego. Która rzuci ogłupiającą pracę telefonistki i poszuka sobie sensowniejszego zajęcia. Która nie spocznie, dopóki nie będzie się mogła kochać we własnym ogrodzie za domem. Plan obejmował również wyprowadzkę z domu w Georgetown.

No tak, ale żeby to wszystko zrealizować, musi wprawdzie wydostać się z tego cholernego samolotu!

Kolejka pasażerów zaczęła z wolna posuwać się do przodu. Kiedy po kolejnych kilkunastu minutach Honey znalazła się w hali terminalu, odetchnęła stęchłym powietrzem z taką ulgą, jakby to była nadmorska bryza. Po odnalezieniu walizek zatrzymała bagażowego i

dając mu sowity napiwek, kazała zanieść swoje rzeczy do pozostawionego na parkingu auta. Zmiana stylu życia ma swoje granice, a te, przynajmniej dziś, nie obejmują taszczenia bagaży na drugi koniec lotniska.

- Uff! Co za koszmar! - sapnęła, sadowiąc się w czerwonym mercedesie. Przekręciwszy klucz w stacyjce, nadepnęła na gaz i wyjechała pędem z garażu.

Kiedy dotarła do Georgetown, przyszło jej do głowy, by zajrzeć na chwilę do Murphy'ego, lecz istniało ryzyko, że natknie się tam na nieszczęśnika, przy którym padła zemdlna na różany klomb. Zresztą była zbyt zmęczona, a ponadto odwiedzanie barów nie pasuje do nowej Honey. Pojechała więc prosto do domu.

Naeve poszła na noc do siebie. Widać trzymała się ściśle nowych godzin pracy, jakie wyznaczyła jej młoda pracodawczyni przed wyjazdem do Portugalii. Ale przynajmniej przespałam się z facetem, pocieszyła się Honey. Sama jest sobie winna, że nie poprzestała na seksie, że dała sobie zawrócić w głowie, że uwierzyła w łajdackie bajeczki tego drania i pozwoliła, by złamał jej serce.

Zostawiła walizki w holu. Nie miała siły taszczyć ich na górę. Rano zajmie się nimi Naeve. W połowie schodów przystanęła i obejrzała się za siebie. Znowu postąpiła jak rozkapryszona, wygodnicka córeczka milionerów. Z ciężkim westchnieniem zeszła z powrotem na dół i wzięwszy obie walizki, zaniósła je do sypialni.

Długo zmywała z siebie pod prysznicem pozostałości lotu w zatłoczonym samolocie. Potem ubrała się w swoją ulubioną koszulkę

z portretem Elvisa na biuście i z ulgą wyciągnęła się na łóżku. Miała nadzieję, że nie będzie śnić. Tego tylko brakowało, żeby Joe, albo raczej Max - nieważne, jak ma na imię - przyśnił się jej w nocy. Bydlak! Jako kobieta porzucona, wkraczająca w nowy etap życia, nie miała teraz czasu na senne marzenia.

Mimo wypitej whisky sen nie przychodził. Po godzinnym przewracaniu się z boku na bok zniecierpliwiony Max poderwał się z posłania i oczywiście gruchnął czołem o drewnianą obudowę koi. Zakląwszy siarczyście, pomacał czoło, spodziewając się poczuć pod palcami krew. Okazało się, że miał rację, więc zaklął ponownie i w bezsilnej złości otworzył kopniakiem drzwi kabiny, boleśnie uszkadzając sobie duży palec u nogi.

Za kogo ona się uważa? A zwłaszcza za kogo uważała jego? Za skłóconego z życiem, gołego jak święty turecki nieudacznika, odpowiedział sam sobie.

Ale w takim razie cała ta historia nie trzyma się kupy. Musiałaby mieć źle w głowie, żeby zastawić pułapkę na takiego biedaka, za jakiego się podawał. Na mężczyznę, jakim był przy niej. Albo raczej, jakim chciał być.

Wersja perfidnie ułożonego planu miałaby sens pod warunkiem, że Honey wiedziała, z kim ma do czynienia, a zatem musiała od początku wiedzieć, kim on jest. W takim razie nabrała go do kwadratu. Tak go to zezłościło, że wpadł do głównej kabiny, by spod stosu zalegających stół przedmiotów wyciągnąć komórkowy telefon, który kupił sobie wczoraj dla uczczenia wymuszonego powrotu na

łono cywilizacji. No tak, ale jak ma zadzwonić z awanturą do kogoś, o kim wie tylko, że na drugie imię ma Elise i mieszka w Waszyngtonie?

- Kurt! - wykrzyknął na głos. - Kurt będzie wiedział.

Tym razem musiał się udać do przedniej kabiny, aby przeszukać szufladę, do której od pół roku wrzucał najrozmaitsze papiery i dokumenty. Jest! Znalazł otrzymaną w Kairze od Kurta Wagnera wizytówkę z numerem jego komórki. Nie wiedział nawet, czy Elise jest jeszcze na Brunhii, czy już stamtąd wyjechała.

- Nigdy nie powiedziała o sobie nic konkretnego - dodał na głos.

- Ani ty jej - wytknął sobie.

Wizytówka Kurta wysunęła mu się z ręki. Podniósłszy z ziemi upuszczony kartonik, wrócił do głównej kabiny, zapalił górne światło i wystukał numer Kurta. Po kilku sygnałach zdał sobie sprawę, że na Brunhii jest teraz środek nocy, Kurt od dawna śpi i pewnie nie odbierze telefonu.

Kurt jednak najwidoczniej nawet w nocy miał komórkę pod ręką.

- Słucham? - rzekł zaspanym głosem.

- Tu Max Strong.

- Max... - powtórzył Kurt, jakby nie wiedział, o kogo chodzi.

Zaraz jednak oprzytomniał. Nie na darmo był prywatnym detektywem. - Po co dzwonisz w środku nocy?

- Przepraszam, że cię budzę, ale chciałem zapytać o jedną z osób, które w ostatnich dniach przebywały na wyspie.

- A skąd dzwonisz?

- Jestem na Krecie.

- Dzwonisz z Krety w środku nocy, żeby mnie zapytać o jednego z moich gości? Aha.

- Aha co?

- A to, że param się zawodowo odgadywaniem rzeczy, których ludzie nie mówią mi wprost Czy chodzi ci może o drobną blondynkę z piekła rodem, która potrafi człowieka tak zagadać, nic o sobie nie mówiąc, że jest gotów powierzyć jej swoją największą tajemnicę?

- Tak, o tę samą - z bladym uśmiechem przytaknął Max.

- Bystra dziewczyna.

- Kim ona jest?

- Nie wiesz? Budzisz mnie z jej powodu o nieludzkiej porze i nie wiesz nawet, kim ona jest?

- Tak mnie zagadała, że zapomniałem o cokolwiek zapytać.

Kurt roześmiał się z wyraźnym zadowoleniem.

- Może nie chciała, żebyś jej szukał.

- Nie byłbym tego taki pewny.

- No nie wiem - odparł Kurt z wahaniem. - Ale jeśli ci nie powiem, to wynajmiesz tuzin innych detektywów, którzy przeszukają dla ciebie pół świata i wreszcie ją odnajdą.

Chce uspokoić swoje sumienie, stwierdził Max w duchu, i spokojnie czekał.

- Nazywa się Honey Evans - powiedział Kurt. -Z tych Evansow od przemysłu stoczniowego. Słynny właściciel stadniny koni czystej krwi to jej ojciec. Interesujesz się wyścigami?

Maxowi opadła szczęka.

- Gdzie ją znajdę? Jest jeszcze na wyspie?

- Nie. Wyjechała dwa dni temu. Pewnie jest już w Stanach.

- W Waszyngtonie - dodał Max. - Znasz jej adres?

- Nie. Rodzice mają wiejską posiadłość w Maryland, ale gdzie ona mieszka w mieście, tego nie wiem. Wiem tylko, że pracuje w Białym Domu.

- Gdzie? - zdumiał się Max.

- Nie na żadnym ważnym stanowisku. Jest chyba telefonistką. Tam pewnie najłatwiej czegoś się o niej dowiesz. O ile oczywiście dojrzałeś do tego, żeby wrócić do kraju.

Po co było kobiecie z takimi koneksjami uwodzić włóczęgę bez grosza przy duszy? Już on się wszystkiego dowie. I przycisnie ją do muru. Pomyślał o kolejnych reporterach czyhających z fleszami na jego pojawienie się i skrzywił się z niesmakiem, ale cóż, mleko już i tak się wylało.

Najważniejsze to dotrzeć do prawdy na temat Elise. Tym razem nie pozwoli wodzić się za nos i opowiadać sobie bajek. Tym razem nie zapomni języka w gębie. A potem będzie mógł o niej spokojnie zapomnieć. Podziękowawszy Kurtowi za pomoc, wielce z siebie zadowolony wyłączył komórkę.

Tuż przed wybiciem dziewiątej Honey zasiadła w swoim boksie w centrali telefonicznej Białego Domu. Czowała się okropnie.

Po jakie licho przyszła do pracy nazajutrz po locie przez Atlantyk? Ponieważ dawna Honey przeleżałaby następny dzień w

łóżku. I ponieważ chciała złożyć wymówienie. A także dlatego, że był czwartek, a Samuel Hatch zawsze odzywał się w czwartki.

Ospale zabrała się do pracy, mechanicznie wykonując dobrze znane czynności. Nawet szybki bieg na męski basen w poszukiwaniu osobnika, do którego był pilny telefon, nie zdołał jej wyrwać z umysłowego odrętwienia.

- To tylko różnica czasu - tłumaczyła sobie, wlokąc się z powrotem na stanowisko pracy. Przecież nie skutek tego, że została porzucona. A jeśli jednak? Może jest emocjonalnie wyczerpana? Wytrącona z równowagi nietypowymi doświadczeniami, jakie spotkały ją na portugalskiej wyspie?

Zaświeciło się światelko: telefon z miasta. Nałożywszy słuchawki na uszy, Honey automatycznie wygłosiła powitalną formułkę, oglądając jednocześnie odprysnięty lakier na paznokciu. Czy w swoim nowym wcieleniu powinna zrezygnować z malowania paznokci?

- Witam, Numerze Dwunasty. Porzuciłaś mnie. Gdzie się podziewałaś?

Samuel Hatch. Honey momentalnie oprzytomniała i bez chwili wahania podjęła starą zabawę, której tym razem przyświecał bardzo konkretny cel.

- Stęskniłam się za tobą.

- Uciekłaś, żeby po kryjomu wziąć ślub z jakimś szczęśliwcem?

Jego słowa z niewiadomego powodu stanowiły cios w samo serce. Co to ma znaczyć? Przecież wcale nie chciała wychodzić za mąż. Chciała tylko uciec z nim na koniec świata.

- Nie. Czekam na twoje oświadczenia. Zaśmiał się cicho, zadowolony z odpowiedzi.

- Z kim mam cię połączyć? - spytała.

- To później. Najpierw opowiedz mi o sobie..

- Prawdę mówiąc... - zawiesiła głos - jest coś, o co chciałabym cię zapytać. A właściwie, ktoś. Masz szerokie koneksje, znasz cały Waszyngton. W swojej pracy musiałeś chyba poznać z milion ludzi.

- Zmniejszyłbym tę liczbę do połowy. A kto cię interesuje?

Honey westchnęła dla uprawdopodobnienia swoich wahań.

- Wolałabym nie mówić o tym przez telefon. Zbyt wiele osób może nas usłyszeć. Zrozumiesz, kiedy ci powiem, o kogo chodzi.

- Wobec tego zapraszam na kolację.

- Hm. Wolałabym pójść na drinka. - Tak byłoby prościej, zwłaszcza gdyby sobie podpił. A może bycie agentem CIA wymaga mocnej głowy?

- Sądziłem, że masz większe wymagania. - Niemniej z tonu jego głosu wywnioskowała, że jest zachwycony.

- Nie wobec starych znajomych. Więc umówmy się na drinka. Pogadamy o pogodzie... i o tym kimś.

- Więc jest jednak inny mężczyzna. Łamiesz mi serce, dziewczyno.

- On nie jest związany ze mną, tylko z moją przyjaciółką.

- No to pogadamy. Dokąd chciałabyś pójść? Długo nad tym myślała.

- Co byś powiedział na barek w Marriot Wardman Park?

- Co za rozkoszna propozycja! W moim wieku! Kiedy, dziś wieczorem?

- Nie, jutro. - Znała mężczyzn na tyle, by wiedzieć, że im dłużej muszą czekać, tym są potem miłsi i uleglejsi. - O szóstej wieczorem. Wobec tego do zobaczenia. Przyjdę w czerwonej sukience. - Przy okazji postanowiła zrobić dobry użytek z kiecki kupionej na ślub Marcusa.

Wyłączyła się. Na jej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia. Zrobiła pierwszy krok. Dzięki Carey, która przekonała Marcusa, by jej zaufał, dowiedzie, ile jest warta.

Pokaże im wszystkim, co potrafi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Mimo epizodu z fotografami na Krecie - a może właśnie dlatego - Max przed odlotem nie zgolił trzydniowego zarostu ani nie poszedł do fryzjera. I wykupił bilet w klasie turystycznej. Od wypadku w barze nikt go wprawdzie nie napastował, ale wiedział, że lawina niedługo ruszy.

Odnosił pierwsze oznaki poruszenia. Zdjęcie najwidoczniej musiało się gdzieś ukazać. Zastępca Maksa zadzwonił do niego z samego rana, pytając o radę w sprawie, którą jeszcze tydzień temu załatwiłby sam. Wystarczy zarejestrować telefon w dowolnym punkcie globu, a ma się jak w banku, że prędzej czy później zacznie dzwonić od rana do wieczora. Jakby na dowód tego przed kwadransem odebrał telefon od Camille, która wyraziła chęć pojednania.

Jedno musiał oddać Honey Evans: nie zniżała się do lamentów czy błagań. Sztukę uwodzenia doprowadziła do perfekcji.

Musi załatwić z nią porachunki, zanim dawny świat - współpracownicy, członkowie rodziny, rozwiedziona żona, nachalni dziennikarze - przystąpi do frontalnego ataku. Swoją przenikliwą bystrością i pełną, chociaż pozorną akceptacją jego włóczęgowskiego wcielenia, Honey przywróciła Maksowi jego dawne ja, by na zakończenie wszystko to odebrać, okazało się bowiem, że jest niczym więcej jak jeszcze jedną kobietą mającą na oku swój własny, ukryty cel.

Musi się dowiedzieć, co tak naprawdę zaszło między nimi w Portugalii. A przede wszystkim, na czym polegała jej gra. Czy wiedziała od samego początku, z kim ma do czynienia i tylko udawała, że bierze go za Joego? Czy też był kaprysem bogatej panienki, która zapragnęła mieć własnego playboya na każde zawołanie? Czy tamtej nocy pojawiła się o północy na plaży, czy też zawróciła mu w głowie słodkimi obietnicami, nie zamierzając ich spełnić? Był wystarczająco dotknięty, by chcieć jej uświadomić, kim naprawdę jest.

Warkot silników zmienił ton. Schodzili do lądowania. Nogi miał zdrętwiałe po parogodzinnym siedzeniu w samolocie. Nie mógł się ruszyć, bo obok niego siedziała kobieta z niemowlęciem na rękę. Kobieta poruszyła się i malec zwymiotował na jego spodnie. Na spodnie człowieka, który posiadał własny odrzutowiec. Ale gdyby spróbował z niego skorzystać, lotnisko natychmiast zaroiłoby się od dziennikarzy.

Sąsiadka wetknęła mu dziecko do rąk, a sama pobiegła pewnie po stewardesę, żeby przyszła oczyścić mu spodnie. Max przyjrzał się niemowlakowi.

- Jak się czujesz, kolego?

Malec wesoło zagulgotał, a Maksa ogarnął smutek. Nie miał dzieci, ponieważ związał się z niewłaściwą kobietą. A niedawno poderwał drugą, nie lepszą od tamtej.

- Do jasnej cholery! Wcale jej nie podrywałem.

- Jak pan może używać takich słów przy dziecku!

- oburzyła się matka dziecka, wracając na miejsce.

- Po tym, jak mnie obrzygał, zawarliśmy męskie przymierze - odciął się Max.

- To dziewczynka. I tylko prychnęła odrobiną mleka. - Obrażona kobieta odebrała mu dziecko z taką miną, jakby był co najmniej pedofilem.

Oswobodzony Max wstał szybko i skierował się do toalety, by oczyścić spodnie, ale w tym samym momencie pilot kazał pasażerom zapiąć pasy. Widać miał dzisiaj pechowy dzień.

Punktualnie o wpół do piątej po południu Honey z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zdjęła z głowy słuchawki i zaczęła zbierać się do wyjścia. Przyjęła w ciągu dnia chyba ze trzysta telefonów, no i umówiła się z Hatchem.

Do jej boksu zajrzała ciemnowłosa dziewczyna o migdałowych oczach.

- Wybieramy się w parę osób na drinka do Nathana - oznajmiła. Było to oczywiste zaproszenie.

- Dziś nie mogę. Padam z nóg - odparła Honey. Koleżanka przyjrzała jej się z niedowierzaniem.

- Pierwsze słyszę, żebyś była zbyt zmęczona na to, żeby skoczyć na drinka.

- Czasem mi się zdarza. Zwłaszcza jeżeli po powrocie z Europy późną nocą pracuję następnego dnia od dziewiątej rano.

Ciemnowłosa panienska oddaliła się jak niepyszna,

Honey zaś udała się do kierowniczkich centrali, przed którą położyła na biurku wyjętą z torebki podłużną kopertę.

- Co to jest? - spytała szefowa.
- Moje wymówienie. Czuję się wypalona.
- Od przyjmowania telefonów?

Honey wiedziała, że Mary Cage pracuje w dziale telefonów Białego Domu od trzydziestu pięciu lat, wołała więc nie tłumaczyć, iż ma teraz wyższe aspiracje.

- Znam osoby, które dałyby wszystko za twoją posadę - upomniała ją Mary.

- Chyba nie ma wśród nich wielu magistrów nauk politycznych - chlapięła Honey bez zastanowienia.

- Uznałaś nagle, że masz za wysokie kwalifikacje do tak prozaicznej pracy? - warknęła Mary.

Honey uznała, że rozmowa staje się zbyt męcząca.

- Chyba mam depresję - oznajmiła.
- Co mówisz?
- Czuję upadek ducha.
- To weź coś na poprawę samopoczucia.
- Mam zamiar. Dlatego odchodzę z pracy.

Po wyjściu z Białego Domu udała się na parking dla pracowników, gdzie stał jej mercedes. Zanim do niego wsiadła, odbyła przyjacielską pogawędkę z pilnującym samochodów funkcjonariuszem. Czekał ją bardzo ważny krok. Miała się pozbyć

wspaniałego auta, będącego wizytówką dawnej Honey. Czy naprawdę musi ją do szczętu pogrzebać?

Tak, musi, uznała. Ważniejsze jednak niż pozbycie się szpanerskiego samochodu było to, czego miała dokonać jutro wieczorem podczas spotkania z Samuelem Hatchem. Pierwszy raz w życiu miała zrobić coś pożytecznego.

- A zatem do dzieła - powiedziała do siebie, zapalając silnik. Jej pierwszym celem był znajomy zakład, którego właściciel handlował używanymi samochodami.

Omam mu się nie wymknęła. Gdyby został dłużej na lotnisku, by wynająć samochód, byliby się rozminęli.

Nie chcąc się na razie ujawniać, Max nie skorzystał ze swoich znajomości, aby ustalić, gdzie personel Białego Domu parkuje samochody. Zamiast tego poszukał taksówkarza znającego okolice najważniejszego w kraju budynku jak własną kieszeń.

Za jedno sto dolarów pocziwina zgodził się udzielić Maksowi niezbędnych informacji. Ale na wszelki wypadek kazał mu wysiąść dwie przecznice dalej.

Idąc wzdłuż wysokiego żywopłotu, zapewne najeżonego niewidocznym drutem kolczastym, Max dotarł do podjazdu ukrytego w kępie czereśniowych drzew, zamkniętego bramą z kutego żelaza. Właśnie nadjechał samochód i brama otworzyła się przed nim z lekkim, podobnym do westchnienia skrzypnięciem. Za kierownicą siedział potężnie zbudowany mężczyzna w ciemnych okularach i

równie ciemnym garniturze, wyglądający na pracownika Białego Domu. To na pewno tutaj, pomyślał Max.

Zajrzał przez zamykającą się bramę i natychmiast ją rozpoznał, chociaż stała w odległości dobrych stu metrów od wjazdu. Jej strój był tylko trochę mniej wyzywający niż to, co nosiła na wyspie. Składał się bowiem z bardzo krótkiej kwiecistej spódniczki, granatowego żakietu i pantofli na wysokich, cienkich jak szpilki obcasach.

Po chwili podeszła do mercedesa ze składanym dachem, w nieznanym w seryjnych wersjach odcieniu jaskrawej czerwieni. Ha! - powiedział do siebie w duchu. Od początku wiedziała, kim jestem! Kobiety jeżdżące wykańczanymi na specjalne zamówienie mercedesami wiedzą takie rzeczy.

Max mógł teraz uznać swoje wątpliwości za rozwiane i odejść. Zamiast tego zaczął się gorączkowo rozglądać za taksówką. Udało mu się zatrzymać wolny pojazd w momencie, gdy czerwony mercedes wyjeżdżał z piskiem opon z bramy.

- Jedź za nią! - zakomenderował, wskakując na tylne siedzenie.

- Co pan kombinuje? - spytał podejrzliwy kierowca, ale gdy Max wyciągnął z kieszeni następną studolarówkę, bez dalszych sprzeciwów rzucił się w pościg.

Jechali za nią długo, kilkakrotnie zmieniając kierunki. Max coraz bardziej się dziwił. Wreszcie zwolniła i wjechała na parking salonu samochodowego na zachodnich peryferiach miasta. Max kazał taksówkarzowi zatrzymać się.

- Wysiada pan? Należy się pięćdziesiąt sześć dolców.

- Nie, poczekamy. Może pojedziemy za nią dalej.

- Coś mi się tutaj nie podoba - oświadczył kierowca. - Nie wiem, czy nie zadzwonię na któryś numer alarmowy.

Max wcale mu się nie dziwił. Pasażer, który najpierw kręci się wokół Białego Domu, a potem każe śledzić jedną z jego pracownic, może budzić uzasadnione podejrzenia. Podając kierowcy kolejną studolarówkę, Max pokazał mu swoje prawo jazdy.

- Proszę, oto moje nazwisko. Nie musi się pan denerwować. Nic nikomu nie grozi.

- Maxwell Strong?! - wykrzyknął taksówkarz. - To pan był wtedy na okładce „People”?

Znowu się zaczyna.

- I to nieraz.

- Mam na myśli pański ślub z tą wystrzałową lalką.

- Ależ to było siedem lat temu! - zdziwił się Max. W polu widzenia ukazała się Honey i natychmiast zapomniał o byłej żonie. Weszła z jednym z agentów do biura, by po chwili pojawić się znowu z kluczykami od samochodu w ręku. Zamiast jednak wrócić do swego mercedesa, wsiadła do podstawionego przez innego agenta ciemnoniebieskiego dzipa, pomachała na pożegnanie ręką i odjechała.

Kupiła nowy samochód. Transakcja zajęła jej piętnaście minut.

- Niech pan dalej za nią jedzie.

- To nowa pani Strong? - zaciekawił się taksówkarz.

- Najpierw muszę się dowiedzieć, kim ona właściwie jest.

Honey kręciła się po mieście jakby bez celu. Raz zatrzymała się przed sklepem alkoholowym, ale nie rozpoznał, co było w torbie, z którą wyszła. Po dalszym kołowaniu zajechali pod Woodley Park.

Zaparkowała przy krawężniku, wyskoczyła z auta i weszła do parku. Szła trawnikiem, omijając alejki. Ma tyle pieniędzy, że nie musi się trzymać zasad obowiązujących przeciętnego obywatela, pomyślał Max.

Po chwili Honey wróciła do samochodu, poszukała w torebce drobnych i wrzuciła je od parkometru. Widocznie jednak pewne zasady ją obowiązują.

Znowu wróciła do parku. Tym razem od razu zrzuciła pantofle, a po chwili usiadła na ławce, żeby dyskretnie zdjąć rajstopy. Potem ruszyła dalej, z widoczną przyjemnością zatapiając bosc stopy w trawie. Zatrzymała się pod drzewem, zdjęła zakiet, który musiał kosztować najmniej kilkaset dolarów, rzuciła go na trawnik, po czym rozsiadła się po turecku na ziemi. Na koniec wyjęła z plastikowej torby butelkę wina - z daleka nie mógł rozpoznać etykiety, ale było na pewno wyborne - sięgnęła do torebki po korkociąg, otworzyła butelkę, wypila spory łyk i położyła się na plecach.

W tym momencie Max nareszcie zrozumiał.

Zobaczył ją taką, jaką była. Autentyczną i pełną polotu Honey, świadomą swego bogactwa na tyle, by umieć się zdobyć na niefrasobliwość, zamkniętą w wieży z kości słoniowej, której ściany próbuje czasem skruszyć.

Poczuł dziwny ucisk w piersiach.

- Dosyć się napatrzyłem - odezwał się do taksówkarza.

Był gotów odjechać i więcej jej nie szukać. Aż nagle stała się rzecz niewiarygodna.

Honey nadal nie mogła ochłonąć z wrażenia po tym, jak pozbyła się mercedesa. Potworna maszyna, którą kupiła zamiast niego, niczym nie przypominała sportowego auta, ale za to odpowiadała jej zamiarom. Czyli ucieczce od dotychczasowego życia. Nie będzie to co prawda ucieczka jachtem do nieznanych portów, ale pozwoli jej osiągnąć upragnioną wolność.

Miała za sobą podróże do Mediolanu, Monte Carlo, Hongkongu, chociaż gdyby miała wybierać, wolałaby zwiedzać hodowle bydła w Oklahomie. Chciała zobaczyć na własne oczy, jak żyją dzwoniący do Białego Domu ze swoimi bolączkami farmerzy. Teraz nawet na miejsca, które dobrze знаła, będzie patrzeć innymi oczami. Będzie wędrować, dokądkolwiek przyjdzie jej ochota, coraz dalej i dalej. W wiadomości, jaką tym razem zostawi rodzinie, napisze tylko: „Bądźcie łaskawi przypomnieć sobie pożegnalny list z Brunhii. Proszę zostawić mnie w spokoju”.

Tyle że tym razem zrobi to w pojedynkę. Tym razem nikt jej nie zawiedzie, nikt nie pokrzyżuje jej planów.

Przepełniło ją upajające poczucie swobody. Roześmiała się. Nie czuła się tak wspaniale od dnia, kiedy szła na plażę na spotkanie z Joem vel Maksem.. Była przekonana, że wyjazd ostatecznie rozwieje ciężące nad seksem w Georgetown przekleństwo. Znajdzie sobie kochanka w Miami, potem innego w Baton Rouge, a potem farmera z

Kansas. Okazuje się, iż to nie Joe przełamał barierę bum-bum-bum i ra-ta-ta, ale sprawiła to Brunhia. I że nie musi lecieć na drugą stronę Atlantyku, żeby pozbyć się dawnych lęków.

Usiadła, chcąc na cześć swoich planów napić się wina, i nagle ujrzała go przed sobą. Joe! Pędził w jej kierunku przez waszyngtoński park, krzycząc jak obłąkany. Odpłynął bez niej z wyspy na innym kontynencie, a teraz jest tutaj?

Butelka wypadła jej z rąk, wino rozlało się na trawę. Honey zerwała się na równe nogi.

On jednak minął ją bokiem i pognał dalej. Honey odwróciła się za nim z rozdziawionymi ustami.

Zobaczyła, że nagle się zatrzymuje i rzuca na obcego mężczyznę.

- Co ty wyprawiasz?! - zawołała, biegnąc ku nim. - Masz źle w głowie?

- Zostaw to mnie! Nie zbliżaj się!

- Zrobisz mu krzywdę! - zaprotestowała, widząc, jak Joe wymierza nieznajomemu cios w szczękę. Następnym ciosem trafił go w nos. Trysnęła krew. - Widzisz, co zrobiłeś?! - wrzasnęła.

- Ty wariatko, właśnie uratowałem ci życie!

- To ty zwariowałeś! Nieznajomy, korzystając z chwilowej nieuwagi Joego, odplącił mu pięknym za nadobne. Walcząc ze sobą, zwalili się na ziemię. Teraz nieznajomy uzyskał prze-wagę. Joe obrywa, pomyślała Honey, w oszołomieniu biegając wokół nich. Nic

nie rozumiała, chyba poza tym, że zakochała się w człowieku, który najprawdopodobniej kwalifikuje się do domu dla wariatów.

Nagle nieznajomy znalazł się na wierzchu, a jego ręce zacisnęły się na szyi Joego.

- Co za dużo, to niezdrowo - mruknęła Honey i niewiele myśląc, skoczyła dusicielowi na plecy.

Mężczyzna zaczął się szarpać, ale Honey przywarła do niego jak rzep. Słyszała zduszone okrzyki Maksa. Wreszcie nieznajomy poderwał się, zrobił gwałtowny zwrot i z całej siły walnął nią o najbliższe drzewo.

Poczuła, że brakuje jej powietrza w płucach i osuwa się na ziemię. Kątem oka zobaczyła, że nieznajomy rzuca się do ucieczki. Jakiś srebrzysty przedmiot wypadł mu z kieszeni. Podczołgała się bliżej.

Rewolwer.

- Nie dotykaj go! - usłyszała za sobą krzyk Maksa. Odwróciła się i popatrzyła na niego z oburzeniem.

- Z jakiej racji miałabym cię posłuchać?

- To może być ważny dowód. Nie rozumiesz, że on chciał na ciebie napaść?

- To ty napadłeś na niego - odparowała.

Była przekonana, że to Max wyskoczył nie wiadomo skąd i z niewiadomego powodu zaatakował obcego człowieka. No tak, ale facet był uzbrojony, a i sposób, w jaki ją potraktował, świadczył przeciwko niemu.

- Byłaś tak zajęta sobą, że nie zauważyłaś, co się dzieje. Ten człowiek skradał się za twoimi plecami -odparł Max.

- Każdemu wolno chodzić po parku, gdzie mu się podoba - zaoponowała, lecz już z niniejszą pewnością siebie.

Widok błyszczącego w trawie rewolweru skojarzyła nagle z obawami, jakim Marcus i jego przyjaciele dawali wyraz podczas rozmów na wyspie. Na myśl, że facet mógł być wysłannikiem Koalicji, Honey zatrzęsała się ze strachu.

- No, uspokój się - powiedział Max, podczołgując się w jej kierunku.

- Nie zbliżaj się! - krzyknęła, czując nagły przypływ złości na niego.

- Honey, przecież to nie ma sensu.

- Pocałuj mnie w nos. Nienawidzę cię! - Rzeczywiście już prawie zaczynała go nienawidzić i czuła się z tym znacznie lepiej, niż kiedy za nim tęskniła.

- Czy mogę się zbliżyć na tyle, żeby zapytać, dlaczego on mógłby chcieć cię zaatakować?

Honey stanęła na nogi, cofnęła się o parę kroków i podniosła z ziemi pustą butelkę.

- Nie waż się zbliżać, jeśli nie chcesz dostać tym po głowie - zagroziła. - A w ogóle, to skąd się tu wzięłaś?

- Proponuję, żebyśmy zaczęli wszystko od nowa.

- Niby co?

- To, co było między nami.

Honey znieruchomiała. Słowa te spłynęły na jej serce niczym balsam. A zarazem uświadomiła sobie wiele innych rzeczy. Wszystko to razem było zbyt skomplikowane. Nieoczekiwanie dla samej siebie rozplakała się.

- Co ci jest? - spytał niepewnie Max.

Była zbyt roztrzęsiona, żeby wymówić słowo. Wpatrywała się przez łąy w porzucony rewolwer. Gdyby nie widziała, jak broń wypadła nieznanemu z kieszeni, nigdy by nie uwierzyła, że groziło jej prawdziwe niebezpieczeństwo. Uznałaby Maksa za skończonego pomyłkę, który w dodatku nie miał prawa znajdować się po tej stronie oceanu. Ale poza tym istniały problemy Marcusa i czyhający w parku facet z rewolwerem.

Honey powoli rozjaśniało się w głowie.

- Co ty tutaj robisz? - zapytała.

- Już ci mówiłem.

- To nie była odpowiedź. Chciałeś mnie tylko rozbroić. - Poczowała nowy przypływ żalu i oburzenia. - Oszukałeś mnie. Odplynałeś beze mnie.

Wolałby uniknąć tłumaczeń, tylko objąć ją i zacząć wszystko od nowa. Dzielilo ich jednak zbyt wiele kłamstw i niedomówień.

Odchrząknawszy, zdobył się na szczere wyznanie:

- Coś sprawiło, że straciłem do ciebie zaufanie. Spodziewał się kolejnego wybuchu złości i oburzenia, lecz Honey milczała.

- To sprawka Marcusa - wyszeptała po chwili.

- Chyba tak. Jeżeli masz na myśli człowieka, który nakrył nas w kamieniołomie.

- Co ci powiedział?

- Że jestem częścią twojego planu.

- Bo tak było - odparła z lekkim zdziwieniem.

- I nie wstydzisz się do tego przyznać?

- Nie widzę powodu. Sama ci mówiłam. Nie rozumiem, dlaczego uznałeś to za takie odkrycie.

- Mówiłaś, że prowadzisz grę.

- Gra czy plan, co za różnica?

Max poczuł, że zaczyna go boleć głowa. Nie był pewny, czy to skutek odbytej bójki, czy też jej wykrętnych odpowiedzi, z których nic nie wynikało.

- Mogłabyś zdradzić, jaki miałaś wobec mnie plan? Honey zmieszła się.

- Wolałabym o tym nie mówić.

- Jeśli dobrze pamiętam, miałaś to wyjaśnić po tym, jak zwałaś na mnie swoje dziewictwo.

- Niczego na ciebie nie zwałałam.

- Ale nie raczyłaś mnie uprzedzić.

- Pewne, że nie! A co byś zrobił, gdybym cię uprzedziła?

- Zwałbym gdzie pieprz rośnie.

- No właśnie - odparła, splatając ręce na piersiach.

- Nie masz dosyć wykrzykiwania z odległości kilku metrów? Nie mogłabyś odłożyć butelki i spokojnie ze mną porozmawiać? - poprosił Max.

- Nie. Bo może jeszcze ci przyłożę.

- Nie masz dosyć bójek na jeden dzień?

- Jeszcze się nad tym zastanowię. - Matt, myślała równocześnie.

Muszę się skontaktować z Mattem i powiedzieć mu o człowieku z rewolwerem. Ale to później. Teraz mam inne sprawy do załatwienia. - Gdybym ci powiedziała, że z nikim nie spałam, byłabym dziewicą do dzisiejszego dnia.

- I to wszystko? Cały twój plan polegał na tym, żeby podczas pobytu na Brunhii załatwić tę sprawę?

- Oczywiście. A co myślałeś?

Znowu go zaskoczyła. Powinien był wiedzieć, że ta dziewczyna ma źle w głowie i jeżeli ułożyła sobie plan, to musiał on być równie zwariowany jak ona. Zarazem zdał sobie sprawę, że teraz na niego kolej powiedzieć prawdę o sobie. Jakoś jednak nie miał na to ochoty. W każdym razie dopóki trzymała w ręku butelkę.

Tymczasem Honey przyglądała mu się, marszcząc czoło.

- Jak tutaj dotarłeś? - spytała, podchodząc bliżej, a on na wszelki wypadek cofnął się o krok.

- Ja? Taksówką. - Przypomniawszy sobie, że kierowca nadal czeka na niego na ulicy.

- Nie o to pytam. Jak dostałeś się do Stanów? Na pewno nie jachtem, bo jeszcze by cię tu nie było.

- Tak. To znaczy, nie.
- Musiałeś przylecieć samolotem. A to kosztuje.
- Nie aż tak dużo. - Bilet w klasie turystycznej był śmiesznie

tani.

- Skąd wytrzasnąłeś pieniądze? - naciskała Honey.
- Miałem małą rezerwę.

Wbrew obawom Maksa, Honey zaniechała dalszych indagacji. Opuściwszy rękę, w której dzierżyła butelkę, odwróciła się, podeszła do miejsca, gdzie leżały jej rzeczy, i usiadła na rozłożonym na ziemi żakiecie.

Max ruszył za nią.

- Wydałeś swoje oszczędności, żeby mnie odszukać.
- Nie martw się, jeszcze trochę mi zostało - odparł, wstydząc się, że nadal ją okłamuje. - Czy mogę usiąść?

- Oczywiście. Doceniam twoje poświęcenie. - Zaraz jednak się poprawiła: - Ale to jeszcze nie znaczy, że ci wybaczyłam.

- Rozumiem. - Dobrze przynajmniej, że odłożyła butelkę. W dodatku wychodzi na to, iż to ona ma mu coś do wybaczenia, a nie na odwrót. Swoim zwyczajem odwróciła kota ogonem. Zaraz potem spotkała go kolejna niespodzianka.

- Masz gdzie zanocować w Waszyngtonie, Max? - spytała.
- Nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanowić. Z lotniska pojechałem wprost do Białego Domu.

- Skąd wiedziałeś?
- Od Kurta.

- Czy to znaczy, że szpiegowałeś mnie od wyjścia z pracy?

- Można tak to nazwać. Ale ty też mnie szpiegowałaś.

- Ja? Niby jak?

- Przed chwilą nazwałaś mnie Maksem. - Ciekawe, od jak dawna zna jego prawdziwe imię.

- A, to - mruknęła. - Paloma mi powiedziała.

Skoro tak, to nic nie wie. Paloma nie miała pojęcia, kim on jest. Nie był pewien, czy odczuł z tego powodu ulgę, czy zawód.

- Wtedy, kiedy znalazła mnie rano na plaży - dodała Honey.

- Czekałaś na mnie na plaży do rana?

- Od dziesiątej wieczorem. Myślałam, że popłynąłeś do Portimao zrobić zapasy na drogę.

Zrobiło mu się wstyd. Biedna dziewczyna czekała przez całą noc, nie podejrzewając go o nic złego.

- To co teraz robimy? - spytał, chcąc zmienić temat.

- Ach, możesz przenocować u mnie. Mamy kilka sypialni.

Zastanowiło go, że powiedziała „mamy”.

- Masz współlokatora?

- I to niejednego. Ale oni siedzą głównie w Conover Pointe.

Znowu wykręciła się od odpowiedzi! Była mistrzynią w udzielaniu nic nie mówiących wyjaśnień. Postanowił jednak dać temu na razie spokój.

- Ale jak mają się sprawy między nami? To znaczy, czy każesz mi spać w osobnej sypialni?

- Niestety, chyba muszę.

- Z powodu współlokatorów?

- Nie, już ci powiedziałam, że siedzą w Conover Pointe.

Nie mogła mu przecież powiedzieć, że o seksie w Georgetown nie może być mowy. Pewnie mu w końcu wybaczy, a nawet namówi do wspólnej ucieczki, ale dopóki pozostaną w jej dawnym otoczeniu, każda próba przespania się z Maksym doprowadziłaby pewnie do kolejnej katastrofy. Honey wstała z ziemi i pozbierała swoje rzeczy.

- Może z czasem zgodzę się pójść z tobą łóżka -dodała, wyszarpując spod Maksa żakiet, na którym siedział.

Dobrze przynajmniej, że zaprosiła go na noc do domu.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że musimy zawiadomić policję - zauważył.

- Ach, chodzi ci o rewolwer. Widzisz, to jest sprawa o wiele bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje.

- Nie możemy go tutaj po prostu zostawić - zaprotestował.

- To prawda. - Owinąwszy rękę żakiem, podniosła rewolwer z ziemi. Wiedziała z filmów, jak należy w takich przypadkach postępować. - Nie mam pojęcia, co to miało znaczyć - rzekła.

Co oczywiście nie było prawdą. Podejrzenia same się narzucały. Zaledwie w parę godzin po rozmowie z Hatchem ktoś usiłował ją zastrzelić.

Jednakże Honey darzyła Hacha sympatią i nie chciała uznać go za złoczyńcę. Być może Koalicja dowiedziała się o jej pobycie na Brunhii i podejrzewa ją o konszachty z ofiarami genetycznego eksperymentu. To by jednak oznaczało, że wszystkim grozi

niebezpieczeństwo, a w takim razie ma obowiązek zawiadomić ich niezwłocznie, co się wydarzyło.

Ale jeżeli im powie, to każą jej odwołać spotkanie z Hatchem.

- W takim razie nic z tego - powiedziała na głos. Doprowadzi rzecz do końca.

- Znowu mówisz do siebie.

Podskoczyła, słysząc obok siebie głos Maksa. Wyciągnęła do niego rewolwer.

- Umiesz sprawdzić, czy jest zabezpieczony? - spytała.

- Co zamierzasz z nim zrobić?

- Zabiorę go do domu.

- Dlaczego?

Miała okropną ochotę wszystko mu opowiedzieć, ale wiedziała, że jeśli to zrobi, potwierdzi wszystkie zarzuty, wskutek których na Brunhii nikt nie chciał z nią rozmawiać o poważnych sprawach. A mianowicie, że jest nieodpowiedzialna i nie potrafi trzymać języka za zębami. Pierwszy raz w życiu znalazła się w tak trudnej sytuacji.

Widocznie taka jest cena samodzielności, powiedziała sobie w duchu. Nie wystarczy pozbyć się mercedesa, żeby stać się nowym człowiekiem.

- O nic nie pytaj. Upewnij się tylko, czy nie wystrzeli.

Nieznany ton w jej głosie zrobił na Maksie wrażenie. W milczeniu zabezpieczył rewolwer, po czym Honey owinęła go w żakiet i wsunęła do torby.

- Chodź, wypróbujemy mojego nowego dżipa -powiedziała,
ruszając przez park w kierunku ulicy.

Scandalous

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Dlaczego pozbyłaś się mercedesa? - spytał, zajmując miejsce dla pasażera.

- Bo wybieram się w podróż po Kansas.

- Nie żartuj.

- Mówię serio. Mercedesy nie pasują do pastwisk.

- Znam paru bogatych ranczerów, którzy są innego zdania.

- Masz znajomości wśród bogatych ranczerów? Myślałam, że jesteś z Pittsburgha.

- Sporo podróżowałam. - Po chwili zapytał: - Miałaś zamiar wyjechać do Kansas?

- I nadal mam - odparła Honey, zatrzymując się przed domem. Pierwsza wyskoczyła z samochodu i poszła otworzyć drzwi.

- A co z pracą w Białym Domu?

- Złożyłam wymówienie.

Zaprowadziła go do sąsiadującej z kuchnią spiżarni z winem.

- Francuskie, włoskie czy portugalskie? Może napijemy się portugalskiego dla odświeżenia wspomnień?

- Jesteś niemożliwa.

- Nie chcesz wina?

- Jesteś jak piskorz. Wiele mówisz, żeby nic nie powiedzieć.

- Do tego też dojdę. - Podała mu butelkę i korkociąg. - Nie bardzo wiem, po co studiowałam nauki polityczne. Chyba na przekór rodzicom. Polityka nigdy mnie nie interesowała.

- A co cię interesuje? - spytał.

- Filmy. Ludzie. Rozwiązywanie zagadek.

Sama była zagadką. Rozkoszną, pobudzającą, skomplikowaną zagadką. Można by z nią przeżyć czterdzieści lat, nigdy się nie nudząc. Ale jak można zaufać komuś, kto nieustannie zaskakuje? Jednocześnie jednak jest autentyczna we wszystkim, co robi. Trochę pokręcona, ale autentyczna i szczerą.

- Zresztą to nie ma znaczenia. Jeżeli nie nastąpi jakaś katastrofa, do końca życia nie będę musiała pracować. - Wstała, by przynieść kieliszki. - A ty co zamierzasz teraz zrobić?

- Prawdę mówiąc, ja też straciłem ochotę do pracy.

- Nie zauważyłam, żebyś się przepracowywał! -Roześmiała się. - Nie boisz się, że kiedyś ci się to znudzi?

- Nie sądzę. - Max odstawił kieliszek. Nadszedł moment, by wyznać jej prawdę. Honey była w wyjątkowo łagodnym jak na nią nastroju.

Ona jednakże pokrzyżowała mu plany. Wstała z krzesła i pochyliwszy się nad nim, leciutko pocałowała go w usta.

- Więc jednak uciekniesz ze mną? - zapytała.

- A już mi wybaczyłaś?

- Prawie.

Chciał ją objąć, ale cofnęła się gwałtownie, jakby się czegoś bała. Max nie ustąpił. Przytrzymał ją za ramiona i wolno, ale stanowczo, przyciągnął do siebie. Tym razem pozwoliła się

pocałować. Ale po chwili chwyciła go za nadgarstki i odsunęła od siebie.

- Max, ja nie mogę.

- Pragnę cię.

- Ale ja nie mogę. Jesteśmy w Georgetown. Niechętnie wypuścił ją z ramion.

- Wiem. I co z tego?

Honey serce waliło jak młotem. Nie wiedziała, co robić, wyznać mu prawdę, czy zaryzykować, że w decydującym momencie osunie się zemdlona u jego stóp?

- W ogóle cię nie znam - mruknęła wymijająco.

- Parę dni temu nie miałas z tym problemu.

- Bo byliśmy na Brunhii.

- Nie widzę związku.

Nagle poczuła, że jest jej wszystko jedno.

- Nie mogę się tutaj kochać, bo od razu dostaję bum-bum-bum w sercu i osuwam się jak zwiędnięty kwiat. Po prostu mdleję.

- Seks przyprawia cię o utratę przytomności?

- Tak. Jeżeli jestem w różanym ogrodzie. Albo blisko niego.

Dlatego skorzystałam ze ślubu Marcusa, żeby znaleźć się jak najdalej od domu. No i udało się!

- Udało się?

- Pewnie mi nie wierzysz?

- Ani trochę.

- To zaraz się przekonasz - oświadczyła. - Chodź - dodała, biorąc go za rękę.

Zamiast jak się spodziewał zaprowadzić go do sypialni, otworzyła tylne drzwi i wyszła do ogrodu. Ma chyba skłonność do kochania się na świeżym powietrzu, przemknęło mu przez głowę. Za domem rozciągał się różany ogród, po którego jednej stronie stał słoneczny zegar, a po drugiej niewielka oranżeria.

- Zaraz się przekonasz - powtórzyła, wspinając się na palce, by dosięgnąć jego ust.

Maksowi zakręciło się w głowie. Gdyby Camille kiedykolwiek pocałowała go w ten sposób, nigdy by jej nie pozwolił podróżować samej po świecie i na pewno nie dałby jej rozwodu. Honey jednym pocałunkiem uczyniła go nowym człowiekiem.

Kiedy przytuliła się do niego całym ciałem, oddech Maksa stał się szybki i zduszony. Poczula nagły zawrót głowy. Wsłuchiwała się w rytm własnego serca: biło wprawdzie bardzo szybko, lecz nie czuła żadnych przykrych sensacji w rodzaju bum-bum-bum czy ra-ta-ta. Kiedy Max zaczął ją rozbierać, ugięły się pod nią nogi.

Czując, co się dzieje, Max osunął się razem z nią na ziemię, nie przestając pieścić jej i całować. Honey ostatecznie przestała kontrolować swoje odruchy. Myślała tylko o tym, by jak najszybciej dotrzeć do jego ciała. Zerwała z Maksa koszulkę i zaczęła dobierać się do jego spodni.

- Zawsze tak się zachowujesz w różanym ogrodzie?

- No, niezupełnie.

Max zdarł z niej spódnicę i bieliznę. Jęknęła boleśnie, kiedy odwrócił się na chwilę, by zrzucić z siebie resztę ubrania, ale nie doznała żadnych przykrych sensacji ani nie zemdląła. Była całkowicie gotowa na przyjęcie kochanka, a gdy po długiej wspinaczce na szczyty rozkoszy wróciła z powrotem na ziemię, stało się jasne, że pokonała zły urok różanego ogrodu w Georgetown.

Z tego, co się stało, mogła wyciągnąć tylko jeden wniosek - ten mianowicie, że od początku bynajmniej nie chodziło o różany ogród ani o dzielnicę miasta.

Kosmyk jej włosów owinał się wokół małego palca Maksa, jakby z zamiarem uwięzienia go. Leżeli przytuleni do siebie na trawie. Max był już gotów uwierzyć, że Honey niczego nie udaje, że jej kapryśna zmienność, rozczulająca niefrasobliwość i zniewalająca żywotność są jej prawdziwymi, autentycznymi cechami. Nadal jednak doskwierała mu myśl o ukrytym w torebce rewolwerze.

- Dlaczego nie chciałaś zawiadomić policji o tym zdarzeniu w parku? - zapytał.

Honey poruszyła się niecierpliwie. Nie chciała teraz myśleć o tamtych sprawach. Chciała się najpierw nacieszyć poczuciem spełnienia, którego doznała zaledwie drugi raz w życiu. Max miał jednak rację, przypominając jej o rewolwerze.

- Nie wiem, czy mogę w tej sprawie zaufać policji - odparła, siadając na ziemi.

- Wiesz kim był ten facet?

- Niezupełnie.

- Ale wiesz, o co mu chodziło.

- Mam swoje domysły.

- Którymi nie zamierzasz się ze mną podzielić. -To go zabolalo.

Właściwie bez powodu. Nie może się obrażać o to, że Honey nie chce wyznać swoich tajemnic niemal obcemu mężczyźnie. - Jesteś w niebezpieczeństwie - stwierdził.

- Wszystko na to wskazuje. - Dopiero teraz uświadomiła sobie, co mogło się stać, gdyby Max nie pojawił się w parku. Czy nieznajomy miał ją zastrzelić? Zadrzała na całym ciele. - Jestem pośrednio zamieszana w pewną trudną sprawę - powiedziała wymijająco.

- W co się, u diabła, właściwie wplątałaś?

- Nie ja się wplątałam, tylko ktoś bardzo mi bliski. - Widząc błysk w oczach Maksa, szybko dodała: -Ktoś bliski, ale nie tak, jak myślisz. Powiedzmy... jak brat.

- To skąd ten napad?

Bo może Samuel Hatch ma nieuczciwe zamiary. Może odgadł jej plan i postanowił wyeliminować ją z gry przed jutrzejszym spotkaniem.

- Tego nie jestem pewna.

- Czy powiesz tej bliskiej ci jak brat osobie, co się dzisiaj wydarzyło?

- Nie. Postanowiłam nic nie mówić. Gdybym to zrobiła, pozbawiłabym się możliwości sprawdzenia siebie, swojego charakteru. - Pochyliła się nad Maksem, zaglądając mu żarliwie w

oczy. - To dla mnie bardzo ważne, uwierz mi. Odkąd dorosłam, byłam tak zajęta robieniem na przekór rodzinie, że nie miałam czasu zastanowić się nad tym, kim naprawdę jestem. Teraz pierwszy raz w życiu mam okazję przekonać się, na co mnie stać.

Max pomyślał, że musi mieć tak samo źle w głowie jak ona, bo doskonale rozumiał, o co jej chodzi.

- Jak mogę ci pomóc? - spytał.

- Już mi pomogłeś. Bo pozwalając, żebym sprawdziła siebie, okazałeś mi szacunek - odparła wzruszona.

- Przytul się do mnie. Zrobiło się chłodno - szepnął.

- Mam lepszy pomysł. Chodźmy do łóżka.

- Wpuścisz mnie do swojej sypialni?

- Tak - odparła z uśmiechem. - Pokonaliśmy Georgetown.

Obudziła się z błogim poczuciem zadowolenia. Natychmiast jednak w jej serce wkradł się niepokój i lęk na myśl o spotkaniu z Hatchem. Czy potrafi sobie z nim poradzić, jeżeli na przykład spróbuje zrobić jej zastrzyk wymazujący świadomość? Czy będzie miała dosyć odwagi i przytomności umysłu, by nie zawieść zaufania Carey? Dodatkowo przerażała ją własna decyzja, by samotnie stawić mu czoło. Nie mogła jednak zrobić inaczej. Bała się, że jeśli zadzwoni do Matta, nie powstrzyma się i opowie mu, co się wczoraj zdarzyło w parku, a wtedy Matt storpeduje jej spotkanie z Hatchem.

- Chodź do mnie - mruknął Max, wyciągając ramiona.

- Nie mogę, muszę iść do pracy.

- Przecież złożyłaś wymówienie.

- Ale jeszcze dziś spodziewają się, że będę odbierać telefony. -
Honey spojrzała na budzik. - Właściwie to mam jeszcze pół godziny.
Potrafisz wykrecić szybki numer?

- Skoro nie można inaczej - odparł Max z uśmiechem.

Po skończeniu pracy Honey miała wrócić do siebie, by się przebrać. Nie może przecież iść do Białego Domu w wyzywającej czerwonej sukience, nawet jeśli jest tylko telefonistką.

Za parę godzin czeka ją decydująca próba. Dowiedzie sobie i innym, co jest warta. Wysonduje Hacha, a zdobyte od niego informacje przekaze bratu i Mattowi. Potem będzie wolna. Wsiądzie z Maksem do swego nowego terenowego auta i razem wyruszą na wólcę.

Zaparkowała przed domem, po czym wpadła do holu, wołając:

- Max, gdzie jesteś?

Siedział w kuchni z telefonem komórkowym w ręku.

- Mam do ciebie prośbę - rzekła.

- Zrobię wszystko, co zechcesz.

- Chcę cię prosić, żebyś poszedł dziś ze mną do Marriotta. -

Zastanawiała się nad tym przez cały dzień i doszła do wniosku, że Max z powodzeniem zastąpi obstawę, jaką mógł jej zapewnić Matt. -
Mam się z kimś spotkać w związku ze sprawą rewolweru.

- Oczywiście - odparł z powagą. - Ale...

- Nic więcej nie mogę ci powiedzieć - przerwała. - W każdym razie nie teraz.

- A kiedy?

Może kiedy znajdą się z dala od Waszyngtonu?

- Niebawem. A teraz idę się przebrać - odparła, odwracając się, by wyjść z kuchni. - Aha - dodała na odchodnym. - Na wszelki wypadek zabierz ze sobą rewolwer.

Max odprowadził ją wzrokiem. Był zaniepokojony jej prośbą, ale i wdzięczny za to, że zwróciła się do niego o pomoc. Gdyby tego nie zrobiła, musiałby śledzić ją z daleka. I na pewno nie omieszkałby wziąć broni.

Przywołał w pamięci wczorajszą scenę w parku, a właściwie moment, w którym dostrzegł skradającego się za plecami Honey napastnika. Mężczyzna zmierzał ku niej, trzymając rękę w kieszeni i rozglądając się wokół. Max wziął go wtedy za złodzieja, który zamierza sterroryzować dziewczynę, aby ukraść jej torbę. Nie przyszło mu do głowy, że może chodzić o coś znacznie poważniejszego.

- Nad czym się zamyśliłeś?

Głos Honey wyrwał go z zadumy. Popatrzył na nią. W czerwonej sukience wyglądała olśniewająco.

- Z czystej ciekawości pozwolę sobie zapytać, ile lat ma mężczyzna, z którym masz się spotkać?

- Nie wiem, ale pewnie sześćdziesiąt albo trochę więcej.

- Nie boisz się, że na twój widok dostanie zawału? Uśmiechnęła się z wyraźnym zadowoleniem.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - odparła.

- W takim razie idziemy. Gdzie masz rewolwer?

Okazało się, że schowała go w piekarniku. Max pomyślał z przerażeniem, co by się stało, gdyby Honey nie odwołała służącej, a ta zabrała się do gotowania.

- Gdzie go włożysz? - zapytała, podając mu broń.

- Może za pasek dżinsów?

- Żeby każdy widział? Poczekaj, zaraz ci coś przyniosę. -

Wróciła po chwili, niosąc sportową marynarkę.

- Ciekawe, czyja ona jest - mruknął Max.

- Powiedzmy, że jednego z moich współlokatorów

- odparła, spoglądając na Maksa krytycznym okiem.

- Nieźle w niej wyglądasz - dodała, kierując się do holu. - Aha, nie możemy zajechać razem przed hotel. Najlepiej będzie, jeżeli wyrzucę cię parę przecznic wcześniej.

Mimo udawanej bez troski, Honey była coraz bardziej zdenerwowana. Podczas jazdy samochodem czuła nasilające się ściskanie w żołądku. Tego by tylko brakowało, pomyślała, żeby w decydującym momencie dostała mdłości.

Zaparkowała samochód w odległości trzech przecznic od Marriotta. Serce biło jej jak młotem.

- Mam pietra - przyznała.

- Trzymaj się, kochanie - szepnął Max, biorąc ją w ramiona. -

Wiem, że jesteś dzielna i na pewno dasz sobie radę.

Jego wiara dodała jej otuchy. Odetchnęła głęboko.

- Jak wejdiesz do holu, zobaczysz, że bar zaczyna się tuż za drzwiami. Postaraj się usiąść jak najbliżej wejścia, dobrze? - Chciała,

by Max mógł ją ubezpieczać na wypadek, gdyby musiała nagle salwować się ucieczką. - Przypuszczam, że Ha... - Urwała i poprawiła się: - Mogę się mylić, ale ten facet najprawdopodobniej zajmie stolik w głębi sali. Max wysiadł z samochodu.

- Powodzenia - rzucił na odchodnym. - Ale w drodze powrotnej ja będę prowadził.

Zanim zdążyła się oburzyć, Maksa już nie było. Spojrzała na zegarek. Punkt szósta. Trzeba jechać.

Przed hotelem oddała auto w ręce parkingowego, po czym wolnym krokiem weszła do środka. Dziwna rzecz, ale z chwilą przekroczenia progu całe zdenerwowanie znikło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Myślała teraz tylko o niebezpieczeństwach grożących Marcusowi i jego przyjaciółom.

Hatcha rozpoznała niemal od razu. Znali się wprawdzie tylko z rozmów telefonicznych, ale na ich podstawie wytworzyła sobie zadziwiająco trafny jego obraz. Mężczyzna, który na jej widok wstał od stolika, był niezbyt wysoki, ale solidnie zbudowany, miał twarz o zdecydowanych rysach i przyprószone siwizną, krótko ostrzyżone włosy.

- Musiałem dożyć sześćdziesiątki, żeby spotkało mnie takie szczęście - powiedział szarmancko, wyciągając dłoń na powitanie.

- Dla przypieczętowania tak długiej znajomości jak nasza nie wystarczy uścisk dłoni - oświadczyła, całując go w policzek.

- Uwodzicielska, jak zawsze.

- Ludzie lubią mnie oczerniać - odparła z uśmiechem, siadając przy stoliku i patrząc Hatchowi w oczy.

W jego śmiałym, zdecydowanym spojrzeniu nie było śladu starczej słabości. Facet zwietrzy kłamstwo na kilometr, przemknęło jej przez głowę.

Kiedy podeszła kelnerka, Hatch spojrzał pytająco na swoją towarzyszkę. Stara szkoła, pomyślała Honey z uznaniem. Poczwała do niego sympatię.

- Remy Martin - powiedziała.

- Dwa razy - zwrócił się Hatch do kelnerki. Kiedy zostali sami, zielone oczy Hacha skierowały się na nią. Postanowiła iść za głosem intuicji. Rozpocznie niezobowiązującą konwersację, aby w odpowiednim momencie skierować ją na właściwy tor.

- Podobno w gabinecie uparłeś się trzymać doniczki z truskawkami, które po śmierci żony uratowałeś z jej ogrodu - zaczęła.

- Kiedy zaczęłaś o mnie wypytywać, przed czy po umówieniu się na dzisiejszą randkę?

- Nie musiałam o nic wypytywać. Jesteś chodzącą legendą. - Honey poczwała, aż kelnerka postawi drinki i odejdzie. - Chcesz wiedzieć, co jeszcze o tobie opowiadają?

- Zamieniam się w słuch.

- Wiem, że byłeś w CIA, ale nigdy nie słyszałam, żeby ktoś określił dział, w którym pracowałeś, a to oznacza, że sprawy, którymi się zajmowałeś, były ściśle tajne. Dość długo obijam się po Białym Domu, żeby to wiedzieć. Co z kolei nasuwa mi myśl, że dawny agent

CIA do najtajniejszych poruczeń musi wiedzieć wszystko na temat telefonistki Numer Dwanaście, z którą umówił się na drinka. Dobrze zgaduję?

Hatch podniósł kieliszek do ust.

- Miło mi cię poznać, Honor Elise Evans - odparł z wesołym uśmiechem.

- Lubię mieć rację.

- Wobec tego przystąpmy do rzeczy.

- Masz na mnie ochotę?

- Trzydzieści lat temu na pewno bym miał.

- Trzydzieści lat temu nie było mnie na świecie.

- A więc nasze spotkanie staje się tym bardziej intrygujące.

- Lubię mężczyzn, którzy mówią, co myślą.

- Podobasz mi się, Honey. I dlatego powiem ci, po co tu jesteś.

W tym momencie Honey poczuła, że Matt nie ma się czego obawiać, że spotkanie z Hatchem niczym mu nie grozi.

- Chcesz się upewnić, czy Tynan będzie ze mną bezpieczny.

Spędziliście ostatni tydzień na Brunhii, a ty zaraz po powrocie proponujesz mi spotkanie - wyjaśniał Hatch, mierząc ją przenikliwym spojrzeniem swoich zielonych oczu.

Honey na chwilę zaniemówiła z wrażenia. Facet od początku wiedział, o co jej chodzi!

- Przepraszam, że nie dałem ci okazji pokazać, co potrafisz - dodał z uśmiechem.

- Nie tak szybko, nic mi jeszcze nie powiedziałeś -
zaprotestowała, odzyskując mowę.

- Podobasz mi się - powtórzył.

- Wspaniale. No to pobierzmy się i ucieknijmy razem do Kansas.

- Chętnie bym to zrobił, ale wiem, że już kogoś masz.

Honey aż podskoczyła. Facet jest niesamowity. Za chwilę okaże się, że wie o bum-bum-bum i ra-ta-ta.

- A poza tym nie mogę wyjechać, dopóki nie zdemaskuję Willarda Crofta.

Przez sekundę zastanawiała się, jak zareagować, ale uznała, że jeśli skłamię, facet natychmiast się na tym pozna.

- Nie wiem nic o Willardzie Crofcie - przyznała się.

- To człowiek, który kręci Koalicją.

- O Koalicji słyszałam.

Hatch popatrzył na nią z uznaniem.

- Powiedz Tynanowi, że zmuszono mnie wprawdzie do przejścia na emeryturę, ale nie jestem jeszcze starym piernikiem.

- O tym jestem najgłębiej przekonana.

- I nadal trzymam rękę na pulsie - ciągnął Hatch. - Otóż doszło do mnie, że pan Tynan bardzo się ostatnio interesuje operacją Proteusz.

Ach, prawda, pomyślała Honey. W artykułach, które tylko przerzucała, powtarzała się nazwa „Proteusz”.

- Jeśli pozwolisz, spróbuję małej dedukcji - wtrąciła szybko.

- Z przyjemnością posłucham.

Była zbyt przejęta, żeby się bodaj uśmiechnąć.

- Rząd stał za tym, co zrobiono z moim bratem. A także z Jakiem, Gretchen i jakąś Faith, której nie znam, ale o niej słyszałam. Zostali, hm... stworzeni za wiedzą rządu, czy tak?

- Tak.

- To było w latach sześćdziesiątych i rząd nie mógł jawnie sponsorować tak potwornego eksperymentu.

- Zgadza się.

- Więc wszystko przeprowadzono w ramach CIA, pod kryptonimem Proteusz. I ty się nim zajmowałaś.

- W połowie masz rację, a w połowie nie. - Honey chciała zaprotestować, ale Hatch powstrzymał ją ruchem ręki. - Chwileczkę. Operację Proteusz rzeczywiście prowadziło CIA, ale osobiście nie miałem z nią do czynienia.

- A co było potem?

- Eksperyment został przerwany wskutek protestów dwojga uczciwych osób, które zresztą zapłaciły za to życiem.

- Mówisz o rodzicach dzieci z próbówki? Twarz mu drgnęła.

- Willard Croft maczał w tym palce. I mam powody przypuszczać, że po zwinięciu eksperymentu Proteusz starał się go wznowić na własną rękę.

- Tworząc Koalicję?

- Tak. Powiedz panu Tynanowi, że od lat obserwuję, co się w tej sprawie dzieje i mogę mu udzielić cennych informacji, które pozwolą odszukać Crofta.

- Powiem mu - przyrzekła.

- A teraz musimy się niestety pożegnać. Twój młody przyjaciel nie może się ciebie doczekać - powiedział Hatch, spoglądając w kierunku baru.

- Powinam chyba dziękować Bogu, że jesteś po naszej stronie - zauważyła Honey. - Ładnie bym wyglądała, gdyby było odwrotnie. Bardzo ci dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Uścisnął jej rękę przez stół. - Będzie mi brakowało naszych rozmów, ale teraz wiem, że dobrze zrobiłaś, rezygnując z pracy. Jesteś za bystra, że się marnować w centrali telefonicznej.

- Jesteś kochany - odparła ze wzruszeniem. - Wiele rzeczy muszę w moim życiu zmienić.

- Wiem.

Odchodząc od stolika, zadała sobie pytanie, czy jest coś, czego Hatch o niej nie wie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Udało się - szepnęła, biorąc Maksa pod rękę przy drzwiach baru.

- Nie muszę do nikogo strzelać?

- Nie. W każdym razie nie dzisiaj. - Spojrzała mu w oczy. - Teraz marzę tylko o powrocie do domu.

- Dobrze, ale ja prowadzę. - Honey chciała się zbuntować, lecz nagle zdała sobie sprawę, że przeżyte emocje kompletnie ją wyczerpały. W milczeniu sięgnęła do torebki i podała mu kwit parkingowy.

Max nadal był tak bardzo zaprzątnięty tajemniczą sceną, jaką przez ostatnie pół godziny obserwował, że odruchowo wyjął z kieszeni plik banknotów, aby dać parkingowemu napiwek.

- Co to ma znaczyć, do cholery? - zapytała Honey. Max dopiero teraz zdał sobie sprawę ze swej nierozwagi.

- Musimy porozmawiać - odparł.

- Ja myślę!

- Ale nie teraz. Po powrocie do domu. - Bał się, żeby nie zaczęła go okładać w trakcie prowadzenia samochodu.

- To ja mam dom, cwaniaczku! Ty podobno jesteś włóczęgą.

- Bo tak jest. I jeszcze przez jakiś czas zamierzam nim pozostać.

- Podał parkingowemu pieniądze. Był zazwyczaj bardziej hojny, lecz w tej sytuacji wolał zachować umiar. - Nie jesteś głodna? - spytał.

- Jestem. Ale przede wszystkim domagam się wyjaśnień.

- Dobrze, wszystko sobie wyjaśnimy podczas kolacji. - Uznał za stosowne zaznaczyć, że wyjaśnienia powinny być wzajemne.

Wzburzona Honey bez słowa otworzyła prawe drzwi samochodu i wskoczyła na siedzenie.

Nareszcie powie jej prawdę o sobie, myślał Max, ruszając sprzed hotelu. Powie jej prawdę, a potem się pobiorą. Zrobiło mu się lekko na duszy.

- Jedziesz do domu? - zdziwiła się Honey. - Myślałam, że zabierzesz mnie do restauracji.

- Wyobraziłem sobie, jak rozebrana do naga gotujesz kolację.

- Niezła myśl.

- Wiedziałem, że to ci się spodoba. Od pierwszego razu na plaży rozebrałaś się...

- Ale tylko do połowy i tylko po to, żeby cię opatrzeć, bo byłeś poraniony.

- A wczoraj kochaliśmy się w ogrodzie.

- Bo musiałam sobie coś udowodnić.

Jej również zrobiło się lekko na duszy. Już nie pamiętała o podejrzanym pliku banknotów w jego ręce. Kiedy jednak skręcili w uliczkę, przy której stał jej dom, Honey ujrzała zaparkowanego przed drzwiami ojcowskiego rollsa i serce jej zamarło. Max też go zauważył.

- Jedź dalej, nie zatrzymuj się - rozkazała.

- Kto to jest?

- Nieważne. Moi współlokatorzy. Mamy samochód, mamy pieniądze, możemy od razu jechać dokąd oczy poniosą.

- Wolałbym się jednak z nimi spotkać - odparł Max, zatrzymując auto.

Już miała znowu krzyknąć, żeby jechał dalej, kiedy sobie uświadomiła, że na to, by naprawdę zmienić swoje życie, musi stawić czoło rodzinnej sytuacji, w którą sama się wpędziła swoim dotychczasowym postępowaniem. Ogarnęła ją chłodna determinacja.

Wyskoczyła z samochodu i pierwsza pobiegła do drzwi.

- Cześć, mamó! Cześć, tato! Co za niespodzianka! - zawołała na widok rodziców.

- Więc jednak wróciłaś. Co za ulga - rzekła matka.

- A gdzie miałam... - zaczęła, ale urwała, przypomniawszy sobie o liście, który zostawiła przed ich wyjazdem z wyspy. - To znaczy nadal wybieram się w nieznane, a do domu wpadłam tylko po najpotrzebniejsze rzeczy. Wyjeżdżamy razem - dodała, wskazując Maksa.

W salonie zapadła lodowata cisza.

- Ja przecież pana znam - nieoczekiwanie odezwał się Charles Evans.

- Jak to? - Zdezorientowana Honey spoglądała to na ojca, to na Maksa.

- Bardzo mi miło - rzekł Charles Evans, gorąco ściskając dłoń gościa.

- Kochanie, dlaczego nam nie powiedziałaś? -z pretensją w głosie zwróciła się do niej matka.

- O czym?

- Wczoraj miałem ci powiedzieć - Wtrącił Max.

- To jakieś wariactwo - oburzyła się Honey. -Każdy coś mówi albo czegoś nie mówi, a ja nic z tego nie rozumiem.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś, że widzisz się z Maxwelllem Strongiem? - zapytał ojciec.

- Z kim?

Prawda docierała do niej powoli. Znała to nazwisko ze słyszenia, ale upłynęła długa chwila, nim uprzytomniła sobie, kto jest jego właścicielem.

- Ty jesteś tym słynnym multimiliarderem Maxwelllem Strongiem?! - wrzasnęła wreszcie.

- Kochanie, postaraj się zrozumieć - przestraszył się Max. - Potrzebowałem trochę czasu.

Honey zapewne rzuciłaby się Maksowi do gardła, gdyby ojciec w porę jej nie powstrzymał.

- Co ty wyprawiasz, dziecko? - upomniała ją matka. - Spróbujmy porozmawiać jak cywilizowani ludzie.

- Pieprzę wasze cywilizowane rozmowy - parsknęła Honey, wyrывая się z ramion ojca.

- Usiądź i zastanów się - poprosiła pani Evans.

- Już się zastanowiłam. - Honey uwolniła się z objęć ojca. Miała ochotę wszystko im wygarnąć, krzyczeć i wymyślać, lecz w końcu

wpajane od dzieciństwa zasady wzięły górę i oznajmiła tylko: -
Wyjeżdżam. I niech nikt - tu przeniosła spojrzenie na Maksa -niech
nikt z was nie ośmieli się mnie śledzić.

- Ależ dziecko... - zaczął ojciec.

- Nie jestem dzieckiem!

- Zastanów się, kochanie, i przestań mówić od rzeczy - wtrąciła
matka. - Przyjechaliśmy, bo niepokoiśmy się o ciebie. Chcieliśmy się
dowiedzieć, co cię tak bardzo gnębi, że aż postanowiłaś wyjechać nie
wiadomo dokąd.

- Bardzo proszę, zaraz wam powiem. Bo chcę być nareszcie
sobą. Bo nie jestem Marcusem. Ani Drew. Bo się duszę. Bo nie chcę
dłużej robić wszystkiego na przekór. Bo chcę, żebyście zostawili mnie
w spokoju i pozwolili robić to, co naprawdę potrafię. - Zamilkła,
zdając sobie sprawę, że pewnie mówi od rzeczy. Na twarzach
rodziców malowało się osłupienie. Przeniosła wzrok na Maksa. -
Obiecałeś mi pomoc zacząć życie od nowa, a tymczasem oszukałeś
mnie. Udawałeś. Sądziłam, że nie masz mi nic do zaoferowania, a ja
tego właśnie potrzebowałam. - Odwróciła się i wybiegła z domu,
wyjmując po drodze kluczyki do samochodu z ręki Maksa.

Max przez długą chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Kiedy
wreszcie odzyskał głos, rzekł po prostu:

- Kocham ją.

Pani Evans opadła na kanapę, natomiast jej mąż zachował zimną
krew.

- Mogę panu zaproponować drinka? - zwrócił się do Maksa jak gdyby nigdy nic.

Ten omal nie parsknął śmiechem, ale zamiast tego odparł:

- Bardzo proszę.

Po chwili siedzieli we trójkę naprzeciw siebie ze szklankami w rękach, jakby przed chwilą przez pokój nie przeleciało żadne małe tornado.

- Kocham waszą córkę - powtórzył Max. Nadeszła pora, pomyślał, by wypróbować oficjalny komunikat dla prasy w sprawie wycofania się z interesów. Dla kurażu łyknął spory haust whisky. - Miałem niezwykłą żyłkę do interesów.

- Delikatnie mówiąc - wtrącił Charles Evans.

- Dopóki nie umarł mój ojciec. - Sarah Evans zrobiła stosownie smutną minę. - Właściwie już wtedy powinienem był się wycofać. Ale dopiero Honey pozwoliła mi to zrozumieć. Sądziłem, że robię coś wielkiego, uciekając potajemnie, jak złodziej. To ona nauczyła mnie stawiać sprawy jasno, w świetle dnia.

Charles pokiwał głową. Jego żona otarła oczy.

- Ona jest bystra, odważna i nieprzewidywalna -ciągnął Max. - Zmienna jak pogoda w burzliwy dzień. Nigdy nie miała okazji pokazać, jaka jest naprawdę, bo cały wysiłek wkładała w to... żeby nie dać się uwięzić w wieży z kości słoniowej. Broniła się tak głośno, że nikt nie chciał jej słuchać. W przeciwieństwie do nas, Honey jest niezwykła. Jedyne, co możemy dla niej zrobić, to pozwolić jej być sobą.

- Czy to znaczy, że chce się pan z nią ożenić? - wtrąciła pani Evans z nadzieją w głosie, dając Maksowi próbkę tego, co od dzieciństwa musiała znosić Honey.

- Zamierzam ją odszukać - rzekł spokojnie, odstawiając szklanę na stół i wstając z fotela. - Wiem, że nie będzie to łatwe, ale nie spocznę, dopóki jej nie odnajdę.

- Ona pojedzie do domu - oświadczył Charles Evans.

- Przecież właśnie stąd uciekła - zdziwił się Max, zastanawiając się, czy starszemu panu nie pomieszało się w głowie ze zmartwienia.

- Miałem na myśli dom na wsi. Honey uwielbia konie.

- Na pewno pojechała do Conover Pointe. To nasza posiadłość na wybrzeżu. Niech pan tam pojedzie i przemówi jej do rozumu.

Jeśli zechce ze mną rozmawiać, pomyślał Max. Niemniej ruszył ku drzwiom, ale nagle się zawahał. Chwilę walczyły w nim sprzeczne chęci: zdradzić ją znowu, czy też stracić? Z dwojga złego wybrał to pierwsze.

- Czy pan albo pani nie domyślacie się, kto i dlaczego mógł nasłać na nią uzbrojonego zbira, ani po co spotykała się w tej sprawie z jeszcze innym mężczyzną? - zapytał.

Jednakże państwo Evans wyraźnie go nie rozumieli.

- Zresztą nieważne - dodał. Już miał wyjść, kiedy uświadomił sobie, że nie wie, dokąd jechać. - Przepraszam, ale muszę prosić o adres. Aha, i potrzebuję samochodu.

Honey jechała, nie wiedząc, dokąd zmierza. Było jej wszystko jedno. Zastanawiała się, że skoro Max od początku ją okłamywał, to dlaczego przyjechał za nią do Waszyngtonu?

Wyjeżdżając z Brunhii, czuła się jako tako pozbierana; nie była szczęśliwa, ale wiedziała, co ma robić. Aż do chwili, kiedy Max pojawił się w parku, jakby wyskoczył spod ziemi, by stanąć w jej obronie. Po co zadał sobie trud odnalezienia jej, skoro przez cały czas kłamał?

Zrobiłaby najsensowniej, gdyby zajrzała do mapy i ruszyła prosto do Lacrosse w Kansas. Była jednak śmiertelnie zmęczona.

Skoro matka i ojciec są w Georgetown, może bezpiecznie udać się na noc do Conover Pointe. Rodzice wrócą tam najwcześniej jutro w ciągu dnia. Ona zdąży do tego czasu odpocząć i trochę ochłonąć z rozpaczy, że zakochała się w człowieku, który okazał się kłamcą.

Charles Evans spojrzał w zamyśleniu na żonę.

- No popatrz, Maxwell Strong - powiedziała Sarah, jakby wciąż nie mogła w to uwierzyć.

- Nasza córeczka zawsze mierzyła wysoko.

- To prawda.

Zawsze marzyliśmy dla niej o takim mężu, pomyślał Charles Evans. Zaraz jednak zawstydził się tej myśli, jakby popełnił wobec córki jakąś zdradę.

- Jesteś pewna, że w szpitalu oddali nam właściwe niemowlę? - spytał.

- Też się nad tym nieraz zastanawiałam - z bladym uśmiechem odparła Sarah.

- Zaniepokoiło mnie to, co Maxwell powiedział przed wyjściem. O jakimś uzbrojonym zbirze i spotkaniu z nieznanym mężczyzną.

- Nie sądzisz, że może to mieć związek z dziwnymi kłopotami Marcusa?

- No właśnie. - Charles Evans podszedł do telefonu, by zadzwonić do młodszego syna.

Honey skręciła w długi podjazd i niemal natychmiast poczuła zapach stajni. Uwielbiała ten zapach, zawsze przynosił jej spokój i ukojenie.

Tutaj się wychowała. Jeszcze jako dziecko biegła po śniadaniu do stajni, by nakarmić swoje ulubione konie wykradzioną z kuchni marchewką i odetchnąć specyficznym zapachem koni. Teraz więc, zamiast zajechać przed dom, zaparkowała samochód koło najbliższej stajni. Było to jedyne miejsce, w którym nawet przed wyjazdem na Brunhię i poznaniem Maksa czuła się naprawdę sobą.

Weszła do środka i omal nie rozplakała się ze wzruszenia. W jednym z boksów ujrzała nieznaną sobie, pewnie niedawno kupioną klacz. Była to piękna kasztanka ze złocistą grzywą i takim samym ogonem, która na jej widok podniosła głowę znad żłobu.

- Jeśli ci to nie przeszkadza, posiedzę tu przez chwilę - odezwała się Honey.

Była gotowa przysiąc, że klacz skinęła łbem. Honey weszła do boksu i usiadła pod ścianą z podciągniętymi pod brodę kolanami.

- Okłamał mnie - wyznała. - Zrobił ze mnie idiotkę. Nie masz pojęcia, jak się zamartwiałam tym, że nie ma pieniędzy. Myślał pewnie, że dam się nabrać na jego kłamstwa. I miał rację.

Klacz podniosła łeb i popatrzyła na Honey, jakby chciała powiedzieć: Nie oszukuj sama siebie. Gdybyś chciała znać prawdę, łatwo byś się domyśliła, co jest grane. Wszystko na to wskazywało. Po prostu wolałaś nie wiedzieć, z kim masz do czynienia, bo to by oznaczało, że wybrałaś mężczyznę, jakiego życzyli sobie dla ciebie rodzice.

- Nie mam pretensji o to, że na początku podał się za kogoś innego. Zresztą ja zrobiłam to samo. Wtedy to był zwykły... no powiedzmy, flirt. Ale potem pojechał za mną aż do Stanów, a to już więcej niż przelotny flirt.

A planowanie wspólnej ucieczki w nieznane? - spytała klacz, po czym zarżała przyjaźnie w stronę stojącego parę bokсів dalej ogiera.

- No właśnie. Chodziło nie tylko o seks. Max wierzył w to, co chciałam mu dać, a dawałam mu całą siebie.

Czyżby? - zdziwiła się klacz. To czemu nie chciałaś mu powiedzieć, czyją marynarkę dałaś mu przed wyjazdem do Marriotta? Dlaczego nie powiedziałaś, że należy do twojego ojca, ani nie zdradziłaś swojego nazwiska?

Uparta klacz zaczynała działać Honey na nerwy.

- Pewnych rzeczy nie mogłam mu powiedzieć, bo nie miałam do tego prawa. Nie mogłam mu zdradzić tajemnic Marcusa.

Klacz cofnęła się od żłobu, podwinęła przednie nogi i z głośnym parsknięciem padła na ściółkę.

- Zdaje się, że cię znudziłam. Klacz zamknęła oczy.

- Masz rację. Ja też jestem zmęczona. Może jutro rozjaśni mi się w głowie. - Owinąwszy się derką, Honey ułożyła się do snu na wyściełających dno boksu strużynach.

Jutro, po przyjeździe rodziców, przyjdzie czas na zmierzenie się z rzeczywistością. A potem pojedzie, dokąd oczy ją poniosą.

Nazajutrz rano obudziło ją czyjeś wołanie. Zdenerwowana klacz omal na nią nie nadepnęła.

- Spokojnie, moja śliczna - rzekła Honey, wydobywając się spod derki i poklepując konia po aksamitnej szyi.

Kiedy wyjrzała z boks, w drzwiach stajni stał Max.

- Lepiej się do mnie nie zbliżaj! - krzyknęła.

- Bądź rozsądna. Wszystko ci wytłumaczę.

- Nie jestem rozsądna. A ty jesteś kłamcą.

- Proszę cię, Honey. Musisz mnie wysłuchać.

- Podaj mi choć jeden powód, dlaczego miałabym cię słuchać! - odkrzyknęła, wychodząc z boks, i chwytając stojące nieopodal widły.

- Kocham cię, Honey!

- Kłamiesz! - zawołała, ale już nieco mniej zadziornie.

- Najpierw nie powiedziałem ci, kim jestem, bo nie chciałem być dłużej tym, kim byłem!

Doskonale go rozumiała, sama nie umiałaby lepiej wyrazić swoich uczuć, i ten fakt jeszcze bardziej ją zirytował.

- Gadaj zdrów! Nic mnie to nie obchodzi!

- Kłamiesz!

Wybuchła głośnym śmiechem, w którym rozpląnął się cały jej gniew. Upuściła widły. Opanowawszy się, podeszła do bram stajni.

- No to mów.

- Kiedy pierwszy raz mnie spotkałaś, żyłem w ukryciu. A potem, kiedy byłem gotów powiedzieć ci prawdę, byłem już kimś innym.

Przestałem być Maxwelllem Strongiem. Dzięki tobie stałem się znów sobą i nie chciałem tego utracić.

- To brzmi przekonująco - odparła Honey, walcząc z sobą, by nie rozplakać się ze wzruszenia.

- Nie wrócę do dawnego życia, Honey. Od dziś rzucam interesy. Nie proszę, żebyś za mnie wyszła. Chcę, żebyś poślubiła anonimowego Joego.

Boże, jak ona dobrze go rozumie!

- Powinna być na ciebie wściekła, ale nie potrafię. Zrobiłeś ze mnie idiotkę, ale ja też nie byłam z tobą szczerą - rzekła z westchnieniem.

- Sądzę, że każde z nas musiało przez jakiś czas ukrywać swoją tożsamość, dopóki nie odkryliśmy, kim naprawdę chcemy być - rzekł z powagą. A teraz okazało się, dodał w myślach, że ich nowe „ja” doskonale do siebie pasują. Pozostał jednak do wyjaśnienia jeden istotny szczegół. - Musisz mi powiedzieć, kochanie, co wiesz o tym uzbrojonym bandycie w parku i co znaczyło twoje spotkanie w Marriocie.

Honey opuściła nagle całą energią. Nie miała siły o tym mówić. Przemogła się jednak. W końcu Max będzie jej mężem, więc ma prawo wiedzieć.

Opowiedziała mu treść listu Marcusa, powiedziała, co usłyszała na wyspie i czego dowiedziała się od Hacha. I jak doszło do spotkania w Marriotcie.

- Moim zdaniem Hatch jest czysty i rzeczywiście zależy mu na tym, żeby dopaść Willarda Crofta. Sporo o nim wie, bo od lat go śledzi, a swoimi informacjami chce się podzielić z Mattem Tynanem. Powinnam go zawiadomić o wyniku spotkania, tylko że... - Honey zawahała się.

- Tylko że co?

- Matt i cała reszta będą wściekli, że poszłam sama na spotkanie z Hatchem.

- Przecież nie poszłaś sama. Ja cię ubezpieczałem. Twarz Honey rozjaśnił przelotny uśmiech.

- Hatch nie wiedział, co mi się przytrafiło w parku, a stąd łatwo się domyślić, że Koalicja ściga nie tylko zmodyfikowane dzieci, ale także mnie...

Max zasepił się. Honey dotknęła jego policzka.

- Nie martw się. Nie znajdą mnie. Wyjeżdżam. Wyjedziemy oboje - dodała czule.

- Mam przez to rozumieć, że zostaniesz żoną Joego? - ucieszył się Max.

- Możesz jeszcze cofnąć swoje oświadczenia. Nie wiesz, w jaką rodzinę chcesz się wżenić.

- Żenię się z tobą, a nie z rodziną Evansów. Honey posmutniała.

- Nie możemy w nieskończoność uciekać od realiów.

- Niby dlaczego? - Przyciągnął ją do siebie. Faktycznie.

Dlaczego? Kto im zabroni? Honey z radości roześmiała się na cały głos.

- Masz rację. Ścigamy się do dżipa? Do Marcusa zadzwonię po drodze.

To mówiąc, ruszyła biegiem w kierunku samochodu, a Max szybko podążył za nią.

KONIEC